

WOJCIECH CEJROWSKI

**GRINGO WŚRÓD DZIKICH
PLEMION**

AMAZONIA MARYMONT PELPLIN POZNAŃ

2006

[Skan JOTER]

tę książkę dedykuję jej Tłumaczowi - bez Tłumacza nie byłaby tym, czym jest

NOTA OD WYDAWCY

Szanowni Państwo,

Niniejsza książka zawiera dwa rodzaje przypisów: od Autora i od tłumacza.

Kiedy Autor komentuje własne słowa, nie opatrujemy tego żadną dodatkową informacją. Kiedy jednak robi to tłumacz, zaznaczamy w nawiasie: [przyp. tłumacza]. Wyjątek stanowią te miejsca, gdzie przypis Autora występuje w bezpośrednim sąsiedztwie przypisu tłumacza - wówczas oba są odpowiednio oznaczone.

Na wyraźną prośbę Autora, tłumacz otrzymał tu dużo większą, niż to jest ogólnie przyjęte, swobodę działania. I w y p o w i e d z i. W konsekwencji nie wszystkie jego przypisy ograniczają się do spraw dotyczących przekładu. Mówiąc krótko, czasami tłumacz się wymądrza.

W tej sytuacji Wydawcy pozostaje tylko przytoczyć aforyzm Stanisława Jerzego Lece:
Kto się wymądrza, ten się wygłupia.

/ - / Wydawca

[Nota od skan - makera: Ze względu na to, iż e - booki czytane są różnie (w komputerze, na wydrukach, ale też w telefonach komórkowych czy palmtopach) przypisy umieściłem w nawiasach kwadratowych w tekście bezpośrednio w tych miejscach do których się odnoszą.

(a teraz tekst, z innego e - booka, który mnie zainspirował do zeskanowania tej książki) Do czytelników: życzę wam wszystkim miłej lektury i wierzę że pod koniec czytania będziecie mieli satysfakcję że zaoszczędziliście 30 zł, jeśli wy ją będziecie mieli to i ja ją będę miał bo właśnie taki miałem cel poświęcając troszeczkę czasu na skanowanie tej książki, chociaż nie mam złudzeń że te następne będą przez to tańsze, wszystkich miłośników darmowych książek z netu zachęcam do zeskanowania przynajmniej jednej ciekawej książki w swoim życiu, człowiek ma z tego prawdziwą satysfakcję, poza tym w pewnym sensie zwraca dług sieci, wzbogacając jej zasoby o jeszcze jedną perełkę. Zachęcam was również do szerokiego udostępniania tej książki w necie żeby była dostępna dla jak największej liczby.
JOTER]

POCZĄTEK

Będzie to opowieść o tropikalnej puszczy. A także o ostatnich wolnych Indianach. I o pewnym białym człowieku, który zamieszkał pośród nich.

Choć od pewnego czasu w ogóle nie nosi butów, zamiast majtek wkłada przepaskę biodrową, a jedzenie zdobywa za pomocą dmuchawki, jest on w gruncie rzeczy taki sam jak Wy. Też kiedyś czytał książki podróżnicze i marzył o dalekich lądach.

Pewnego dnia wstał z fotela, zarzucił sobie na plecy lodówkę i poszedł na pobliski bazar. Wkrótce potem wrócił, wytarł kurz w pustym miejscu po lodówce i zaczął pakować plecak. Głęboko w kieszeni miał mały zwitek pieniędzy i świeżą rezerwację na samolot.

Tak się to wszystko zaczęło.

Ale od tamtych wydarzeń minął już szmat czasu, natomiast całkiem niedawno, nad jednym z mało znanych dopływów Amazonki...

...brazylijski oddział wojskowy natknął się na ukryte w dżungli tajemnicze obozowisko, Dookoła, w promieniu wielu dni żeglugi łodzią, nie powinno być żywej duszy. Obszar wielkości Belgii pozostawał niedostępny dla ludzi - oficjalnie jako ścisły rezerwat i strefa przygraniczna, a w praktyce jako ziemia tak niegościnna, że wciąż niezdobyta. Skąd więc nagle pośrodku tej głuszy ślady ogniska oraz całkiem nowa maczeta wbita w pień? Kto tu był, skoro wojsko bardzo dokładnie pilnowało, żeby tu nikogo nie było? Kto i dlaczego porzucił w lesie trzy hamaki, zawieszane pod daszkiem z palmowych liści?

Dwa z nich uplecione indiańskim sposobem - z łyka - nie wzbudziły szczególnego zainteresowania. Ale trzeci wywołał sensację. Wykonano go z cienkiej nylonowej płachty, którą po zwinięciu i zgnieceniu dawało się upchnąć w kieszeni spodni. Dowódca patrolu testował to kilkakrotnie: z zachwytem i niedowierzaniem zwijał hamak, chował do kieszeni, potem wyciągał, rozwijał, znowu zwijał, chował...

W końcu znudził się, zwinął po raz ostatni, wcisnął w kieszeń i..

- Koniec cyrku!! Nie gapić się! - warknął na żołnierzy wpatrzonych zazdrośnie w jego wypchaną kieszeń.

Zrobił to bardziej dla zasady, bo powód do zazdrości mieli wyjątkowo uzasadniony: takich hamaków nie można kupić w żadnym sklepie - znajdują się wyłącznie na wyposażeniu oddziałów specjalnych, są wydawane za imiennym pokwitowaniem, a po akcji trzeba je zdać do wojskowego magazynu.

No i tu tkwił problem: Co oznaczało pojawienie się takiego hamaka na tym odludziu?

Dlaczego dyndał pozostawiony w lesie? Kim był jego właściciel?

I gdzie jest teraz???

Po konsultacji przez radio, dowódca patrolu otrzymał z bazy Tabatinga wiadomość, że dwa miesiące wcześniej po okolicy kręcił się pewien biały człowiek. Rozpytywał o możliwość wynajęcia łodzi, dwóch wprawnych myśliwych i przewodnika. W przeciwieństwie do innych *gringos* odwiedzających te strony, nie interesowały go ani obserwacje egzotycznego ptactwa, ani poszukiwania rzadkich gatunków orchidei. Nie łapał też motyli do kolekcji. Chciał odnaleźć pewne indiańskie plemię, o którym wiadomo trzy rzeczy: jest dzikie, krąży po dżungli stale zmieniając miejsce pobytu i zdecydowanie nie chce, by je ktoś odnalazł [przypis: *Gringo (Im. gringos)* znaczy tyle co Biały. Potoczne określenie każdego cudzoziemca, dla którego hiszpański nie jest językiem ojczystym. Popularne w całej Ameryce Łacińskiej - nawet w krajach, gdzie nie mówi się po hiszpańsku (Brazylia, Belize, Gujany). Wyjątek stanowi Meksyk, skąd to słowo pochodzi - tam gringo jest określeniem pogardliwym i stosuje się wyłącznie do osób przybyłych z USA. [przyp. tłumacza]].

Niechęć ta przybiera niekiedy znamiona ostentacji. Wówczas na wścibskich intruzów sypią się charakterystyczne czarne strzałki wystrugane z twardego drewna. Końcówki tych strzałek mają kolor czerwony, co oznacza, że umoczone je w gęstej, dobrze skoncentrowanej mazi, którą zwykle się określać słowem *kurara* [przypis: *Wielokrotnie zastanawiałem się, dlaczego do nazwania trucizny wybrano właśnie to słowo - pochodzące od łacińskiego *curare*, czyli *leczyć!* - i wyszło mi, że to dlatego, że *kurara* w sposób natychmiastowy uwalnia człowieka od wszystkich możliwych chorób ciała i umysłu, zarówno trapiących go w chwili obecnej, jak i tych, na które mógłby zapaść w przyszłości. (Gdyby jej dożył.)*]

Myśliwi oraz przewodnik (których biały człowiek w końcu znalazł i najał) wrócili do Tabatingi już dość dawno. O nim samym jednak nikt nic nie wiedział. Prawdopodobnie także wrócił i zaraz potem odjechał do swego kraju. Prawdopodobnie...

- *Właściwie chyba na pewno... szszsz... Wyjechał, szszsz... Nie szukać! Over... szszsz...*

Po odebraniu powyższych informacji i wyłączeniu radia, dowódca postanowił wydać komendę „Do łodzi!”. Niestety nie zdążył.

W chwili, gdy otwierał usta, wleciała mu przez nie mała czarna strzałka i utkwiała w gardle u nasady języka. Charknął krótko, padł na ziemię, wierzgnął raz czy dwa i momentalnie znieruchomiał.

Zza otaczających obozowisko chaszczki wyleciało jeszcze kilka takich strzałek. Wszystkie były celne. I wszystkie równie zatrute, jak ta pierwsza.

W ciszy, która nagle zapadła, nie dało się nic usłyszeć. Jedyne bardzo wprawne oko

myśliwego mogłoby się domyślić kilkunastu . nagich ludzkich sylwetek, prawie niewidocznych pośród zarośli.

Jedna z tych sylwetek wyszła z gęstwiny, schyliła się nad ciałem dowódcy, wyciągnęła mu z kieszeni hamak i bezszelestnie pobiegła w ślad za pozostałymi członkami swego plemienia, którzy szybkim krokiem oddalali się już z tego miejsca.

Potem, stosownie do okoliczności, nad pobojobowiskiem zapadła grobowa cisza.

* * *

Kilka godzin później, ciszę tę przerwało coś jakby stęknienie.

Po dłuższej chwili jeden z trupów mrugnął powieką.

W tym samym czasie kilka metrów dalej ręka martwego dowódcy uniosła się ponad butwiejącą ściółkę...

...i opadła.

Uniosła się znowu...

...i znowu opadła.

Gdyby ktoś żywy obserwował tę scenę, to prawdopodobnie albo by zmartwił ze strachu, albo z wrzaskiem uciekł w ciemny las - pośród zapadającego zmroku umarli budzili się do nocnego życia..

W pewnej chwili, z wyraźnym wysiłkiem, trup dowódcy sięgnął sobie do gardła i wyrwał zatrutą strzałkę. Zaraz potem zwymiotował.

Wkrótce wszystkie trupy poszły w jego ślady. Też zwymiotowały.

To był znak, że trucizna powoli przestaje działać. Ustąpił paraliż, stężałe mięśnie zaczęły się poruszać, z oczu odeszła mgła.

Porażenie indiańską trutką na małpy bardzo przypomina śmierć. Podobnej mikstury używają czarownicy voodoo do produkcji zombi. Nawet wprawni lekarze dają się zwieść i często wypisują akty zgonu. A potem pod rękami sprytnych szamanów - szarlatanów „trupcy” ożywają i na oczach przerażonej gawiedzi wstają z grobów. (Albo ktoś, kto się naraził czarownikowi, budzi się wewnątrz trumny zakopanej dwa metry pod ziemią.)

Żołnierze mieli bardzo dużo szczęścia, że tego dnia trafili na grupę myśliwych, a nie na wojowników. Wojownicy noszą ze sobą strzałki śmiertelne, ci zaś mieli tylko strzałki paralizujące - przygotowane na małpy, a nie na ludzi. Kiedy Indianie polują, wcale nie zależy im na zatruciu zwierzęcia (którego mięso będą przecież potem jeść) - chodzi tylko o to, żeby zwierzę spadło z drzewa lub przestało uciekać.

Nie znaczy to wcale, że żołnierzom było przyjemnie. Przeżyli coś w rodzaju śmierci klinicznej. Widzieli wszystko i słyszeli, odczuwali każde dotknięcie, każde ukąszenie moskita, ale nie byli w stanie rozporządzać swoim ciałem. Przez te kilka godzin ich bezbronne umysły miały się uwiecznić w bezwładnej stygnącej kupie ciała i kości. Widzieli wprawdzie wszystko, lecz nie byli w stanie poruszyć okiem, ani nawet drgnąć powieką. Żaden mięsień nie słuchał poleceń. Przerażeni; nie mogący wydobyć z siebie nie tylko krzyku lecz nawet najcichszego jęku. Widzący, słyszący i czujący, ale niemi i całkowicie bezwładni.

Kiedy dowódca wróciła mowa, najpierw przez dłuższy czas klął cicho, przeplatając wulgaryzmy imionami Jezusa, Maryi i kilku co bardziej popularnych świętych. Potem wydał nieprzepisową komendę:

- Wypieprzamy stąd! Koniec patrolu. Płyniemy prosto do Tabatingi. Dzień i noc bez postojów. Żadnego polowania, żadnego łowienia rybek. A jak się któremu zachce do latryny, to będzie wystawiał zadek przez burtę. I trzymamy się samego środka nurtu - jak najdalej od brzegów!

Nie musiał tego wszystkiego mówić - żołnierze, zazwyczaj leniwi i ślamazarni, tym razem ruszali się wyjątkowo sprawnie. Zanim dowódca skończył, wszyscy siedzieli już w łodzi, silnik był odpalony, a cumy zdjęte. Spieszyli się do tego stopnia, że nikt nie pomyślał, by zabrać tę całkiem nową maczetę wbity w pień. Wkrótce w tajemniczym obozowisku pozostała tylko ona i dyndające w ciszy hamaki.

DYNDAJĄCE HAMAKI

Żeby odpowiedzieć na pytanie, skąd się tu wzięły, musimy się cofnąć w czasie mniej więcej o tydzień... A było to tak: Ja oraz dwaj Indianie (z plemienia, które nie jest już tak dzikie, jak kilka lat temu i niekiedy pozwala, by je ktoś odnalazł) spędziliśmy 48 godzin na czatach. Bez przerw na sen, ponieważ mieliśmy do wyboru albo coś wreszcie upolować, albo odpocząć i w trakcie tego odpoczynku umrzeć z głodu.

W końcu trafił nam się chudy ocelot wielkości kota. Zeżarliśmy go na półsurowo, ledwie osmalonego nad ogniem, a zaraz potem wszyscy zapadliśmy w twarde sen...

...który ktoś mi właśnie przerywał szarpiąc za linkę od hamaka.

Balem się otworzyć oczy - czułem, że zamiast nich odkryję pod powiekami dwie łyżeczki piachu. Spałem wszystkiego może godzinę.

Kolejne szarpnięcie hamakiem, a do tego cichuteńki syk przez zęby. Chyba nie ma rady - muszę wstać.

Zacisnąłem zęby i zdecydowanym ruchem rozwarłem powiekę. Na oścież. No i okazało się, że to nie piach, tylko grubo tłuczona sól kuchenna. Szczypało jak zaraza, ale łzy jakoś nie chciały popłynąć. Kiedy podnosiłem drugą powiekę miałem wrażenie, że słyszę cichy chrzęst.

Z oka???

No nieee, bez przesady... Skupiłem się na słuchaniu...

Coś chrzęściło naprawdę... Gdzieś pode mną... Trochę z tyłu... Chrząsty powtarzały się w sekwencjach po trzy - tak jakby ktoś robił trzy kroki, potem się zatrzymywał, znowu trzy, itd.

Chrzęczenie ściółki w lesie iglastym pełnym starych szyszek, suchych szpilek i świerkowego chrustu nikogo nie dziwi, ale tu - to była dżungla, gdzie nic nigdy nie chrzęści; raczej mlaska błockiem, butwieje po cichutku, mięknie i głuszy wszelkie kroki.

Więc co tu tak chrzęści?... Ktoś się skrada, czy jak?... I dostanę zaraz w plecy małą czarną strzałką?...

Niemożliwe, przecież zawsze, kiedy na naszej drodze znajdowaliśmy wbite w ziemię oszczepy ostrzegawcze - znak zakazu wstępu na teren Dzikich - grzecznie zawracaliśmy. A Dzicy są honorowi - nie strzelą do nikogo bez powodu.

Więc co tu tak...

Ojej! Niedobrze! Jedyne, co tu ma prawo zachrząścić, to chityna - pancerze owadów.

Gwałtownie szarpnąłem się w hamaku chcąc z niego wyskoczyć...

- ...siiiiiiiedź cicho, gringo, i się nie ruszaj - wrzasnął na mnie szeptem Indianin.

(Znacie to pewnie - wrzask szeptem - nie podnosi się głosu, ba, mówi się cichuteńko, na granicy słyszalności, właściwie ledwie syczy przez zęby, a jednak to, co się mówi, i sposób w jaki się to robi, dzwoni w uszach jak! **W!R!Z!A!S!K!**)

- Udawaj, że cię tu nie ma, że nic żyjesz. Inaczej cię zjedzą.

- ?

- Mrówki - odpowiedział dokładnie na pytanie, które raz zadałem (choć pytałem tylko w myślach).

W takich sytuacjach nie zadaje się pytań (na głos). Kiedy twój przewodnik mówi: padnij - padasz, kiedy mówi: ciii - siedzisz cicho do odwołania. Tak długo, jak on.

Nieraz widywałem Indian godzinami tkwiących w bezruchu - jak kamienne posągi - czatowali w ten sposób na zwierzynę. Ludzie biali czegoś takiego nie potrafią. Nasze stawy wymagają częstego rozprostowywania, nasze karki, pokąsane przez moskity, wymagają podrapania, kropelki potu na czole - otarcia itd., a w tym czasie Indianie siedzą bez ruchu.

Nawet im oko nie drgnie. Czasami tylko w głębi półprzymkniętego oczodołu źrenica przesuwają się powolutku i niepostrzeżenie, milimetr po milimetrze. O tym, że po godzinach takiego kamiennego siedzenia, Indianin się ożywia (bo w gąszczu spostrzegł zwierzynę) świadczy tylko mała fioletowa żyłka na skroni, która zaczyna pulsować napięciem.

Teraz my wisieliliśmy nieruchomo w hamakach udając część pejzażu. Martwą część. A na ziemi pod nami toczyła się wojna. Śmiertelna wojna.

Szedł tamtędy rozłożysty, dobrze zorganizowany, krwiożerczy i głodny dywan czerwonych mrówek. Chrząsty, które słyszałem, pochodziły od węża, który związał się właśnie w przedśmiertnych konwulsjach. Umierał najgorszą możliwą śmiercią - wyzerany od środka. Mrówki maszerowały metodycznie przez jego wnętrzości i opróżniały go ze wszystkiego co jadalne... chrząszcząc przy tym szczękami.

Na szczęście żadna z nich nie wpadła na pomysł, by spojrzeć w górę - to nam uratowało życie. Mrówki, zajęte wężem, nie zwróciły na nas uwagi i wkrótce poszły sobie dalej.

Zaraz potem my także poszliśmy dalej. Rzecz jasna w przeciwnym kierunku. I biegiem! Jak najdalej od tego miejsca! Zostały po nas tylko te puste, dyndające hamaki.

- I moja nowiutka maczeta!

- Chcesz po nią wrócić, gringo? - spytał Indianin z wyraźną kpina w głosie. - Idź. A my tu sobie na ciebie poczekamy.

Nie chciałem.

MRÓWKOŻERCY

Tego samego dnia wieczorem Indianie postanowili się zemścić za... poniesione straty. Nałapali kilka garści tak zwanych „czerwonych łbów” - mrówek wielkich jak nieszczęście (dorastają do trzech centymetrów!), ale za to zupełnie niegroźnych. Potem je żywcem upiekli, a teraz pałaszowali ze smakiem.

- Gringo - zwrócili się do mnie - opowiedz nam o swoim świecie. Jak tam jest?

- A co konkretnie chcielibyście usłyszeć?

- Jecie ludzi?

- Czy JEMY ludzi!? W jakim sensie??

- Ustami, zębami, przez gardło do brzucha. Zjadacie ludzi?

- Skąd wam to przyszło do głowy? A wy zjadacie?

- Nam nie wolno! Tabu.

- A Dzicy?

- Oni mają te same tabu co my. To nasi bracia. Żadne plemię w tej okolicy nie je ludzi.

- No to dlaczego niby ja miałbym jeść?

- Słyszeliśmy, że biali jedzą ludzi.

- Bzdura jakaś. Kto tak mówi?

- Najstarsi. Pamiętają jeszcze czasy, kiedy po naszej puszczy kręcili się biali. To byli szamani złych duchów. Odprawiali obrzędy, składali ofiary... I zapraszali nas żeby się przyłączyć. Chcieli, żebyśmy razem z nimi jedli ciało jakiegoś człowieka i popijali jego krew. Na szyjach mieli zawieszane żelazne trupy, takie same jak ten - wskazał palcem srebrny krzyżyk na mojej szyi. - Więcej nie wiemy, bo to było bardzo dawno temu.

- I co się z nimi stało?

- Zostali przepędzeni. U nas nie wolno jeść ludzi, gringo. Ani pić krwi - mówiąc te słowa popatrzył na mnie znacząco.

- A ja słyszałem od moich Najstarszych, że bardzo dawno temu, kiedy Najstarszy z Najstarszych był jeszcze dzieckiem, wasze plemię było znane z tego, że jadało ludzkie mięso. Zawsze w dniu Wielkiego Świąta. I może wciąż jada, co?

- To przez takich jak ty.

- Co przez takich jak ja?

- Ludzie dowiadują się o nas, że jemy ludzi. A nam nie wolno, rozumiesz?! - ton jego głosu podniósł się niebezpiecznie.

Temat był wyjątkowo grząski... Ale przecież po to tu przyjechałem - w poszukiwaniu pierwotnych obyczajów i wierzeń.

- Ode mnie się niczego takiego nie dowiadują - powiedziałem w sposób, który miał brzmieć polubownie.

Po tych słowach zapadła napięta cisza. Indianin dźgał kijem żar ogniska; potem się uspokoił. Podłubał jeszcze przez chwilę między polanami, aż wreszcie cisnął kij w ogień, spojrzał na mnie przyjaźnie i zapytał:

- A co ty im właściwie o nas mówisz, gringo? Kiedy wracasz do swojego świata, na pewno snujesz jakieś Opowieści, he?

- Snuję.

- Siadacie wtedy przy ogniskach?

- Czasami. Zwykle rozpalam ogień w kominie...

- He???

- Nieważne, po prostu rozpalam ogień, siadamy sobie dookoła i zaczynani opowiadać.

- O nas?

- Tak, o was.

- Opowiadasz dobre rzeczy?

- Opowiadam wszystko. Tak jak to widziałem. Czasami tylko myślę tropy, żeby tu nie przyjechało więcej białych.

- A dlaczego? Biali są źli?

- Biali wprawdzie nie jedzą ludzi, ale... pożerają dżunglę.

- Nie wszyscy, gringo, ty nie pożerasz. Raczej ona pożera ciebie - po tych słowach Indianie gruchnęli gromkim śmiechem.

Gruchnąłem i ja, choć nie powinno mi wcale być do śmiechu, a to dlatego, że poddawany byłem właśnie codziennemu ponizającemu obrzędowi iskania z kleszczy. Indianin, który rechotał najgłośniej, kucał w tej chwili za moimi plecami i wyskubywał pasożyty z tych miejsc, do których nie byłem w stanie sięgnąć samodzielnie. (To znaczy ręką sięgałem bez trudu, natomiast wzrokiem nigdy.)

- No to teraz, gringo, opowiedz nam jedną z tych swoich historii.

- O czym?

- Na przykład o tym, jak spotkałem pierwszego w życiu Indianina. Ponieważ i tak nie mieliśmy nic lepszego do roboty, a ponadto właśnie przyszła moja kolej na pozycji wyskubującego, postanowiłem zająć czymś umysł i zacząłem opowiadać:

JAK SPOTKAŁEM PIERWSZEGO INDIANINA

Było to na odludnych terenach Ameryki Środkowej. W miejscu gdzie nie wiadomo dokładnie jaki to kraj, bo jeden został daleko za naszymi plecami, a drugi się jeszcze nie zaczął.

Takich miejsc jest wciąż sporo - chociażby Mosquitia, czyli karaibskie Wybrzeże Moskitów [przypis: Trwają, spory historyków, czy powinno być Mosquitia od moskitów - tak, jak to proponuje nasz Autor - czy może Miskitia od muszkietów. Na najstarszych mapach występują obie te nazwy i dzisiaj nie da się już stwierdzić, która była pierwsza. Ponadto na terenie Mosquitii żyją Indianie, których w literaturze naukowej określa się mianem Miskito. Czyje więc jest to Wybrzeże: moskitów czy Miskitów? No cóż, trzeba stwierdzić ze smutkiem, że Indianie (tak jak kiedyś muszkiety) stopniowo przechodzą do historii, moskity zaś bzykają sobie spokojnie, co definitywnie przesądza sprawę na ich korzyść, [przyp. tłumacza]], które ciągnie się od Hondurasu przez Nikaraguę aż do Kostaryki. Ma długość 600

kilometrów i sięga na 100 do 200 kilometrów w głąb lądu. W Europie to mogłoby być niezależne państwo - Dania, Holandia - a tutaj, po prostu wielka zarośnięta dżunglą Ziemia Niczyja.

Oficjalnie oczywiście ma właściciela, jest nawet podzielona na prowincje, ze stolicami i gubernatorami, ale w praktyce to tereny bezludne i dzikie. Nigdy nie cywilizowane. Wciąż jest tam wielkie pole do popisu dla poszukiwaczy przygód i odkrywców. I wciąż, mimo zakusów cywilizacji, sporo przestrzeni dla Indian.

Najpierw jechałem - dłuugo i wooolno - wojskową ciężarówką. W prażącym słońcu, na pace bez plandeki. Przewiewnie? No owszem, tyle że wiatr składał się z kurzu zamiast powietrza.

Asfalt skończył się po stu kilometrach. Wylazły spod niego dwie wyboiste koleiny, Zaczęło kiwać i podrzucać tak bardzo, że dostałem choroby morskiej. Po osiemnastu godzinach wysiadłem. Na środku pustkowie porośniętego sawanną.

Potem jechałem na grzbiecie muła (dwie noce, bo za dnia mułowi było zbyt gorąco) aż do miejsca, gdzie zaczynały się bagna. Dalej muł nie chciał iść. Zaparł się stanowczo przednimi kopytami i burczał na mnie nieprzyjemnie. Ponaglany piętami, patykiem oraz okrzykami zachęty (w których przewijały się pewne nieprzyjemne sugestie związane z jego przyszłością) muł odwrócił się i ugryzł mnie w kolano. Wtedy zsiadłem, pogałem go z powrotem, a sam ruszyłem dalej na piechotę.

Wąska, prawie niewidoczna ścieżka wiła się między bajorami. Powietrze dookoła cuchnęło rozgrzaną zgnilizną, a do tego bzyczało i gryzło. Po kilkunastu godzinach ścieżka przeprowadziła mnie na drugą stronę moczarów. Tam, na skraju tropikalnego lasu, spotkałem pierwszego w moim życiu Indianina. Takiego, który wciąż żyje po staremu - mieszka w szałasie, chodzi na bosaka i żywi się tym, co upoluje w puszczy.

My, biali, mówimy o takich, że dzicy. Tymczasem dla niego to ja byłem „dziki”.

* * *

Pierwszego wieczora było tak:

- Słyszysz głos tukana, gringo? - zapytał Indianin.

- Nie. A który to?

- Ten co robi *truk - truk... truk - truk...*

- Teraz słyszę.

- To jest śpiew na dobrą pogodę - wyjaśnił.

[*przypis*: Tukany - inaczej pieprzójady - to rodzina barwnych ptaków licząca 37

gatunków. Występują w tropikalnych Sasach Ameryki Południowej i Środkowej, Gnieźdzą się w dziuplach. Podobne do srok, z tą różnicą, że mają ogromne dzioby w kształcie banana, niekiedy prawie tak duże, jak reszta ptaka, jednak bardzo lekkie ze względu na gąbczasty szkielet. Tukany są wyłapywane przez tubylców dla pięknych piór i kolorowych dziobów, [przyp. tłumacza]]

* * *

A następnego dnia o wschodzie słońca było tak:

- Słyszysz głos tukana, gringo?

- Słyszę. Znowu robi *truk - truk... truk - truk...* Wróży dobrą pogodę - odpowiedziałem zadowolony, że coś wiem.

- Nic nie wiesz, gringo. On teraz robi *truk - truk* na deszcz.

- Ale przecież to jest takie samo *truk - truk*, jak tamto wczorajsze na pogodę - zaprotestowałem.

- Będzie lało. Mówię ci, truka na deszcz.

* * *

Indianin miał rację - godzinę później byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Tak samo cały nasz bagaż i prowiant. Najgorsze, że wilgoć wpełzła także do puszki, w której trzymałem proch do nabojów.

- Nooo pięknie, KTOŚ nie docisnął wieczka - popatrzyłem wymownie w jego stronę - i teraz proch jest do kitu, a w takim deszczu nie wyschnie przez parę dni.

- Wyschnie, wyschnie, jeszcze dzisiaj, gringo.

- Ciekawe gdzie?

- Na słońcu. Nie słyszysz jak tukany śpiewają *truk - truk*? Będzie słońce jak drut! Rozsypujemy proch na jakimś ciepłym kamieniu i wyschnie. A w nocy pójdziemy polować.

* * *

Indianin jak zwykle miał rację - poszliśmy. Polowaliśmy. I ustrzeliliśmy młodą kapibarę. A kiedy o świcie piekliśmy mięso, tukany nad naszymi głowami znowu robiły *truk - truk*.

- Tym razem trukają na deszcz czy na pogodę? - spytałem kompletnie skołowany.

- Dlaczego wy, *gringos*, nie potraficie się nauczyć najprostszej rzeczy? Przecież wystarczy obserwować świat dookoła i człowiek od razu wie.

- Skąd niby mam wiedzieć, które *truk - truk* wróży słońce, a które deszcz, skoro

wszystkie te trucki są IDENTYCZNE!?

- No właśnie.

- Co „no właśnie”? - teraz dopiero byłem skołowany, tamto poprzednie skołowanie to był tylko lekki zamęt w głowie. - No więc może mi to wyjaśnisz. Skąd mam wiedzieć?

- Popatrz w niebo - westchnął wywracając oczami.

- Patrzę.

- I co widzisz?

- Słońce.

- To znaczy, że będzie deszcz - znowu wywrócił.

- Aaaa... jakby był deszcz, to by znaczyło, że się rozpogodzi? - chyba zaczynałem rozumieć.

- No właśnie - odrzekł Indianin, a potem uśmiechnął się, jak psychiatra na widok ciężkiego przypadku, któremu się odrobinę poprawia. - Tukany robią *truk - truk*, kiedy idzie zmiana pogody - zakończył.

- A jak nie ma być żadnej zmiany, to co robią? Chyba mi nie powiesz, że w porze deszczowej przez trzy miesiące w ogóle nie śpiewają?

- Śpiewają ciągle - odparł spokojnie. - To bardzo gadatliwe ptaki.

- No i jak to robią, kiedy nie ma być żadnej zmiany pogody?

- Zwyczajnie: *truk - truk, truk - truk*. Przez te wielkie dzioby nie wychodzi im nic innego.

MORAŁ:

Obcowanie z Indianami jest jak gra
w „Chińczyka” - nie wolno się irtować.

Trzeba zaakceptować. Takimi, jacy są -
z ich tajemniczą logiką „dzikich ludzi”.

Oni to samo robią wobec nas - akceptują
niezrozumiałe. (I uśmiechają się wtedy jak
psychiatrzy na widok ciężkich przypadków.)

[*przypis*: Jestem Państwu winien wyjaśnienie:

Na kartach tej książki pojawiają się liczne dialogi z Indianami. Czasami nawet dość skomplikowane. W jakim języku były prowadzone?

Zwykle zabieram ze sobą przewodnika, który włada hiszpańskim oraz kilkoma narzeczami okolicznych plemion. Wówczas rozmowy z Dzikimi prowadzę z jego pomocą.

Zdarza się, że sami Dzicy znają, już kilka słów po hiszpańsku. Na przykład trzy: *gringo, nóż i zabić*. To bardzo dobry początek. Na tej bazie można zbudować całkiem niezłe porozumienie. A potem albo obie strony szybko się uczą - bo chcą jeszcze pogadać - albo oni mówią do mnie: *gringo, nóż, zabić*, a ja ich nie słucham, tylko szybko biegnę.

Najczęściej jednak z mozołem przedzieramy się przez gąszcz nie zrozumienia za pomocą wyrazów twarzy, mowy ciała, rozmaitych gestów, a także demonstrowania o co nam chodzi na przykładach.

Krótkie rozmowy prowadzone w ten sposób trwają niekiedy tygodniami, a potem w książce zostaje z tego zaledwie pół strony.

Dla Państwa wygody stosuję uproszczenie polegające na pominięciu osoby indiańskiego tłumacza, oraz tych wszystkich gestów i min. Proszę mi wierzyć - tak jest lepiej. (Kto nie wierzy, niech spróbuje powiedzieć: *Bardzo smaczna ta zupa z małpy, dziękuję* używając w tym celu wyłącznie słów: *gringo, nóż i zabić*.)]

GRINGO I KANIBALE

- Ładna Opowieść, gringo - zrecenzował mnie Indianin. - Chociaż sporo nie rozumiałem, to i tak mi się podobało.

Potem sypnął sobie do ust sporą garść pieczonych mrówek i zaczął nieprzyjemnie chrupać.

- Kończysz morałem. Zupełnie jak nasz Czarownik - podsumował drugi.

On z kolei pogryzał „czerwone łby” pojedynczo, ze specyficznym chrzęstem, który wydawały chitynowe pancerze. Najpierw jadł główkę, potem żuł nóżki, a na koniec kładł między zęby odwłok i miażdżył go z upodobaniem. Obrzydlistwo.

- Gringo - spytał po dłuższej chwili - a byłeś już kiedyś u takich jak my?

- To znaczy u jakich? U Dzikich?

- My nie jesteśmy Dzicy! - obruszył się, chrupiąc kolejną mrówkę.

- Różnicie się od nich tylko tym, że mieszkacie trochę bliżej świata i trafiło do was kilka plastikowych misek.

- I spodenki!

- Przecież nie zawsze je nosisz.

- Ale noszę! A Dzicy nie zakładają nigdy.

- Twoja siostra jest Dzika, twoi bratankowie są Dzicy, a twój szwagier jest wodzem Dzikich.

- Ale ja MAM spodenki, a oni stale noszą *pinga* na wierzchu.
- Czy poza tym szczegółem są między wami jeszcze jakieś różnice?
- Nie ma. Dzicy to nasi bracia.
- To czemu żyją osobno?
- Tak zdecydowali Najstarsi.

Ponieważ Indianin znów zaczął niebezpiecznie podnosić głos i ze złością błyskać oczami, przerwałem odpytywanie i sam zająłem się konsumpcją. Dobrze, niedobre - nieistotne, przecież nie mieliśmy nic innego.

Dla zabicia nieprzyjemnego smaku, zagryzałem moje mrówki dziką papryką. Ma wielkość ziarenka grochu i jest wściekle ostra. Indianie dodają jej do wszystkiego, żeby zabić głód. Podobno zabija także pasożyty przewodu pokarmowego. (Oceniając po smaku, myślę, że w odpowiedniej dawce jest w stanie zabić wszystko.)

Kiedy uznałem, że Indianin się uspokoił, wznowiłem zarzucony temat:

- A czemu Dzicy nie chcą nas wpuścić na swoje ziemie i wciąż wbijają nam na ścieżkach skrzyżowane dzidy?
- To przez ciebie. Ja mogę tam iść kiedy zechcę.
- W spodenkach?
- W spodenkach nie.
- A jak zdejmiesz?
- Jak zdejmę to mogę, bo wtedy jestem Dzikim. Ale tylko wtedy! Zapamiętaj sobie, gringo, tylko wtedy!
- A jeśli ja bym zdjął moje spodenki, to mnie wpuszczą?
- Ty nie jesteś Dzikim.
- Nie bądź tego taki pewien...

W tym momencie ugryzłem się w język. Nie chciałem żeby się dowiedzieli. Znaliśmy się zbyt krótko. Wprawdzie już mnie zaakceptowali, pozwolili mieszkać w swojej wiosce, zabierali na polowania, ale szaman nadal podchodził do mnie z rezerwą. Nie wiedziałem, jak mogliby zareagować na wiadomość, że jednak...

- Jadłeś ludzi, gringo, prawda? - Indianin nie pierwszy raz czytał mi w myślach.

(Oni wszyscy to potrafią. Nazywajcie to intuicją, ja i tak wiem - wiem na pewno! - że to coś dużo większego od intuicji. Specyficzna forma otwarcia umysłu na to wszystko, na co umysł białego człowieka zamknął się przed wiekami, przerażony widokiem płonących stosów Inkwizycji.)

- Raz jeden, jadłem człowieka.

- Ktoś ci w to wierzy, gringo?

- Nie. Zresztą... nie bardzo się tym chwalebę, bo i nie ma czym, a kiedy już komuś powiem, to tylko parszczają na mnie, że bujda.

- A ja ci wierzę - rzucił trochę od niechcienia, jakbyśmy konwersowali o ogryzaniu kolby kukurydzy.

- Opowiedz, jak smakuje człowiek - wtrącił ten drugi. Nawet głos mu nie drgnął. Jakby pytał nie o ludzkie mięso, ale o jakość świątecznego pasztetu cioci.

- Smakował jak zupa z bananów z dodatkiem popiołu. - He?

- Najpierw bardzo dokładnie spalili ciało, a potem popioły dodali do zupy.

- Czemu tak?

- To jedno z plemion wędrownych. W ten sposób zabierają swoich zmarłych dokądkolwiek idą.

- A czemu tobie dali tej zupy?

- Bo to był myśliwy, tak jak wy, i przed śmiercią zażyczył sobie, żebym go zabrał do mojej krainy. Chciał zobaczyć zwierzęta, o których mu opowiadałem. Ostatniej prośbie zmarłego się nie odmawia.

- W ten sposób zostałeś jednym z nich, gringo. Połączyłeś się z duszą tego plemienia. Dokądkolwiek poszli jesteście z nimi, a oni z tobą. Nasz Czarownik to czuje, dlatego się ciebie trochę boi.

Po tych słowach zapadła cisza. Żaden z nas nie miał nic więcej do powiedzenia. Było całkiem ciemno - czarna tropikalna noc - księżyc jakoś nie wschodził, a z ogniska pozostał tylko żar i samotny fioletowy płomyk pełgający sennie. W milczeniu jedliśmy mrówki.

Nagle, pośród tej ciszy, w fioletowej poświacie dogasającego ognia, pojawiła się postać szamana. Nie wiadomo skąd, bezszelestnie. Podszedł nas niezauważony nawet przez moich towarzyszy; podobno najlepszych tropicieli.

Przestraszyłem się śmiertelnie. Skurczyłem w sobie. Takie sceny nie wróżą nic dobrego. To w końcu nadal dzicy ludzie, nawet jeżeli czasami wkładają spodenki. Groźna, obca kultura, której nie poznałem na tyle, by się tu czuć bezpiecznie.

- Opowiedz nam o tamtych Dzikich - głos szamana był zupełnie spokojny, a nawet łagodny.

Najmniejszego cienia groźby, raczej coś na kształt przeprosin za to nagłe najście.

- Opowiedz o wszystkich, których spotkałeś, zanim trafiłeś do nas - zachęcił, kucając przy ogniu.

- To byłaby bardzo długa Opowieść.

- Nie szkodzi. Na deszcz się nie zanosi, a dopóki nie przybędzie wody w rzece, i tak nie masz stąd jak odpłynąć. Opowiadaj więc.

Cóż było robić - Indianom się nie odmawia, w każdym razie nie Dzikim. Kiedy ktoś ma twarz wymalowaną na czerwono, piórko w nosie i naszyjnik z zębów jaguara, a w dodatku pojawia się nagle nie wiadomo skąd, o jakieś trzy dni ostrego marszu od wioski, kiedy ktoś taki cię o coś prosi, odmawiać byłoby nieroztropnie. Postanowiłem więc, bez dalszego ociągania się, zacząć moją Opowieść. Ale nie zdążyłem...

W chwili, gdy otwierałem usta, wypadła mi przez nie niedojedzona mrówka, którą wcześniej, ze strachu, zapomniałem przełknąć.

- Znowu jecie to świństwo?! - oburzył się szaman. - Mówiłem wam tyle razy, że od jedzenia „czerwonych łbów” wędnie *pinga*.

Obaj Indianie zarechotali śmiechem.

- Nam jakoś nie wędnie. Przeciwnie, jeszcze bardziej nam się chce.

- Bo za długo jesteście na polowaniu.

Po tych słowach Czarownik podłożył do ognia, Indianie umości - li się wygodnie w swoich hamakach, a ja, już bez przeszkód, zacząłem moją Opowieść. A potem, przez kolejne wieczory, opowiadałem im jeszcze wiele różnych historii, zawsze zaczynając tak samo:

- Posłuchajcie...

CZEŚĆ 1

WYPRAWY DO DZIKICH PLEMION

Podobno nie ma już nad Amazonką plemion, które nigdy nie zaznały kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie ma Indian tak odizolowanych, że jeszcze nigdy nie widzieli Białych.

Ale to wcale nie znaczy, że człowiek cywilizowany bezpowrotnie utracił szansę na spotkanie ludzi żyjących w sta - nie pierwotnym. Są przecież odległe połacie dżungli do dziś nie tknięte przez cywilizację. Nigdy wcześniej nie eksplorowane, albo eksplorowane tak dawno temu, że wszyscy świadkowie tamtych czasów pomarli, a zdarzenia z nimi związane zarosły gąszczem legend i zapomnienia. Takie miejsca wciąż stanowią schronienie Dzikich.

DZICY

Wieczorami zasiadają w kucki przy wspólnych ogniskach; w szałasach pełnych dymu, który ma odstraszać moskity.

Niskie, krępe postacie o miedzianobrazowym kolorze skóry. Czasami wymalowane czerwoną maścią z roztartych nasion *onoto* - jej zapach chroni skórę przed insektami. Nagie, albo prawie nagie ciała - niewielka przepaska biodrowa raczej podkreśla, niż zasłania. Zresztą ludzie tutaj są dumni z tego jak wyposażyła ich natura, i obnoszą to publicznie.

Wszyscy - kobiety, mężczyźni, dzieci - mają poprzekłuwane nosy i uszy, czasami także wargi i policzki; przetknięte przez nie piórka, kolorowe ciernie, rybie ości, kły dzikich zwierząt - to indiańska biżuteria.

Siedzą tak skupieni wokół ognia godzinę, może dwie - tu nikt nie mierzy czasu - czekają chwili, gdy moskity odlecą spać i będzie się można bezpiecznie rozejść do hamaków.

Te wieczorne godziny to pora Opowieści.

Niektóre z nich dotyczą czasów bardzo odległych. Takich, których nie pamiętają nawet najstarsi mieszkańcy wioski. Takich, których nie pamiętał nikt z żyjących już wtedy, gdy dzisiejsi Najstarsi byli jeszcze Najmłodszymi.

W tych Opowieściach pojawiają się niekiedy tajemnicze osoby o oczach w kolorze nieba i skórze tak bladej, jak brzuch oskubanego z piór ptaka *garsa*. O skórze bladej niemożliwie. Niewyobrażalnie.

A w dodatku porośniętej włosami...

Oczywiście nikt w te Opowieści nie wierzy. Najstarszym musiało się coś pomieszać.

A nawet, jeżeli nie im, to na pewno pomieszało się wcześniej tym, od których oni usłyszeli te wszystkie bajdy. I teraz bezmyślnie powtarzają.

Owłosione ręce i nogi, zarost na twarzy - to jeszcze można zrozumieć - po prostu Najstarsi mylą małpę z człowiekiem. Ale biała skóra? Eee tam.

Nikt im nie wierzy. Ale czy Wy uwierzylibyście, gdybym Warn powiedział, że żyją na ziemi ludzie o niebieskim odcieniu skóry? A przecież są tacy! Rzadka skaza genetyczna powoduje, że zamiast normalnego pigmentu, ich skóra produkuje ten sam barwnik, który zawierają niebieskie oczy. Barwnik jak najbardziej naturalny i ludzki, tyle że powstaje w niewłaściwym miejscu. Niewiarygodne i niewyobrażalne, prawda?

Tak, więc Najstarszym nikt nie wierzy. I czasami ta niewiara ciągnie się przez długie lata, trwa wiele pokoleń. W tym czasie Najmłodszy dorastają do pozycji Wojowników, Wojownicy zasilają Starszyznę, a Najstarsi co noc snują plemienne Opowieści:

...O białych ludziach, którzy dawno, dawno temu płynęli rzeką w pobliżu naszej wioski. A myśmy ich obserwowali ukryci w nadbrzeżnym gąszczu. Trzymaliśmy dmuchawki gotowe do strzału. 'Wycelowane w białe szyje. Oni nas nie widzieli, ale myśmy się im przypatrzeli bardzo dokładnie - mieli białą skórę, a do tego włosy na rękach, nogach i policzkach. Niektórzy także na piersiach¹. Nie tak gęste jak u małpy, ale jednak włosy. Na pewno! I nie były to włosy w kolorze normalnych włosów - tylko brązowe. A u jednego żółte. I to właśnie ten z żółtą czupryną miał oczy w kolorze nieba...

Najstarsi opowiadają długo i ze szczegółami. Na podchwytliwe pytania odpowiadają zawsze tak samo - zgodnie - nigdy się nie mylą, nie płaczą. Mimo to nikt im nie daje wiary. Nikt! Już nawet oni sami zaczynają wątpić we własne Opowieści.

Do czasu!

Do czasu, gdy moje czołno po raz pierwszy zaszura o piaszczysty brzeg rzeki pośrodku ich wioski...

PIERWSZY KONTAKT

Kilkakrotnie udało mi się dotrzeć do wioski, gdzie wprawdzie wszyscy słyszeli już o istnieniu białych ludzi, ale nikt ich jeszcze nie widział.

Pierwszy kontakt z Dzikimi jest zawsze bardzo uciążliwy. Trzeba się uzbroić w masę cierpliwości. I poczucia humoru. Biały w indiańskiej wiosce to coś jak lądowanie UFO albo kino objazdowe. Przez pierwsze dni jest ośrodkiem natarczywego zainteresowania i nie zazna ni chwili prywatności. Nawet kiedy mu tej prywatności bardzo potrzeba, bo na przykład idzie

„na stronę”.

Po kilkunastu latach w dżungli wciąż nie mogę się przyzwycząić, że stadko dzieci idzie za mną w krzaki i kuca sobie dookoła, gdy ja kucam. Patrzą uważnie co robię, a ja przecież nie robię nic nadzwyczajnego. Przeciwnie, robię to, co wszyscy w krzakach na całym świecie. I chciałbym wtedy być sam. Sam!

- A sio! Poszły się gapić na kogoś innego! - niestety, takie wołanie nie pomaga.

Dzieciaki śledzą uważnie każdy mój ruch. Ale przede wszystkim podziwiają biel skóry. Bo skóra nigdzie nie jest tak biała, jak tam, gdzie te dzieci patrzą. Po to przyszły. Tak jak w innych szerokościach geograficznych przychodzą do cyrku popatrzeć na babę z wężem.

Ja tu piszę „dzieci”, a tymczasem to są chłopcy i DZIEWCZYNKI. Niektóre kucnęły za mną, ale inne kucają od frontu i bynajmniej nie patrzą mi w oczy. Rozglądają się po całym ciele. Wnikliwie.

Wprawdzie dla nich goły facet to żadna sensacja, raczej sprawa naturalna, codzienność, ale mnie bardzo trudno się przestawić. A jeszcze trudniej rozluźnić...

Ale w końcu natura robi swoje, a wstyd daje za wygraną. I wtedy dzieciaki zaczynają się głośno śmiać albo wiwatować!

To są te chwile, kiedy twarz białego człowieka rozkwita jak piwonia. Białą staje się na kilka chwil czerwonoskóry.

* * *

Pierwszy kontakt z dorosłymi wcale nie jest lepszy:

Najpierw mężczyźni organizują zbiegowisko, a zaraz potem, bez żenady, zaczynają gruntowną rewizję mojego bagażu. Każdy najzwyklejszy przedmiot jest tu całkowicie nowy. Zostaje więc obejrzany, obmacany oraz wypróbowany (przez wszystkich po kolei). Przy- mierza się części garderoby, rozkręca latarkę, wacha, a niekiedy smakuje pastę do zębów, krem na komary, lekarstwa... Indianie są ciekawi. A życie w dżungli, w kulturze zbieracko - łowieckiej, nauczyło ich poznawania świata poprzez dotyk i smak. I nauczyło ich dzielić się wszystkim, co trafia do wioski. Dlatego moje rzeczy w pewnym sensie przestają być moje. Indianie wprawdzie sami ich nie zabiorą, ale oczekują, że zostaną obdarowani. Tak tu jest na co dzień: gdy myśliwi wracają z polowania, najpierw pokazują swoje łupy, pozwalają je oglądać, podziwiać, dotykać, oceniać, a potem rozdzielają między pozostałych członków społeczności.

Biały człowiek, który tego nie wie i nie zachowa się zgodnie z indiańskimi zasadami, obrazi gospodarzy. Dlatego zawsze wożę ze sobą sporo rzeczy przeznaczonych do rozdania:

groty do harpunów i strzał, noże, maczety, sól, haczyki do łowienia ryb. Nie muszę rozdać wszystkiego, co jest mi niezbędne, ale powinienem rozdać sporo, żeby w końcu mężczyźni odeszli usatysfakcjonowani i pozostawili resztę mojego bagażu w spokoju.

* * *

Po mężczyznach przychodzą kobiety. Tego nie lubię najbardziej.

Indianki, szczególnie stare, są bardzo dociekliwe... i nic ich nie zawstydza.

Szczególnie interesuje je zarost. (Indianie czystej krwi nie mają zarostu - skóra twarzy, szyi, klatki piersiowej, rąk i nóg jest gładka i zazwyczaj sucha.) Podchodzą więc do mnie zaciekawione i zaczynają skubać za włoski na nogach. Skubią tym bardziej, im bardziej mnie to irytuje. Wyrrywają po jednym, a potem oglądają uważnie. Nowy kolor, nowy fason, no i jakie niezwykle miejsce, gdzie te włoski wyrosły.

Obserwują, dotykają, podglądają. Najchętniej w kąpielni. A najgorsze, że KOMENTUJĄ! Pół biedy, kiedy to robią słowami w niezrozumiałym narzeczu i człowiek nie wie o co im chodzi. Gorzej, kiedy zaczynają przy tym chichotać i wytykać palcami różne części mojego ciała. Nadal nie wiem, o co chodzi, ale sobie wyobrażam.

* * *

Pamiętam, jak pewnego razu tak bardzo pragnąłem uniknąć świdrujących kobiecych spojrzeń, że wstałem grubo przed świtem, wykradłem się z szałas i chyłkiem poszedłem nad brzeg rzeki, by choć raz w spokoju i bez świadków umyć całe ciało.

Zrzuciłem ubranie, wskoczyłem do rzeki, a potem stanąłem po kolana w wodzie i solidnie namydliłem skórę. To dobry sposób na pasożyty - mydli się człowiek cały, a potem stoi i czeka aż piana wyżre wszystko, co trzeba. Patrzyłem na przeciwległy brzeg i myślałem zębami. A piana żarła.

Dookoła panowała doskonała cisza.

A piana żarła.

Nadchodził świt.

A piana żarła.

I żarła.

Wreszcie zdecydowałem, że już wystarczy. Oplukałem się, odwróciłem w stronę mojego brzegu i stanąłem, jak wryty: Na kamieniach naprzeciwko siedziało kilkanaście indiańskich kobiet wpatrzonych we mnie jak w obraz pt. „Adam w raj”. Niestety, nigdzie w pobliżu nie było figowych listków.

Za to moja twarz - na którą żadna z obecnych chwilowo nie patrzyła, bo były skupione

na czymś innym - kwitła jak piwonia.

MORAŁ:

Jeżeli Dzicy zechcą dokładnie obejrzeć ciebie i cały twój bagaż, to obejrzą. Bez względu na twoje wysiłki, by było inaczej. Możesz się oczywiście opierać, ale wówczas wszystko tylko trwa dłużej. Dzicy są nadzwyczaj wytrwali i zawsze dopinają swego. Pierwszy kontakt trzeba po prostu przejść, tak jak się przechodzi różyczkę. I są na to tylko dwa sposoby: albo jedna wielka piwonia, albo spory bukiet mniejszych - całkiem bez piwonii się nie uda.

PLEMIĘ WAI WAI

Pięćdziesiąt lat temu pogranicze Gujany Brytyjskiej i Brazylii roilo się od tubylców z plemienia *Wai Wai*. Do naszych czasów Indianie ci w większości wymarli albo zostali | wybici przez *garimpeiros**[przypis: *Garimpeiros* - nielegalni poszukiwacze złota i szmaragdów. Operują w najdalszych zakątkach Brazylii i na pograniczu krajów ościennych. Okrutnicy i zbrodniarze. Często uciekinierzy z więzień, jedyny znany im sposób zaspokajania popędu seksualnego, to gwałt. ^Jedyny sposób na kłopoty z drugim człowiekiem, to zabić, [przyp. tłumacza]]. Pozostała garstka stopniowo porzuca *dzikie* życie w dżungli. Młodzi przenoszą się na łono cywilizacji, a tam prawie natychmiast tracą plemienną tożsamość i toną w morzu bezimiennej biedoty.

Dzikich *Wai Wai* przetrwało niewiele ponad dwustu. Dzikich, czyli takich, którzy wciąż jeszcze żyją w kulturze pierwotnej: groty do swoich strzał wyrabiają z połupanych kamieni; cięciwy łuków z trzewi i ścięgien tapira; drewniane ostrza dzid utwardzają w ognisku; jadają wyłącznie to co da im tropikalny Las; i unikają kontaktu ze światem zewnętrznym. Tylko ich stroje coraz częściej, pochodzą z importu.

Ostatni dzicy *Wai Wai* wiedzą sporo o naszej cywilizacji. Słyszeli Opowieści Najstarszych, trochę widzieli na własne oczy. Znają nawet pieniądze. Tyle że w ich świecie są one całkowicie nieprzydatne. Do najbliższego sklepu musieliby najpierw płynąć czołnem, a następnie iść piechotą, w sumie kilkanaście dni. W jedną stronę! Co ja mówię „sklepu” - to nawet nie jest porządny stragan - ot, drewniana szopka wielkości szafy, ustawiona na pograniczu dwóch światów - dżungli i cywilizacji. Cywilizacja dostarcza tam, od czasu do czasu, niewielki asortyment plastikowej tandety *Made in China*, a Indianie przynoszą suszone mięso upolowanych zwierząt oraz wędzone ryby. Handel jest wymienny. Papierowe

pieniądze przyjmowane są jedynie w drodze absolutnego wyjątku.

POCZĄTEK WYPRAWY

Przed wyruszeniem na wyprawę wiedziałem tyle: Gdzieś w dżungli na południu Gujany leży ostatnia wioska plemienia Wai Wai. Wszystkie pozostałe dawno podbito albo ucywilizowano. Ta ostatnia ocalała, bo leży bardzo daleko w głębi lasu. Gęstego, ciemnego i groźnego - takiego, który zabija intruzów.

Od czasu do czasu, bardzo rzadko, pojedynczy myśliwi lub drwale natykają się w dżungli na ślady Indian. Ale Indianin zostawia ślady tylko wtedy, gdy sobie tego życzy. Jeśli nie chce być odnaleziony, możesz przejść o krok od niego i go nie spostrzeżesz. Z kolei on może cię obserwować, z bardzo bliska, całymi dniami. Będzie cię śledził, pilnował, zwodził i umiejętnie odciągał od swojej wioski, a ty się ani razu nie zorientujesz, że jest tuż obok.

* * *

Odnaleźć tę ostatnią wioskę nie było łatwo. Teren do zbadania ogromny i praktycznie niezamieszkały, a poza tym nie mieliśmy pewności, czy ona jeszcze w ogóle istnieje.

Podstawowym źródłem informacji, a właściwie plotek na ten temat, było wojsko. Konkretnie jeden kapral i kilku szeregowców, którzy stanowili obsadę posterunku nazwanego hucznie: BAZA GUJAŃSKICH SIŁ OCHRONY POGRANICZA w LETHEM. W zamyśle twórców chodziło pewnie o wzbudzenie szacunku, jednak w kontekście tego, co się na ów posterunek składało, buńczuczna nazwa wywołuje śmiech. Był to zielono - biały barak z pustaków plus wygodka z blachy falistej. Wszystko usytuowane na końcu polnej drogi o długości... uwaga, uwaga... pięciuset kilometrów.

A po co komu taka długa droga polna?

Potrzebna! I to bardzo, bo jest to JEDYNA droga, która łączy karaibskie wybrzeże Gujany z resztą kraju. Większość tej reszty to dżungla, a w dżungli rosną cenne gatunki drewna, które wwozi się do portów właśnie tą polną drogą. Za dżunglą rozciąga się sawanna, gdzie rośnie sobie wołowina, którą też wywozi się tą polną drogą. [przypis: Autorowi chodzi o sawannę Rupunui. Nawiasem* mówiąc, fantastyczne miejsce na rezerwat dzikiej przyrody - na powierzchni równej Portugalii mieszka zaledwie 500 osób. [przyp. tłumacza]

* Trzeba by tylko gdzieś poza ten nawias przegnać krowy, których na Rupunui jest pół miliona.[przyp. Autora]] Z kolei za sawanną jest następna dżungla, ale stamtąd już nic się nie wywozi, bo droga kończy się dużo wcześniej. (Pod drzwiami blaszanej wygodki w Lethem.)

Wróćmy jednak do początku:

Początkiem najdłuższej polnej drogi świata są portowe ulice Georgetown. Tam jest ona jeszcze brukowana. Kręci się wokół doków, wchodzi na kilka wysuniętych w Morze Karaibskie betonowych nabrzeży, a w pewnym miejscu rozdwaja, i próbuje dotrzeć za granicę - na zachód do Wenezueli i na wschód do Surinamu. Obie próby kończą się smętnymi urwiskami na brzegu rzek granicznych - z braku pieniędzy na mosty.

Ponieważ to wstyd być jedyną drogą w swoim kraju i prowadzić donikąd, droga decyduje się uderzyć na południe z nadzieją dotarcia do Brazylii i połączenia z pewną całkiem przyzwoitą dwupasmówką. To by było coś - tamtędy można dojechać do Manaus albo do Caracas a dalej to już na cały kontynent.

Niestety, asfaltu starczyło na zrealizowanie zaledwie 50 kilometrów tych marzeń. Niektórzy niezyczliwi cudzoziemcy twierdzą, że i to nieprawda, ponieważ dziury zajmują dużo więcej powierzchni niż asfalt. Tak czy siak, wkrótce po opuszczeniu stolicy droga (nie osłonięta już niczym twardym i płaskim) staje się pełną gębą polna.

Biegnie w miarę prosto na południe. Najpierw przez błotnistą dżunglę, a potem przez kamienistą sawannę, aż do wspomnianego posterunku - w sumie około 500 kilometrów [przypis: Albo inaczej: 27 godzin terenową ciężarówką, bez przerw na sen. A na siusiu tylko wtedy, gdy zachce się kierowcy]. Dalej na południe ciągnie się już tylko niewyraźny szlak wydeptany krowimi kopytami, który zahacza o kilka hacjend, a potem dość szybko znika pośród traw Rupunui. Za tą sawanną rozciąga się Amazonia - dawne królestwo Wai Waiów.

DALEJ NIŻ „CAMEL TROPHY”

Ze sprzecznych relacji wynikało, że daleko w dżungli przetrwała jednak jakaś duża osada. Od czasu do czasu przybywali z tamtych stron indiańscy tragarze obładowani wędzonymi rybami i mięsem. Wymieniali je - towar za towar - w samotnym drewnianym sklepiku położonym o kilka mil od BAZY GUJANSKICH... Wymieniali głównie na sól i bawełniane ubrania. Potem szybko wracali do siebie. Pozostało na nich czekać, a następnie zabrać się z nimi do ich wioski.

Czekać?

Ale jak długo?

Jak często ci Indianie wychodzą z lasu?

Tego nie wiedział nikt w całym Lethem.

„Nikt” to może trochę mylące słowo. Formalnie rzecz ujmując, wiedzieli wszyscy. Tyle że każdy wiedział co innego. Gorzej! - ta sama osoba rano wiedziała co innego niż po

południu. I zawsze była stuprocentowo pewna, że wie co mówi, i że jest jedyną osobą w Lethem, która ma rzetelne informacje. [Przypis: Wyjątek stanowiło wojsko - kapral zawsze mówił to samo. A potem pytał szeregowców, czy to prawda, na co oni zgodnym chórem odpowiadali: *Tajes!*]

* * *

A czym właściwie jest wspomniane tu Lethem? Miasteczkiem?

Z całą pewnością nie, bo nie ma ulic.

Wioską?

Też nie, ponieważ nie ma dróg wzdłuż których rozłożone są gospodarstwa.

Powiedziałbym, że jest to coś nowego, na co nie wymyślono jeszcze nazwy.

W Lethem na przestrzeni, którą zwykle zajmuje milionowa metropolia, mieszka tylu ludzi, ilu jest w stanie pomieścić jeden wagon metra.

Domostwa rozsypane są po okolicy bez ładu i składu - jakby się komuś rozsypały klocki, które niósł w worku na plecach. Brak jakiegokolwiek porządku urbanistycznego jest tak wielki, że ten chaos, który był na początku wszechświata, rumieni się ze wstydu. Zdarza się, że kilka chałup stoi wzdłuż czegoś, co mogłoby być ulicą, gdyby tylko jej końce podłączyć do innych ulic. Tymczasem one zawisają w próżni i giną pośród traw, a każda chałupa ma wyprowadzoną z tyłu własną drogę. To, że postawiono je w równym szeregu, wydaje się być działaniem przypadku. Tak jakby nikt z mieszkańców nie zauważał linii prostych.

Drogi w Lethem biegną, jak chcą. Najczęściej znikąd donikąd. A ich układ zmienia się bezustannie. Szczególnie w porze deszczowej, gdy sawanna Rupunui przez wiele tygodni leży kilkanaście centymetrów pod wodą. Siekące deszcze, a potem strumienie i bajora, zacierają wszystkie wcześniejsze szlaki komunikacyjne. Kiedy woda wysycha, Lethem zaczyna wytyczać swoje zupełnie nowe ścieżki. Wracasz tam po pół roku i nigdzie nie możesz trafić. Tak jakby wszyscy przeprowadzili się w nowe miejsca.

Myślicie, że przynajmniej układ domów pozostał ten sam?

Nieprawda. Mieszkańcy Lethem kochają się przenosić.

Ponieważ większość chałup zbudowano z desek, rozbiera się je bardzo łatwo - z użyciem młotka i łapki - potem przewozi furą, a następnie odtwarza ten sam domek w nowym miejscu. Powodem może być drobna sprzeczka z sąsiadami lub przepełniona wygodka. Najczęściej jednak jest nim: *brak jakiegokolwiek powodu do dalszego pozostawania w tym samym miejscu*. [Przypis: ¹ Ludzie z wielkich metropolii radzą sobie z rym problemem

zasiadając przed telewizorami i przenosząc się z kanału na kanał.]

Kto twierdzi, że najbardziej mobilnym społeczeństwem są Amerykanie, nie był w Lethem. No ale nie ma w tym nic dziwnego, bo w Lethem nie był prawie nikt. Jedyne moment w całej historii, gdy świat usłyszał o jego istnieniu, to rajd „Camel Trophy”.

Specjalnie podrasowane landrowery wypakowane luksusowym sprzętem i najlepszymi ekipami z kilkunastu krajów^ na oczach ekip telewizyjnych z ogromnym trudem przedarły się z Lethem do Georgetown, pokonując najdłuższą polną drogę świata. Czyli trasę, którą każdego tygodnia przejeżdża kilka ciężarówek wyładowanych brazylijską kontrabandą. Na południe od Lethem - a więc tam, gdzie zaczynają się prawdziwe bezdroża - „Camel Trophy” nie pojechał. (Prawdopodobnie dlatego, że drogę tarasowała blaszana wygódka.)

* * *

Po dwóch tygodniach beznadziejnego oczekiwania, w drewnianym sklepiku pojawił się samotny Indianin.

-
-
-
-
-
-
-
-
-

Po godzinie niemrawej rozmowy udało mi się z niego wyciągnąć, że ma na imię Kufa. [Przypis: Kilkanaście dni potem okazało się, że Indianin nie powiedział wówczas całej prawdy - jego imię brzmiało bowiem EKUFA, z „E” na początku. Do dzisiaj nie wiem, czemu postanowił wydzielać mi tę informację po kawałku. Jednego jestem pewien - zrobił co z PREMEDIACJĄ.]

-
-
-
-
-
-

-
-
-

Po kilku kolejnych dniach poświęconych na namowy, perswazje i negocjacje udało mi się zawrzeć z nim umowę: w zamian za dwa worki soli i czerwoną sukienkę dla żony zgodził się zaprowadzić nas do ostatniej wioski swego plemienia.

Potem Indianin namyślał się jeszcze...

-
-
-
-
-
-
-
-
-
-
-
-
-
-
-

...całe dwa dni...

-
-
-
-
-
-
-
-
-
-

...ale w końcu ruszyliśmy w drogę.

PRZEZ SAWANNĘ I DŻUNGLE

Najpierw musieliśmy przebyć sawannę Rupunui. Wypełniały ją zapierające dech w piersi pejzaże. Gdyby im zrobić zdjęcie lub namalować portret, można by startować w kon-

kursie na największy kicz świata:

Płaskie bezludne przestrzenie. Pełne kurzu i kamieni. Miejscami podmokłe. Tu i ówdzie poprzecinane korytami rzek okresowych. Nad tymi rzekami lasy galeriowe. Wszędzie indziej trawa, trawa, trawa, kopiec termitów, trawa, trawa, samotna akacja lub kolczasty krzak i trawa, trawa, trawa. A poza tym sporo trawy. Bardzo sporo.

I nie pomaga nawet pół miliona krów - giną w tej trawie - jest jej tyle, że nie mają najmniejszych szans wszystkiego przeżyć. A przecież, poza krowami, są tu jeszcze kapibary, żółwie, południowoamerykańskie odpowiedniki antylop, saren i jeleni oraz cała masa innej zwierzyny, która żyje trawą. Przejadają setki ton dziennie!

A ona odrasta.

* * *

Przebycie Rupunui na piechotę zajęłoby nam jakieś siedem do dziesięciu dni - tyle szedł Ekufa. Wozem zaprzężonym w wołu to byłyby trzy dni; może cztery. Wynająłem więc traktor, który tłuł się tylko jedną dobę. Za to całą - od południa do południa, z dwugodzinną przerwą na sen o północy.

Za traktorem ciągnęliśmy dwukółkę, na której pod nieprzemakalną plandeką leżały wszystkie nasze bagaże, zapasy żywności, amunicja, sprzęt niezbędny na wyprawie, a ponadto dwa worki soli i czerwona sukienka dla żony (E)Kufy.

Dwukółka nie miała resorów, a jej połączenie z traktorem stanowił krótki sztywny dyszel. Dodajcie do tego bezdroża... I co Warn wyszło?

Mnie przypominało to jazdę rowerem po zaoranym polu w poprzek skib. Co chwila podrzucało nas z impetem w górę, a potem z równym impetem człowiek lądował na twardej metalowej podłodze. Do wyboru były dwie pozycje: na siedząco lub w kucki. Stać normalnie się nie dało, ponieważ burty dwukółki były zbyt niskie - sięgały zaledwie moich kolan. W pozycji wyprostowanej człowiek nie miał się za co złapać i na pierwszym wyboju fikał koziołka.

Kucanie połączone z ciągłymi wyrzutami w powietrze męczyło kolana. Wtedy człowiek siadał na pupie, ale to z kolei powodowało bolesne obicie kości ogonowej. No i tak przez całą dobę.

Gdy sawanna została za plecami, wjechaliśmy w zielony tunel - otoczyła nas ciemna, gęsta dżungla. Ta najprawdziwsza i największa na świecie - amazońska.

* * *

Jej północny skraj (obejmujący spore połacie Gujany, Surinarnu i Gujany Francuskiej)

to ziemie niezamieszkałe i nieeksplorowane. Wszystko dlatego, że żadna z rzek na tym terenie nie łączy się z Amazonką. Nie warto więc sobie zawracać głowy na przykład wycinką miejscowego drzewa - potem i tak nie byłoby go jak przetransportować do miejsc, gdzie ktoś mógłby je od nas kupić. Z identycznych powodów nie warto tu zakładać wiosek, karczować puszczy pod uprawy, łowić i wędzić ryb, suszyć mięsa leśnej zwierzyny itd. W Amazonii jedynymi szlakami komunikacyjnymi są rzeki - tam gdzie ich nie ma, nie osiedlają się ludzie. (Poza Indianami rzecz jasna.)

W dżungli, do której właśnie dotarliśmy, rzeki jako takie wprawdzie były, niektóre nawet całkiem spore [Przypis: Na przykład rzeka Essequibo, nad którą dzieje się akcja sławnej powieści Arkadego Fiedlera „Orinoko”. [przyp. tłumacza]], ale wszystkie one płynęły na północ - do Morza Karaibskiego - a nie na południe - w stronę Amazonki.

* * *

Po kolejnych dziesięciu godzinach (urozmaicanych ciągłym odkopywaniem traktora z błota oraz wyciąganiem go za pomocą lin i kłód ciskanych pod koła) dotarliśmy wreszcie do jakiejś rzeki.

Sądząc z mapy, była to rzeka Kuyuwini, choć Ekufa nazywał ją całkiem inaczej. Jednym z tych słów, których biały człowiek nie jest w stanie ani powtórzyć, ani sensownie zapisać.

Na jej brzegu czekała na nas sporej wielkości łódź i śpiący na jej rufie młody Indianin - jak się wkrótce okazało, pomocnik Ekufy do wiosłowania. Wszyscy byliśmy szczęśliwi i pełni werwy. Skończyło się błoto, skończyły wyboje, teraz już będzie równiutko po wodzie. Postanowiliśmy odpłynąć jeszcze tego samego dnia.

Traktor zawrócił i szybko odjechał, a my bez większego trudu zapakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy do ośmiometrowej pirogi.

Była długa i wąska. Wydłubano ją z twardego czarnego pnia. Wyglądała jak zrobiona z bazaltu. Gdyby jakimś cudem przenieść tę pirogę do Europy, samo drewno, sprzedawane na wagę, miałyby wartość średniej klasy mercedesa.

Właśnie kończyłem rozmyślać na ten temat, kiedy okazało się, że w rzece nie ma wody. Prawie nie ma. Z tego powodu zaraz po wejściu do łodzi osiedliśmy na mieliźnie.

Przez następne dwa dni ciągnęliśmy łódź brzuchem po piachu. Przenosiliśmy przez podwodne skały. Przeciągaliśmy przez powalone pnie. I pchaliśmy przez zbyt wąskie zakręty. Przy tej robocie „Camel Trophy” to popołudniowe leżakowanie w przedszkolu.

Trzeciego dnia woda podniosła się na tyle, że można było usiąść do wioseł. Ale moja

radość trwała krótko - w ciągu następnych siedmiu dni wiosłowaliśmy po dwanaście godzin dziennie! Na domiar złego, wiosłowania nie można było przerywać na dłużej niż kilka sekund, bo wówczas prąd spychał nas wstecz.

Bąble na dłoniach i bolące barki to jeszcze nic w porównaniu z przeraźliwą MONOTONIA trzystu tysięcy uderzeń wiosłem. Codziennie! Od bladego świtu do szarego zmroku.

I nazajutrz znów - trzydzieści tysięcy wiosł.

I... raz!

I... dwa!

I... trzy...aa!... (przy trzecim pociągnięciu wiosłem pękały wczorajsze bąble) I... cztery!

I...

I...

I...

I...

I...

I...

I... dwa.

I... TRZYDZIEŚCI TYSIĘCY! Nareszcie koniec!

- Wiosłuj, gringo, wiosłuj - krzyknął Ekufa za moimi plecami. - Dzisiaj płyniemy do oporu, nawet po ciemku. Wioska jest już blisko.

I... trzydzieści tysięcy.....siedemnaście

Dotarliśmy do niej po jedenastu dniach od wyruszenia z Lethem.

OSTATNIA WIOSKA

Przywitała nas starszyzna plemienna. Bardzo niechętnie. Ekufa usłyszał od Najstarszych kilka twardych słów, z których zrozumiałem wyłącznie gringo. Było ono wypowiedziane tonem, jakiego używa się, gdy ktoś odkrywa, że zamiast masła orzechowego na jego grzance umieszczono smar do osi.

Najstarsi pokrzykiwali szeptem [przypis: Czy można pokrzykiwać szeptem? Owszem. Na przykład, kiedy dwoje ludzi próbuje się „dyskretnie” kłócić przy gościach.], jednocześnie wskazując energicznie rzekę za naszymi plecami. Sugestia była przerażająco jasna - wynocha, i to natychmiast!

Pomyślałem wtedy, że moja umowa z Ekufą dotyczy wyłącznie doprowadzenia mnie do wioski, natomiast nie mówi nic o odprowadzeniu. Z doświadczenia wiedziałem, jak dosłowni potrafią być Indianie i jak świetną mają pamięć do szczegółów. Ostatecznie jednak zwyciężył plemienny nakaz gościnności - wódz, niechętnie i po długich targach, ale pozwolił zostać.

Ta początkowa niechęć brała się stąd, że przybyliśmy do wioski w Wielkim Tygodniu, a więc w okresie świątecznym. Dla Wai Waiów nie miało to oczywiście żadnego znaczenia - oni prowadzą inną rachubę czasu i mają własne święta - ale dziwnym zrządzeniem losu tej wiosny nasz (chrześcijański) Wielki Tydzień zbiegał się z ich największym świętem, które, podobnie jak my, nazywają „Wielką Nocą”.

Zadziwiło mnie, ile w tym starym indiańskim święcie było podobieństw do naszego Wielkiego Postu i Wielkanocy.

WIELKA NOC

Jakieś 40 dni wcześniej wszyscy myśliwi opuścili wioskę i udali się na odległe łowiska. Wówczas w wiosce zapanował okres wymuszonego postu - nie miał kto polować, dlatego jedzono głównie ryby i płaskie placki z tartego manioku, przypominające macę. Jednocześnie wszyscy przygotowywali się do Wielkiej Uczty, która miała nastąpić po powrocie myśliwych.

* * *

O świcie usłyszeliśmy płynące z oddali odgłosy trąb. Coś jakby rogi myśliwskie. Wszyscy mieszkańcy wioski wybiegli na brzeg rzeki, by przywitać zapowiadających się w ten sposób łowców.

Z mgły wypłynęły trzy obładowane pirogi. Były pełne łupów: wędzone mięso tapirów i małp, szlachetne ptactwo (część jako przysmak, inne celem oskubania na piękne pióropusze), leniwce, pekari, aguti i sporo innych, które ciężko było rozpoznać.

Myśliwi przybili do brzegu i zaczęli procesyjnie przenosić łupy - - trofea do *maloki* (wielkiej okrągłej chaty służącej zebraniom). Nie wolno im było pomagać! Każdy sam nosił, a jednocześnie prezentował, co upolował. Potem przywoływał wybrane przez siebie gospodynie i ceremonialnie *przekazywał* im mięso, z prośbą o przygotowanie go na wieczorną Ucztę. Kobiety dziękowały, a następnie częstowały myśliwych cienką (postną?) zupką z orzeszków palmowych. Zupka była na oszukanie głodu i przypominała mi wyglądem zupkę śledziową, którą w każdy Wielki Piątek serwuje moja Babcia.

Po ceremonii przekazania darów, wszyscy na kilka godzin rozeszli się do swoich domów. Kobiety miały w tym czasie przyrządzić wyszukane potrawy mięsne - pierwszy od czterdziestu dni syty posiłek.

Wieczorem nastąpiła celebrowana hucznie wieczerza: Najpierw wniesiono placki maniokowe - indiański chleb powszedni. Ponieważ są okrągłe i białe, przypominały mi ogromne hostie (miały po metrze średnicy). Zgromadzeni ludzie zaczęli się nimi dzielić, zupełnie tak, jak my dzielimy się opłatkiem lub święconym jajkiem - wymieniając uśmiechy i dobre życzenia na nowy sezon.

Następnie dostojni myśliwi odebrali od kobiet przygotowane przez nie mięso i zaczęli dzielić je sprawiedliwie między wszystkich.

Odrywali po kawałku, podchodzili do kolejnych osób i podawali - z ręki do ręki - zaglądając każdemu głęboko w oczy. Poważniali przy tym na sekundę. Aż mnie od tego świdrującego spojrzenia przeszły ciarki - poczułem się wyróżniony. Podobnie jak wówczas, gdy przyjmowałem Pierwszą Komunię Świętą.

Potem myśliwi poili wszystkich *chichą* - indiańskim winem. Obchodzili całe zgromadzenie z jedną wspólną miseczką, zrobioną ze zdrewniałej skorupy kalebasy. Nabierali gęstego płynu i podawali każdemu, znów zaglądając mu głęboko w oczy. Kolejne ciarki.

Nikt się nie upił, choć w tropikalnym klimacie *chicha* szybko idzie do głowy. Ludzie zachowywali się radośnie, ale przez cały czas z godnością. Dostojnie.

W tym dniu przypadał nasz Wielki Czwartek - pamiątka Ostatniej Wieczerzy. A Indianie świętowali jeszcze cztery dni - aż do swojej Wielkiej Nocy.

KONIEC WYPRAWY

Egzotyczna wyprawa kończy się w chwili osiągnięcia celu, czyli w momencie dotarcia na szczyt najwyższej góry, na biegun północny, itp. Takie miejsca mają tę cechę, że stamtąd nie ma dokąd dalej pójść, można już tylko zacząć wracać. A powrót do domu to przecież nie jest żadna wyprawa. Powrót to powrót - tylko tyle - choćby był powrotem z najbardziej nawet egzotycznej ekspedycji.

* * *

Z ostatniej wioski Wai Waiów też można było wyłącznie wracać. W dodatku wracało się bez względu na to, w którą stronę człowiek poszedł - stamtąd w każdym kierunku było już tylko bliżej i bliżej do cywilizacji.

Ale w przeciwieństwie do biegunów i szczytów gór, w indiańskich wioskach można

jeszcze po zakończeniu wyprawy pozostać.

Ja zawsze zostaję - czasami na długie tygodnie - i taki pobyt uważam za rzecz ciekawszą od samej wyprawy.

MORAŁ:

Pracochłonne docieranie dokądś, to tylko kwestia techniczna. Wyprawa, to zaledwie wyczyn mięśni i trochę hartu ducha. Prawdziwie ciekawe i wartościowe jest dopiero to, co następuje później - a więc życie codzienne pośród ludu o innej kulturze. I codzienne spostrzeżenie, że człowiek pierwotny, często nazywany Dzikim, różni się od nas jedynie ilością noszonej odzieży.

ŻYCIE CODZIENNE DZIKICH

Kolejna wyprawa, tym razem do Wenezueli. Kolejne „dzikie” plemię. Pierwsze spojrzenia - jak zwykle pełne nieufności.

I broń - stale w zasięgu ręki.

A zaraz potem wielka natarczywa ciekawość i rewizja całego bagażu. Pierwsze palce skaleczone moją golarką. Pierwsze oczy oślepienie zaglądnaniem do latarki. Pierwsze piski i śmiechy, kiedy ktoś posmakował pachnące owocowo mydło.

Jest też pierwszy nieskrywany podziw ze strony mężczyzn - kiedy rozwieszam mój wojskowy hamak. Podchodzą, macają, cmokta - ją. Ważą w dłoni nieznany sobie materiał, który nic nie waży. Daje się zgnieść w małą kulkę i schować w dłoni! Potem każdy z nich, po kolei, siada w tym hamaku sprawdzając, czy coś tak cienkiego jest w stanie udźwignąć ciężar dorosłego mężczyzny. Niedowierzenie, podziw, śmiech.

Teraz ja. Ogłaszam, że chcę kupić łuk, strzały, przepaskę biodrową oraz kilka innych artykułów pierwszej potrzeby. W ten sposób mogę zyskać przychylność Indian. Biały, który ubiera się tak jak oni, wzbudza szacunek. Oddaję więc całe ubranie, które mam na sobie, w zamian za tubylcze stroje i ozdoby.

Łuk jest mi niezbędny jako atrybut męskości, bo tu tylko baby i dzieci nie noszą broni. Nawet bardzo mali chłopcy robią sobie łuki - zabawki i nigdy się z nimi nie rozstają.

Potem wynajmuję szałas, kupuję trochę żywności oraz zapewniam sobie usługi dwóch najlepszych tropicieli dzikiej zwierzyny.

Na tych wszystkich zajęciach mija mi kilka dni. Może tydzień... Sam już nie bardzo wiem, bo tutaj czas nie płynie; raczej kręci się w kółko. Dookoła tych samych, powtarzalnych

czynności dnia codziennego, które trzeba wykonać, żeby przetrwać. Żeby przeżyć kolejny dzień.

Niestety, na początku stanowczo przeszarżowałem z hojnością. Rozochociłem Indian tak bardzo, że teraz wszyscy chcą ze mną handlować - natarczywie - a mnie zabrakło już przedmiotów na wymianę. W tej sytuacji, bezradny, proponuję im pieniądze. I natychmiast przekonuję się, ile są warte w dżungli:

Indianie wyznaczają ceny w rodzaju: Jeden pieniądz”, „dwa pieniądze”. Nie liczą się nominały, tylko SZTUKI. Każdy banknot jest przedmiotem - podobnie jak haczyk na ryby albo maczeta. Nie ma wprawdzie żadnej wartości użytkowej, ale ładnie wygląda i można go sobie pooglądać. Albo - *co* uczyniło kilka kobiet - wpiąć we włosy, lub przetknąć przez dziurkę w uchu. Tę samą, przez którą na *co* dzień przetyka się kolorowe piórka dla ozdoby.

Zawartość mojego portfela zamieniła się nagle w wygniecione papierki z obrazkami. A pośród nich najmniej warte okazały się amerykańskie dolary - na nikim nie robią wrażenia, bo w dżungli wszystko jest zielone jak dolary. W dodatku przy pocieraniu szorstkim paluchem dolary brudzą, więc Indianie uznali, że mi zapleśniały.

MORAŁ:

Są jeszcze na Ziemi takie miejsca, gdzie pieniądze się nie liczą. W świecie Dzikich walutą jest praca, sól, żelazne groty do strzał, noże, siekiery, strzelby Wielką moc nabywczą mają także: znajomość czarów i umiejętność leczenia, męstwo w walce, mądrość, którą potrafimy służyć innym, lub - i to Was pewnie zadziwi - dobra Opowieść. Posłuchajcie...

WIELKA MOC

Namydliłem się i spłukałem w wodzie po kostki. Głębiej w rzekę bałem się wchodzić ze względu na piranie i węgorze elektryczne.

Mógłbym do tego dodać także *raye*, *canero*, jadowite kolce powywracanych palm, no i królową podwodnych niebezpieczeństw - anakondę. Tylko po co dodawać cokolwiek, skoro samotna pirania jednym kłapnięciem potrafi odgryźć duży palec u nogi, a przelotny kontakt z elektrycznym węgorzem to tyle, co muśnięcie kablem o napięciu 350 V.

Moją kąpiel podziwiała spora grupka Indian zgromadzonych na brzegu. Wciąż stanowiłem dla nich atrakcję. Nie odstępowali mnie na krok, obserwując te wszystkie dziwy, które przywiozłem ze sobą: pieniący się szampon, plastikową szczoteczkę do zębów, oczywiście moją białą skórę, a także długi szew pooperacyjny, który mam na prawym boku.

* * *

W wieku lat pięciu wycięto mi kawał płuca. Po operacji została spora blizna. Zaczyna się z przodu, na klatce piersiowej, przechodzi pod ramieniem i kończy na plecach, aż za łopatką. Wyglądem przypomina tory dziecięcej kolejki albo suwak błyskawiczny - długa prosta szrama z kilkudziesięcioma poprzecznymi szwami.

Zawsze robi wielkie wrażenie na Indianach. W ich mniemaniu człowiek, który był tak dotkliwie rozharatany i od tego nie umarł, musi być napełniony Wielką Mocą.

Moja blizna kilkakrotnie była przepustką na tereny zamknięte dla białych i kartą wstępu na sekretne indiańskie obrzędy. Pogrzeby, porody, odczynianie uroków - tego wszystkiego nie pokazuje się obcym. Chyba że któryś ma odpowiednio szokującą szramę - dowód działania Wielkiej Mocy.

Za każdym razem muszę podawać jakąś genezę tej blizny - Indianie domagają się Opowieści. Niestety, prosta prawda o chirurgu ze skalpelem odpada, bo nic z tego nie rozumieją. To musi być coś dostosowanego do lokalnych warunków i poziomu wiedzy...

Na przykład historia o wielkich krokodylach pływających w Wiśle; albo o bardzo starym jaguarze, który miał już tylko jedno czerwone oko i jeden tępy pazur, ale i tak mnie nim rozharatał od przodu aż do tyłu.

...A ja go w odwece nożem! Ciiiaaaach! Od brzucha, w miejscu gdzie wyrastają tylne łapy, aż po same gardło. Potem padliśmy na siebie. Zbroczeni krwią. A krew, jego i moja, spienione walizą, mieszały się, i mieszały, aż zostaliśmy braćmi krwi. Ja i stary jednooki jaguar. W pewnej chwili mój brat - jaguar wyzionął ducha. I ten duch szukał sobie nowego miejsca. I poprzez otwarte żyły wniknął do wnętrza mojego serca...

Opowieść może być zmyślona. Byle była zabawna lub sławiła przyjaźń, męstwo i odwagę.

* * *

Tym razem opowiedziałem o zardzewiałej maczecie i wojnie plemiennej (z niejakimi Kaszubami). A potem dodałem coś na temat szamanów w białych maskach, z błyszczącymi nożami w dłoniach, którzy wznoszą okrzyki w rodzaju: *Siostro, zaciski*.

Zgromadzeni na brzegu rzeki Indianie wysłuchali mojej Opowieści. Popatrzyli na bliznę. Pokiwali głowami. Poszeptali między sobą. A potem już nikt w tej wiosce nie odważył się obserwować mnie w kąpielni.

I prosili, żebym nigdy w ich obecności nie zdejmował koszuli, bo *na Wielką Mocę niebezpiecznie patrzeć*.

Decydujący w tej sprawie był głos ich szamana, który stwierdził, że człowiek przetrząnięty w taki sposób jak ja, już się nie zrasta.

- Tylko umiera. I to szybko.

Więc jeśli ja nie umarłem, to znaczy, że potęga białych szamanów przewyższa wszystko, o czym on słyszał. [Przypis: A potem wziął mnie na stronę i wypytywał jak to jest\ że nasi szamani pracują ze swoimi siostrami? Bo u Indian szaman wystrzega się kobiet, żeby go przez nie Moc nie odeszła, „Nie wyciekła” - tak to ujął. Odpowiedziałem, że sekret polega na tym, by z siostrami obcować wyłącznie w szałasach operacyjnych, nigdy w hamaku - wtedy żadna Moc „nie wycieknie”.]

MORAŁ:

Następnego dnia rano, przed moim szałasem znalazłem wspaniały łuk i strzały. Były dużo lepsze od tego, co udało mi się wcześniej nabyć w drodze wymiany „towa za towa”. Bo z Indianami jest tak, że bardziej cenią przyjaźń, męstwo, odwagę, dobrą Opowieść, zabawę i wspólny śpiew niż góry złota. O ile nasz świat byłby lepszy, gdyby więcej jego mieszkańców myślało tak jak Indianie. [Przypis: Bardzo wyraźnie załatuje mi tu pastiszem, czyli mówiąc po ludzku - zżynką. W rozdziale 18 „Hobbita” krasnolud Thorin wypowiada następujące słowa: *Świat byłby weselszy, gdyby więcej jego mieszkańców tak jak ty ceniło dobre jado, zabawę i śpiew wyżej niż góre złota*, [przyp. tłumacza]]

CZEŚĆ 2

ŁOWCA TAJEMNIC

Dwoje ludzi patrzy na to samo, a widzi dwie różne rzeczy - oto niezgłębiona tajemnica ludzkiej duszy. Zdarzyło Wam się kiedyś coś podobnego? Mnie przydarza się dosyć często. Zazwyczaj z Indianami, ale ostatnio na kanapie w salonie.

Oglądaliśmy właśnie pewien fascynujący program w telewizji. We dwoje, plus lampka wina, świece... *romantico*. Wtem, zupełnie niespodziewanie, ona mówi:

- Zgaś ten chłam.

W takich chwilach nie warto dociekać, dlaczego mój interesujący program to dla niej „chłam”. Takie dociekanie zajęłoby wiele godzin i najprawdopodobniej zakończyłoby się w punkcie wyjścia - w dodatku *furiso* - a do końca programu zostało przecież tylko kilka minut... no może dziesięć. Dlatego lepiej jest zagrać na czas - zamiast od razu zmieniać kanał, można zapytać na przykład:

- Czy leży z nami pilot?

(Chwilę wcześniej trzeba pilota dyskretnie wsunąć między poduszki.)

* * *

Z Indianami jest podobnie - w wielu sprawach nie da się dociec, o co im właściwie chodzi, ani dlaczego myślą inaczej niż my. Mimo to warto próbować. Zajmuje to wprawdzie mnóstwo czasu i najczęściej kończy się w punkcie wyjścia - w stanie głębokiego *frustrado* - ale może przynieść sporo pożytku. Nawet gdy ostatecznie nie zrozumiemy, dlaczego Indianie postępują tak, a nie inaczej, dobrze jest przynajmniej wiedzieć, jak się w danej sytuacji zachowają.

Taka znajomość mechanizmu działania, bez znajomości jego przyczyny, bywa użyteczna.. Wyobraźcie sobie przegrzany reaktor atomowy, który grozi wybuchem. Nie wiadomo, dlaczego się przegrzał, ale wiedząc jak działa, można go w porę wyłączyć.

A teraz wyobraźcie sobie grupę poddenerwowanych Indian z dzidami w dłoniach. Stoją dookoła - a my pośrodku - i możemy ich albo jeszcze bardziej zdenerwować, albo jakoś udobruchać. Dobrze jest wówczas wiedzieć, jak działa indiańska dusza. Jak oni myślą. Jak zareagują. Jak, jak, jak - „dlaczego” jest kwestią drugorzędną.

Posłuchajcie...

RAJ NA ZIEMI

Było to w jednym z krajów, które nazywa się „republikami bananowymi”. Trudno powiedzieć dlaczego, skoro ich ustrój polityczny, bardziej niż republikę, przypomina krwisty befsztyk, natomiast ekonomia opiera się nie o uprawę bananów, lecz o pomoc humanitarną i pożyczki z zagranicznych banków. Tak czy owak, było to w jednej z republik bananowych. Tyle że bardzo daleko od jej centrum. Kilka kroków w złą stronę i człowiek (nic o tym nie wiedząc) nielegalnie przekraczał granicę, naruszając terytorium sąsiedniej republiki.

Mieszkańcy tej okolicy nie bardzo orientowali się, że są obywatelami jakiegoś państwa. To państwo zresztą nie miało im tego za złe. Ono samo nie bardzo orientowało się, że ma obywateli na terenach, gdzie nie ma nic, poza bezużytecznym lasem podzwrotnikowym i tym wszystkim, co taki las wypełnia - florą, fauną, płucami świata, a w praktyce głównie gorącym powietrzem nadziewanym insektami.

Terry Pratchett pisał o takiej ziemi w sposób następujący:

Okolica miała to szczególne piękno, które zachwyca tylko wtedy, gdy można je opuścić po krótkiej chwili podziwu i odjechać w inne miejsce, gdzie znana jest gorąca kąpiel i zimne drinki. Pozostawanie tutaj przez dłuższy czas mogło być tylko pokutą.[przypis: „Świat Dysku”, wyd. polskie Prószyński i S - ka, tłum. Piotr W' Cholewa.]

Ja z kolei myślałem zupełnie na odwrót - uważałem, że to raj na ziemi i chciałem pozostać w nim jak najdłużej.

Ot, kolejna tajemnica ludzkiej duszy.

* * *

Indianin wisiał w hamaku na przyzbie i jak co dzień nic nie robił.

A dookoła niego rosła sobie bujnie bieda. (Właściwie lepiej byłoby napisać BIEDA - taka była wielka.)

Chałupa, którą ulepił z gliny dawno temu, przechyliła się i nieuchronnie zmierzała ku upadkowi...

- Ale przecie jeszcze stoi - powiedział Indianin - więc na razie nie ma co naprawiać.

Dookoła niego orbitowało stadko głodnych prosiaków. Były bardzo czujne - gotowe rzucić się ze smakiem nawet na niedopałek papierosa albo paperek po cukierku. Stadko składało się w przeważającej części z łaciatej skóry i kości. A kości te sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały się przebić na zewnątrz...

- No bo te świny są strasznie leniwe i nic sobie nie umia znaleźć do żarcia - objaśniał Indianin.

- To może być im sypaną garść kukurydzy? - zapytałem pewnego razu.

- Świniom dawać jeść? - oburzył się i zdziwił jednocześnie. - Wy Biali to zupełnie pojęcia nie macie o zasadach gospodarki hodowlanej. Świnie nie są po to, żeby je człowiek karmił, tylko na odwrót - zakończył dyskusję.

Ton jego głosu przywodził na myśl brodatych proroków i boże przykazania.

Poza stadkiem świń, Indianin miał także dwie kury, żonę i gromadę dzieci, które składały się głównie z ogromnych oczu oraz żył i ścięgien - ani grama tłuszczu.

W Europie takie dziecko zostałoby prawdopodobnie odebrane rodzicom i w trybie pilnym podłączone do kroplówki. Na szczęście w republikach bananowych nikt nie robi takich rzeczy. Sądząc po poziomie radosnego hałasu, jaki potrafiły wytworzyć, dzieciaki były po pierwsze szczęśliwe, a po wtóre, mimo biedy, czerpały mnóstwo energii ze słońca albo innych tajemniczych źródeł. Żeby miały zdrowe, cerę ogorzałą, włosy gęste, ubrania podarte, gęby umorusane i ZAWSZE roześmiane od ucha do ucha.

Reasumując:

- Gliniana chałupka kryta strzechą z palmowych liści.
- W tej chałupce kilkunastoosobowa rodzina plus inwentarz.
- Dookoła tropikalny las i przemożna bieda.

A Indianin, zamiast ruszyć do jakiejś roboty, całymi dniami wisi w hamaku!

* * *

- Do roboty? A po co? - pytał szczerze zdziwiony.

- Jak to po co? Żeby dzieciom kupić *coś* do jedzenia.

- Nie warto. Jedzą i jedzą, a i tak są zawsze głodne. Dzieci się nigdy nie udaje napęścić.

Po prostu muszą z tego wyrosnąć.

- Z głodu się nie wyrasta!

- Ja wyrosłem. Nic mi się nie chce - nawet jeść. No więc i one wyrosną, ale na to nie trza jedzenia, tylko CZASU - zakończył znanym mi już tonem proroka.

Jego filozofia życiowa zbudowana była przede wszystkim z żelaznej logiki. Poukładana w ciasną pryzmę. Wewnętrznie spójna w stopniu doskonałym, poziom komplikacji i finezji miała mniej więcej taki jak kowadło. Nie umiałem jej niczym podważyć. Ale wciąż niestrudzenie próbowałem.

- No a jakbyś na przykład wyhodował więcej świń, no i może przynajmniej odrobinę bardziej tłustych niż te tutaj, to mógłbyś którąś sprzedać i zarobić.

- A po co? - zapytał i odpowiedział jednocześnie.

Czułem, że mój zdrowy rozsądek został powalony na łopatki i rozpoczęło się odliczanie.

- Pieniądze mi szczęścia nie kupią - dodał po chwili. - I w ogóle w naszej okolicy są mało praktyczne. Wszystko czego człowiekowi potrzeba rośnie sobie dookoła - pokazał palcem w kierunku lasu, niewielkiego zagonu kukurydzy oraz niewysokiej palmy, na której dojrzewały właśnie dorodne papaje [przypis: Indianin nie zasadził tego drzewa Wyrosło samo z przypadkowo upuszczonej pestki Pestkę tę zgubił pewien tukan który przelatywał tędy w drodze do Gwatemali Kiedy ją upuścił zaskrzeczał żalem *truk truk* jak to zwykle robią tukany Kilka minut po/niej niespodziewanie dla wszystkich w okolicy rozpętała się potężna burza z piorunami. Siekący deszcz wbił pestkę w ziemię dzięki czemu nie znalazły jej ani świnię ani kury ani dzieci i mogła się w spokoju zająć kiełkowaniem.]

- Buty nie rosną. Trzeba kupić.

- A po co? Nigdy nie miałem butów i jakoś nie krzywduję. A dzieciaki też nie lubią chodzić inaczej jak na bosaka Buty je piją w stopy.

Z butów wycofałem się bez żalu, bo rzeczywiście w klimacie podzwrotnikowym nie były towarem pierwszej potrzeby.

- No to byś sobie może radio kupił? Lubisz muzykę?

- Sąsiad ma. Ten co mieszka za polem Puszcza na cały regulator i ja tu świetnie słyszę jak charczy.

- Naprawdę nie ma nic, co chciałbyś mieć? - zapytałem kilka dni później (wypróbowałem wcześniej wszystkie możliwe przedmioty i usługi dostępne za pieniądze). - Niczego ci nie brakuje?

- Czasu.

- Jak to czasu? Przecież całe dnie nic nie robisz, tylko wiesz w hamaku.

- A ile jeszcze tak powiesz, he?

- A co to za różnica?

- Widzisz, gringo, dla mnie szczęście jest wtedy, gdy mogę sobie wisieć w hamaku i nic nie robić. Im dłużej, tym lepiej. Nic nie boli, nie nagli, nic nie czeka. Nikt nie woła. Brzuch nie burczy, że chce jeść; żona nie burczy, że chce, żeby jej coś zrobić. Moje szczęście to ta spokojna chwila, która właśnie trwa: nikt i nic niczego ode mnie nie chce, nie trzeba się wysilać, martwić, nigdzie iść.

- Wy Biali - dodał po chwili namysłu - znajdujecie swoje szczęście w ruchu, a my w bezruchu. Wy ciągle musicie coś zmieniać, porządkować, ulepszać, a my poszukujemy stanu

ukojenia... I kiedy go znajdziemy, to wolimy się nie poruszać, żeby czegoś nie zepsuć.

Po tych słowach Indianin wisiał kwadrans w milczeniu, a ja mu nie przerywałem - bardzo chciałem, żeby podsumował przemowę jedną z tych swoich profetycznych sentencji. No i nie zawiódł mnie:

- Dla ciebie, gringo, ten mój hamak jest pełen nudy. Dla mnie to raj na ziemi. [Przypis: *Raj na ziemi* wisiał w powietrzu Między dwoma drewnianymi słupkami.

Z powodu przetartego sznurka, ten stan miał się wkrótce zmienić Takie momenty jedni nazywają bolesnym *rozczarowaniem*, inni mówią po prostu *Aaa!]*

- A o czym myślisz, kiedy tak wiesz w hamaku i patrzysz na ten piękny zachód słońca przed nami?

- Nie myślę. Tylko patrzę.

Przerwał, zastanowił się chwilę, a potem dodał:

- I to jest właśnie to, czego ty, gringo, nie potrafisz robić.... Ani nawet zrozumieć.

Miał rację - nie potrafiłem.

MORAŁ:

W moim świecie człowiek zawsze myśli. Nawet wtedy, gdy siedzi i gapi się na zachodzące słońce. A co do rozumienia, to kilkakrotnie otarłem się o zrozumienie indiańskiej duszy, ale nigdy jej nie zgłębiłem. I raczej nie zgłębię, bo jak niby zgłębić kowadło? Można sobie tylko pooglądać.

GUERRILLA

Działające w wielu krajach Ameryki Łacińskiej nielegalne oddziały militarne, które walczą przeciwko własnemu państwu. Ich oficjalnym celem jest zwy - cięstwo wybranej ideologii. I tak się dziwnie składa, że zawsze jest to któraś z odmian marksizmu. Jedyne znany mi wyjątek od tej reguły stanowiły oddziały *Contras*, walczące przeciwko lewicowemu reżimowi Daniela Ortegi (Nikaragua - lata 80.).

Skwapliwie korzystają z niezadowolenia społecznego, z konfliktów wewnętrznych w danym kraju, z ludzkiej biedy, braku perspektyw, a przede wszystkim ze słabości władzy państwowej.

W imię wzniosłych ideologii strzelają do wojska i policji, napadają na cywilne autobusy i ciężarówki, plądrują sklepy i targowiska, grabią, co się da spieniężyć albo zjeść. Potem w pośpiechu uchodzą do swoich kryjówek - albo w niedostępne góry porośnięte

gęstym lasem deszczowym, albo do dżungli. Tam nikt ich nie jest w stanie wytropić - żadna armia świata, z żadnym, nawet najnowocześniejszym, sprzętem. Czekają więc sobie spokojnie na kolejną „akcję”, czyli najczęściej na zlecenie któregoś z karteli narkotykowych. A co im można zlecić?

Dwie rzeczy: przemyt trefnego towaru, albo porwanie lub zabójstwo niewygodnych osób. Czasami dochodzi do tego jeszcze jakaś drobnica w stylu: „wysadzenie w powietrze czyjegoś samochodu, domu, szybu naftowego” itp.

Guerrilla - wbrew temu co podają słowniki - to nie żadna „partyzantka”, a jedynie dobrze zorganizowane i świetnie wyszkolone grupy uzbrojonych bandytów. Tępi mordercy bez skrupułów.

INDIANIE CZASU NIE LICZA

Było to między rzekami Napo a Putumayo. O jakiś tydzień drogi na południe od miejsca, gdzie zbiegają się granice Peru, Ekwadoru i Kolumbii.

Nieprzyjemne odludzie. Nieprzyjemne, bo *guerilla* uważa je za swoje wyłączne dominium. Na co dzień mieszkają tu tylko Indianie, ale od czasu do czasu pojawia się także ten czy inny oddział zbrojny FARC [Przypis: FARC (Fuerzas Armadas Revolucionarias de Colombia) - Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii Powstały w roku 1964, z chłopskich oddziałów zbrojnych partii liberalnej Przekształcenia luźnych oddziałów w regularną armię dokonali komuniści. Dzisiaj FARC liczy 30 tysięcy zaprawionych u walkach żołnierzy. Na handlu narkotykami zarabia miliard dolarów rocznie. Drugie źródło dochodów stanowią okupy za porywane osoby [przyp. tłumacza]] Liże rany (powstałe w trakcie potyczek z armią rządową), skupuje kokę (od Indian) i bardzo nie lubi natykać się przy tej okazji na białych intruzów. Nawet jeżeli ci intruzi są tylko badaczami ginących plemion i tłumaczą, że koka ani *guerrilla* ich w ogóle, ale to w ogóle, nie interesują.

A kiedy *guerrilla* nie lubi się na coś natykać, to się nie natyka. A gdyby, mimo wszystko, jakimś zupełnym przypadkiem się natknęła, to będzie to z całą pewnością przypadek nieszczęśliwy. Nieszczęśliwy dla bledszej ze stron, bo druga, ta bardziej śniada i złowieszczo uśmiechnięta, nic sobie z takich przypadków nie robi - w końcu to tylko jedna więcej kulka w jeden więcej biały łeb.

Tak czy owak było to gdzieś między rzekami Napo a Putumayo. Posłuchajcie...

- Chcesz iść nocą przez dżunglę, gringo?! - twarz Pepe ozdobiło kompletne zaskoczenie, a stojący za nim dwaj Indianie wyglądali jakbym właśnie odwołał Boże

Narodzenie.

- Człowieku, przecież ty jesteś.. Biał¹ Mieli co najmniej trzy powody, by się dziwić:

Biali nie chodzą po dżungli nocą, bo już za dnia sprawia im to niebywale trudności, to po pierwsze. Po drugie, nawet Indianie unikają marszów po ciemku, ponieważ w warunkach tropikalnej puszczy „po ciemku” oznacza po omacku. Po trzecie łało i nie miało zamiaru przestać. W dodatku łało po amazońsku, co różni się od normalnego lama tym, czym różni się dyngus z użyciem wiader od kropelki perfum na kołnierzyku.

- Ruszamy - powtórzyłem spokojnie lecz stanowczo Indianie stanęli jak wryci. (Stali już wcześniej, ale nie aż tak twardo.) To był jeden z tych momentów, kiedy ludzie patrzą na siebie z pozycji dwóch obcych kultur i nijak nie potrafią zrozumieć sygnałów wysyłanych przez stronę przeciwną Pepe miał minę jak telegrafista, który odebrał przez radio głos tam - tamów - nie bardzo wiadomo, o co chodzi, ale z całą pewnością o nic dobrego.

* * *

Ja - gringo - byłem przybyszem ze świata, który mierzy i oblicza czas. Dlatego, mimo deszczu, chciałem spieszenie ruszać w drogę. Wiedziałem, że jak nie wyruszymy natychmiast, to do rana nasz szlak zostanie zabarykadowany dziesiątkami strumieni. Teraz dawały się jeszcze przeskoczyć jednym susem albo przejść w bród. Jutro, wezbrane od całonocnej ulewy, będą szerokie na dziesięć metrów i wypełnione rwącą wodą i błotem. To, co nam miało zająć dwa dni spokojnego marszu, zamieni się w tydzień mozolnej udręki Dlatego lepiej było wyruszyć teraz - nocą i w deszczu.

Indianie myślą zupełnie inaczej - nie liczą czasu i nie godzą się płacić dzisiejszą niewygodą za jutrzejsze ułatwienia - żyją tą jedną niepowtarzalną chwilą, która właśnie trwa A ona może być albo przyjemna, albo przeciwnie Więc lepiej żeby była przyjemna, prawda? Dlatego bardzo trudno ich przekonać, że mają porzucić suchy szałas i wyjść na deszcz.

W dodatku wszelkie planowanie przyszłości uważają za niedorzeczność - przecież nikt z nas nie wie co będzie, wymyślamy sobie tylko co być może. Lepiej więc teraz usiąść przy ciepłym ogniu i czekać aż deszcz się skończy, a potem, kiedy już słońce osuszy ziemię, ruszyć w drogę.

* * *

- Nie osuszy jeszcze przez tydzień! - tłumaczyłem uparcie.

- A co to właściwie jest „tydzień”? I po co?

- Co „po co”?

- No, do czego służy?

- Tydzień??? Do mierzenia czasu.

- A po co? - Pepe pytał zupełnie poważnie.

Indianie lubią sięgać sedna. Kiedy to robią, logika białego człowieka zazwyczaj traci grunt pod nogami i wszystko się wywraca.

- Po co mierzysz czas, gringo? - nie ustępował Indianin.

- Eee... Żeby się nie zgubić - odpowiedziałem niepewnie.

- Nie zgubić gdzie?

- W czasie... - powoli sam przestawałem wierzyć w sensowność własnych słów.

- To ty potrafisz się zgubić nie ruszając z miejsca? [[przypis: Nie jestem pewien, czy Indianin pytał, czy raczej stwierdzał ten zaskakujący fenomen.]

* * *

Mój czas **mija**. Robi to na różne sposoby: goni, ucieka, przelatuje jak z bicia trząś, albo zwyczajnie płynie i przecieka mi między palcami. Ale nigdy się nie zatrzymuje! Kiedy mówię, że czas stanął w miejscu, mam na myśli coś zupełnie innego.

Ich (indiański) czas - **jest obecny** - to wszystko. Nie rusza się w sposób spektakularny. Najczęściej trwa okręcony ciasną pętlą wokół miejsca, w którym akurat przebywają. Senny, jak syta anakonda zwinięta na gałęzi terażniejszości - każda pętla to jedna chwila. Jego ruchy są **tak** powolne, że mało kto je zauważa i pewnie dlatego nikt nie zwraca na niego uwagi. Kazać Indianinowi gonić czas, to tak jakby komuś kazać gonić przesuwającą się płytę kontynentalną.

W puszczy nad Amazonką czasu nie widać. Zasłania go całkowicie monotonia trwania.

Każdy dzień trwa po 12 godzin - na równiku słońce zawsze wstaje o 6, a zachodzi o 18 - bez względu na porę roku. A pór roku właściwie nie ma. Wprawdzie przez kilka miesięcy deszcz pada bardziej, ale w pozostałych miesiącach też pada prawie codziennie. No i jak tutaj wpaść na koncepcję kalendarza, skoro słońce jest zawsze w zenicie, a nocą przez liście trudno obserwować ruchy gwiazdnych konstelacji?

W takich warunkach użyteczną miarą czasu nie może być ani rok, ani miesiąc, tylko dzień albo pora. Pora dnia, pora życia, pora wzrostu, pora umierania. A one układają się w cykle. Zamknięte i powtarzalne. Drzewa cyklicznie owocują. Kobiety cyklicznie rodzą dzieci. Mężczyźni cyklicznie idą na polowanie. Cyklicznie się je, śpi, wstaje rano i kładzie wieczorem - wciąż to samo, wciąż od nowa. Koło za kołem.

Oś czasu w świecie Białych jest jak nić, a chwile są na nią ponawlekane jedna za

drugą i stanowią ciąg wydarzeń. Od „było” do „będzie”. Od „dawno dawno temu...” do „przewiduje się, że w roku przyszłym...”.

Indiańskie dni nie sumują się i nie odejmują tak jak nasze. Ich czas to koło - zamknięty cykl, który się powtarza w nieskończoność. Zatacza kręgi, podobnie jak dziecinna kolejka, i nie ma problemu, jeżeli nie zdążyłeś wskoczyć do wagonu - zawsze możesz spróbować następnym razem.

Żeby tak myśleć, wcale nie trzeba być Dzikim. Wysoko rozwinięte cywilizacje Mezoameryki - Majowie, Aztekowie - przedstawiali kalendarz w postaci kamiennego koła. Odmierzali czas w zamkniętych cyklach po 52 lata każdy. A potem wszystko zaczynało się od nowa - kolejne narodziny świata; kolejna szansa. Koło za kołem.

Nasz kalendarz to rubryki miesięcy, ułożone jedna za drugą - zerwałeś kartkę i nie ma powrotu. Nasz pociąg ucieka po prostej, więc jesteśmy zmuszeni gonić go, bez względu na pogodę.

Ich pociąg jeździ w kółko, więc spokojnie czekają pod dachem aż przestanie padać. Nie ma pośpiechu, przecież nawet jeżeli się spóźnią, to jednocześnie będą przed czasem. Oni zawsze mają następne okrążenie. Koło za kołem.

Indianin żyje chwilą. I jak nikt inny potrafi smakować terażniejszość.

Chwile jego życia są pojedyncze i zamknięte w sobie. Przylegają jedna do drugiej - jak jajka w koszu - ale poza tym przyleganiem stanowią osobne całości, które oddziela wyraźna skorupka terażniejszości.

Indianin znajduje się zawsze we wnętrzu aktualnej chwili swojego istnienia - jak kurczak w jajku - i przeżywa ją od środka. Kiedy ją już przeżyje do końca - wyczerpie i opróżni do ostatniej kropelki czasu - wówczas skorupka pęka i Indianin znajduje się w chwili potem. To tak jakby się wyklął i odkrył, że jest we wnętrzu innego jajka. Przy czym to następne wcale nie musi być większe od poprzedniego - ono jest inne, różne, niepowtarzalne. Trudno nawet powiedzieć, że jest n a s t ę p n e, bo indiańskie chwile nie są nanizane na żadną nić - raczej wrzucone luzem do wora życia.

* * *

Wróćmy do dżungli między rzekami Napo a Putumayo..

Alternatywa była następująca: albo marsz w strugach deszczu, albo ciepłe i suche schronienie w szałasie. Patrząc na tę sytuację z ich strony, wybór był prosty - zostajemy..

- Ruszamy - powtórzyłem zagłębując im głęboko w oczy.

Staralem się, by to spojrzenie jak najbardziej przypominało stalowy pręt [Przypis: No

cóż, jest prawdą, że to porównanie zaczerpnąłem od kolegi pisarza Terry Pratchetta, który użył go w jednej ze swoich powieści z cyklu Świat Dysku ' , Spojrzenie jak stalowy pręt utkwilo mi głęboko w pamięci, bo jest wyjątkowo celne i niespotykane Książki Pratchetta są naszpikowane tego typu rzeczami Polecam. Najpierw w świetnym tłumaczeniu pana Piotra W Cholewy, a potem jeżeli komuś starczy języka (angielskiego a właściwie brytyjskiego) - to także w oryginale, Aha tylko nie zaczynajcie od pierwszego tomu. Ani od drugiego. Żeby załapać o co Pratchettowi chodzi trzeba zacząć gdzieś dalej. Potem można się cofnąć.]. Chciałem, żeby zrozumieli, że mam jakieś swoje tajemnicze, ale za to bardzo ważne powody, dla których wybieram ulewę.

To jedyny znany mi, zawsze skuteczny, sposób rozwiązywania nieporozumień z Indianami - zasłonić się jakąś ważną tajemnicą. Właściwie Tajemnicą, przez wielkie „T”. Oni zresztą robią to samo w stosunku do mnie.

Wielokrotnie zamiast konkretnej odpowiedzi słyszałem, że „tak MUSI być”, „bo ZAWSZE tak się u nas robi”, albo po prostu „lepiej nie pytaj, gringo”.

W normalnych warunkach, odpowiedzi tego rodzaju budzą irytację, ale kiedy jestem wśród dzikich plemion, stają się krzepiące. Dla ludzi, którzy stanęli na styku dwóch diametralnie różnych kultur, oznaczają bowiem wzajemny szacunek i jednocześnie przeprosiny, że wprawdzie nie potrafimy sobie czegoś wyjaśnić, ale.

- Ruszajmy - powtórzyłem po raz trzeci, tym razem łagodnie.

I ruszyliśmy. [przypis: Dokąd ostatecznie dotarliśmy, opowiem innym razem Teraz zależało mi tylko na tym by Czytelnik zrozumiał co to znaczy że Indianie czasu nie liczą.]

MORAŁ:

Kiedy Indianie się w końcu na coś decydują, robią to z entuzjazmem Skoro już idziemy w tym ulewnym deszczu, skoro potykamy się w ciemnościach, skoro w każdej chwili grozi nam ukąszenie nocnego węża, którego nikt w porę nie wypatrzy - cieszymy się! Cieszymy się tą jedyną, niepowtarzalną Tajemniczą chwilą. Chwilą...

bohaterskiego wyczynu, który dołożymy do innych bohaterskich wyczynów naszego plemienia i będziemy mogli sławić w Opowieściach - tak myślą Indianie Najbardziej pogodni ludzie na naszej planecie. Pogodni, nawet w ulewnym deszczu.

PIEKŁO W NIEBIE

Było to bardzo daleko stąd. Na pustyni.

Właściwie na dwóch pustyniach, bo historia, którą za chwilę usłyszycie, zdarzyła się dwukrotnie w odstępie dziesięciu lat Kiedy o tym opowiadam, nie potrafię stwierdzić, które wspomnienia pochodzą z której pustyni - wszystko zlało się ze sobą. (To z gorąca - w obu przypadkach miałem lekki udar).

Dzisiaj nie wiadomo już, czy chodzi o Gran Desierto na pograniczu Arizony i Meksyku, czy może o pustynię Atacama - najbardziej suche miejsce na kuli ziemskiej Kto wie, może wcale nie tam.

Na pustynie jeżdżę przy każdej okazji Jest w nich coś, co mnie woła. Wzywa Specyficzny stan ducha umysłu, duszy Nieosiągalny - przynajmniej dla mnie - nigdzie indziej na ziemi.

Niektórzy ludzie dążą do takiego stanu wyciszenia poprzez posty, umartwienia i modlitwy Wtedy potrafią odkryć to, co w nich siedzi najgłębiej. Odkrywają swoją Prawdę Tajemnicę. Poza tym zdarza się, że zagląдают do świata . niematerialnego, który na co dzień jest dla nas, śmiertelników, niedostępny Robili to prorocy, mistycy, szamani, robił Jezus z Nazaretu.

Ja w tym celu - w poszukiwaniu mojej Tajemnicy - przemierzam pustynie. Środkowa Australia, północny Meksyk, kalifornijska Dolina Śmierci, Sahara, Gobi - wszystko jedno gdzie, małe czy duże - nieważne, ponieważ w każdym z tych miejsc dusza ludzka może wreszcie wyjść z ukrycia, wypłatać się z sieci powszednich uwikłań i swobodnie rozprostować kości.

Posłuchajcie .

Znajomy Indianin zabrał mnie kiedyś na pustynię Wędrowaliśmy po ziemi bez jakichkolwiek śladów życia Ani jednego kaktusa, nawet najlichszej trawki, nie mówiąc o skorpionach czy owadach Martwa pustka Środowisko zredukowane do samej tylko topografii. Na dalekim horyzoncie widać było błądy grzebyk gór (Choć równie dobrze mogły to być złudzenia - igraszki rozgrzanego powietrza) Za nimi czekały na nas konie i powrót do domu Ale to dopiero za kilka dni.

Żar dnia i chłody nocy przez miliony lat kruszyły tutejszą ziemię, jak potężne żarna. Wszystko dookoła, także i te góry w oddali, pokrywał chrzęszczący pył Chrzęścił wszędzie pod butami i pod powiekami, w zębach i we włosach, za kołnierzem Wyglądał jak drobniutka sól, tymczasem zrobiony był z najczystszej szkła - kwarc bez domieszek - wszystkie inne pierwiastki wywiał wiatr.

Na kwarcu nic nie chce rosnąć, a gdzie nie ma roślin nie ma też zwierząt - to była najbardziej pustynna pustynia, jaką widziałem. Prawdziwy wzór pustynności. Po prostu jedno

wielkie „ „, ciągnące się aż po horyzont.

* * *

Indianin myślał na odwrót przekonywał mnie, że wokół nas jest bardzo tłoczono, bo wkroczyliśmy do Krainy Duchów.

- Sprowadzają się tu wkrótce po śmierci - tłumaczył - i wówczas na pustyni przybywa kolejne białe ziarenko piasku.

Na pierwszy rzut oka był to raczej kolejny indiański zabobon.

Z drugiej strony, naukowcy od dawna twierdzą, że inteligentne formy życia wcale nie muszą być zbudowane z białka - kwarc jest równie dobry. Przynajmniej teoretycznie. Więc może kwarcowa dusza po śmierci nie idzie do nieba, tylko do piachu?

A może to chodzi o jakąś formę przejściową w drodze do Raju? Może te dusze, o których mówił Indianin, uwięzione w ziarenkach piasku przechodzą właśnie przez swój Czyściec? Pustynia jako namiastka Piekła. Po jakimś czasie każde, nawet najdrobniejsze ziarenko ulega erozji, pęka i uwalnia duszę do Nieba. Całkiem dobry model. Pasuje nawet do teologii chrześcijańskiej - oczyszczające cierpienia.

Na średniowiecznych obrazach Czyściec przedstawiano jako miejsce pełne postaci zakopanych do połowy w ziemi. Od pasa w dół ich ciała trawiły płomienie piekielne, od góry zaś było już Niebo. Trochę za wysoko, by go dosięgnąć, ale jednak doskonale widoczne i prawie dostępne. Wystarczyło, by Aniołowie podali nam ręce i podciągnęli w chmury. Zbawienie było kwestią czasu - usilnych próśb zanoszonych do Nieba i odrobiny pomocy jego mieszkańców. A od spodu diabły przypalały tyły.

* * *

Potknąłem się i gwałtownie wróciłem myślami na pustynię.

Indianin opowiadał właśnie, że wszelkie przemieszczanie się ziarenek piasku dookoła nas - na przykład ich osypywanie się po zboczu wydmy, a nawet kurz lecący w powietrzu - to nic innego jak migracje Dusz. Ich podróże, przeprowadzki, odwiedzin}' u znajomych, poszukiwanie wcześniej zmarłych członków rodziny, albo jakieś tajemnicze wzajemne konszachty.

Przypomniałem to sobie wieczorem wytrzepując garstkę „Duchów” z moich skarpetek: *Ciekawe, czy zabłąkali się przypadkowo, czy może podróżują na gapę?*

- A burza piaskowa to ich wojna plemienna czy raczej karnawał? - zażartowałem na głos.

Indianin nie chwycił żartu. Dla niego świat duchów był rzeczywistością wprawdzie nienamacalną, ale realną i moje pytanie miało głębszy sens.

- Kiedy wiatr wieje prosto - powiedział po chwili namysłu - i piasek naciera na jakąś wydnię, to jest wojna, a kiedy robi się trąba powietrzna to znaczy, że duchy świętują; tańczą dookoła niewidzialnych ognisk i śpiewają. Można nawet zrozumieć o czym. Trzeba tylko pamiętać, że duchy śpiewają gęściej niż ludzie, więc trzeba ich gęściej słuchać.

Nie pytałem, co miał na myśli mówiąc gęściej. Pewnie i tak nie potrafiłby mi tego wytłumaczyć - takie sformułowania albo się rozumie od razu, albo nigdy [Przypis: KOWADŁO!].

O tym, że w przestronnej pustce wokół nas tłoczą się duchy, przypominał mi po kilka razy na dzień. Powtarzał z powagą (ślizgającą się czasami niebezpiecznie blisko granicy groźby):

- Pamiętaj, idź dokładnie po moich śladach. Jak zбочysz ze szlaku, możesz zobaczyć coś, czego absolutnie nie chcesz oglądać. To się czasami przytrafia. Wy Biali mówicie wtedy, że człowiek dostał udaru. Boli głowa, ma się sny i brednie. A bywa i tak, że Duchy porywają ludzi do siebie. Tych, co widzieli zbyt wiele i mogliby wygadać jakieś Tajemnice. Wtedy ciało błąka się między żywymi, bo jeszcze nie nadszedł jego czas, a dusza błąka się już pośród Duchów i nie umie stamtąd wrócić. Wy Biali mówicie o takich ludziach „obłąkani”. Pamiętaj, idź dokładnie po moim śladzie, żebyś się nie zabłąknął.

Szedłem.

Tuż za nim. Ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w jego pięty.

Coraz wolniej. I coraz bardziej suchy.

Miałem wrażenie, że przeceniłem swoje siły. On także. Ale teraz już nie było odwrotu - pozostał nam tylko powrót. Musieliśmy dotrzeć do gór! Tam była jego wioska. I nasz ratunek.

Wreszcie stanęliśmy nad brzegiem głębokiego kanionu, który Indianie uważają za koniec pustyni. Na jego dnie, pod rumowiskiem otoczaków, sączył się cienki strumyczek - w porze deszczów rwąca rzeka. Godzinę, może półtorej, a może było to tylko kilka chwil, za to bardzo długich, odgarnialiśmy kamienie, żeby zaczerpnąć pierwszy od dwóch dni łyk gorzkiej wody.

Wieczorem, już konno, dotarliśmy do wioski.

RAJSKA OPOWIEŚĆ

Indianin jak zwykle wisiał w hamaku. Patrzył w ognisko i od dłuższego czasu nic nie mówił. Rozmyślał? Raczej nie - po prostu cieszył się chwilą.

Ja, tuż obok, przycupnięty na ciepłym kamieniu, układałem opowieść o pustyni. Dałem jej tytuł „Tydzień w piekle”. Trochę pretensjonalny, przyznaję, ale wówczas najlepiej oddawał moje wrażenia.

W pewnej chwili zapytałem go, jak właściwie wygląda indiański raj? Indianin powisiał chwilę w ciszy, zupełnie jakby nie usłyszał pytania, a potem powiedział coś melodyjnie w swoim miękkim języku pełnym przydechów i głosek nosowych. Łatwo było poznać, że to fragment jakiejś Opowieści - wyuczone na pamięć słowa przekazywane z pokolenia na pokolenie; *coś* jak indiańskie wersety Koranu.

Potem mi to przełożył na hiszpański:

Raj to białe pustkowia rozpalone słońcem.

[pauza]

Są tam głębokie kaniony wyorane pazurami starych rzek. Rzek, które darły skały na drobne kawałki, a potem wynosiły je ziarnko po ziarnku, ku odległym oceanom.

[pauza]

W oceanach, z tych ziarenek unoszonych przez fale, urodziło się pierwsze życie. Dlatego jedni mówią, że człowiek został ulepiony z ziemi, inni, że wyszedł z wody - jedni i drudzy mają rację.

[pauza]

Raj jest pełen starych samotnych gór o wierzchołkach płaskich jak brzuchy dziewic.

Jest też pełen światła, które zwykłego śmiertelnika oślepia i parzy.

Jest olśniewająco biały Czasem, kiedy człowiek staje na progu śmierci, widzi tę biel.

MORAŁ:

Uśmiechnąłem się w duchu - zdałem sobie sprawę, że będę musiał zmienić tytuł mojej opowieści na „Tydzień w raju”. Chociaż, właściwie po co? Przecież dwoje ludzi patrzących na to samo może widzieć coś zupełnie różnego.

PIEGOWATA MADONNA

Widział kto kiedy piegowatą Madonnę? Albo Maryję w zaawansowanej ciąży z

bardzo wybrzuszoną sukienką? Albo scenę obrzezania Jezusa, przedstawioną z detalami?

Ja widziałem To tylko kwestia wyobraźni Przyznaję, trochę innej niż nasza, bo indiańskiej, ale kiedy się głębiej zastanowić, to właściwie dlaczego nie? Piegi - rzecz dość powszechna Cięża - wiąże się zawsze z wybrzuszeniami sukienek A obrzezanie - z nożem .

Posłuchajcie...

Wiele lat temu w Meksyku pozwolono, by Indianie po raz pierwszy w historii namalowali obrazy do kościoła. Pewien biskup uznał, że są już wystarczająco nawróceni, by im powierzyć to odpowiedzialne zadanie Ponadto chodziło o ściągnięcie większej liczby Indian na msze. W tym celu mieli sobie samodzielnie wystroić świątynię i zrobić to w taki sposób, żeby się w niej potem dobrze czuli. Instrukcja, którą otrzymali, była prosta namalujcie kolejne Tajemnice różańcowe - tylko tyle.

Indianie chwycili pędzelki i wykonali robotę z wielkim zapałem. Przy okazji bardzo starannie zadbali o szczegóły.

Kiedy „Maryja nawiedza św. Elżbietę” obie są ciężarne, prawda? No to namalowali im solidne brzuchy. Żeby każdy od razu wiedział, o którą scenę chodzi.

Przy obrzezaniu, sięgnęli najpierw do Pisma Świętego, potem zaś, dodatkowo, do naukowego komentarza, żeby sprawdzić o co właściwie chodziło. Znaleźli tam objaśnienie, mówiące że obrzezanie odbywało się za pomocą noża, że leciała przy tym krew, a dziecko rzecz jasna darło się wniebogłosy - i tak to namalowali.

A co im strzeliło do głowy, żeby Matce Boskiej robić piegi?

Jak to co? Wiedzieli od księży i z kościelnych obrazów, że na pewno nie była Indianką, a wszystkie białe kobiety w słonecznym Meksyku natychmiast dostają piegów No to Matka Boska też.

* * *

Indianie przedstawiają świat dokładnie, dosłownie, literalnie takim, jakim go widzą Kiedy ktoś ma piegi albo duży brzuch, to ma. Nigdy nic nie upiększają. Oni w ogóle nie rozumieją upiększeń - dla Indianina ciężarna Maryja bez brzucha jest bez sensu.

I jeszcze co ich niezwykle oko do szczegółów - kiedy ktoś ma choćby jednego piega, oni to zauważają i zapamiętują.

Indianin zatrudniony na przejściu granicznym, w zetknięciu z paszportem, w którym ktoś umieścił lekko podretuszowane zdjęcie, uzna, że paszport jest sfałszowany.

* * *

Po pierwszej prezentacji gotowych obrazów zrobił się skandal. Grożono nawet

interwencją Inkwizycji, tylko nic bardzo było wiadomo kogo karać - biskupa za pochopne zezwolenie, czy Indian za sprawstwo wykonawcze i obrazę świętości?

Skończyło się na aresztowaniu obrazów. Zamknięto je, na wiele lat, w zakrystii kościoła i dopiero całkiem niedawno udostępniono do publicznego oglądania.

MORAŁ:

Indianin nigdy nie upiększa. Opisuje świat takim, jakim go widzi. Ale nikt inny na całym świecie nie potrafi świata bardziej u d r a m a t y z o w a ć. Indiańskie Opowieści ociekają krwią, której było raptem dwie krople, *ciągną się miesiącami*, które naprawdę trwały tylko kilka dni, *przerażają śmiertelnie*, choć to nie był żaden *potwór* tylko stary wyleniały jaguar, lekko kulawy i ślepy na jedno oko. Dlaczego?

Nic wiem. Po tylu latach spędzonych wśród Indian ciągle nic wiem. I wciąż próbuję zgłębić tę Tajemnicę.

W KRAINIE UCZCIWYCH KŁAMCÓW

Było to w Gwatemali. Zimą. W Europie luty i buty, a tu sandały i przewiewne trykoty. Termometr pokazuje dwadzieścia kilka stopni w cieniu palm. Na słońku około trzydziestu.

Pytam kogoś, jak dojść na dworzec autobusowy.

Otrzymuję szczegółową odpowiedź. Zaskakująco szczegółową i w dodatku roześmianą od ucha do ucha. Mój informator (o wyraźnie indiańskich rysach) powtarza mi wszystko po dwa razy, żebym czegoś nie zapomniał i się nie zgubił. Potem żegna mnie wylewnie i odchodzi.

A ja spostrzegam dworzec na wprost mojego nosa. Był tam cały czas - tuż za plecami Indianina - tylko go jakoś wcześniej nie zauważyłem. Dlaczego więc ten człowiek próbował mnie wysiać na drugi koniec miasta? (Może nie lubi Białych?)

* * *

Czekając na autobus pytam kogoś innego (tym razem to Murzyn) która godzina?

- Dochodzi jedenasta - odpowiada starszy pan z uśmiechem pełnym białych zębów.

- Niemożliwe! - protestuję. - Przecież jeszcze niedawno był świt. Teraz jest najwyżej koło ósmej.

- Oczywiście, naturalnie. Jest koło ósmej, *señor* - odpowiada starszy pan, nie tracąc rezonu.

Przed chwilą skłamał mi w żywe oczy, lecz nadal uśmiecha się serdecznie. (Jeżeli nie lubi Białych, to skąd ta przymilność?)

Siedząc w autobusie pytam kierowcę (Metys), ile potrwa jazda.

- Godzinę - odpowiada uprzejmie.

- Ale z mojej mapy wynika, że to ponad sto kilometrów przez góry...

- Ano tak. Dwie godzinki, *señor*. Naturalnie... Dwie.

Po trzech godzinach tracę cierpliwość i pytam go ponownie ile jeszcze.

- Godzinę, *señor*.

* * *

Dojechalśmy po pięciu. (Góry były nadzwyczaj strome, więc całą trasę odbyliśmy na drugim biegu.)

Wychodzę z autobusu i mimochodem słyszę rozmowę kierowcy z kierownikiem dworca.

- Szybko dzisiaj dojechaliście.

- No Jakoś tak wyjątkowo Tylko pięć godzin - odpowiedział kierowca, a mnie w tym momencie zamurowało.

Zacząłem się zastanawiać, o co tu właściwie chodzi? Dlaczego wszyscy kłamią jak najęci? Czy w tym jest jakiś cel albo reguła?

* * *

Dopiero po kilku miesiącach spędzonych w Gwatemali zrozumiałem, że to nie były kłamstwa, tylko bardzo egzotyczna odmiana kurtuazji.

Dobre wychowanie wymaga od Gwatemalczyka, aby na każde zadane mu pytanie *coś* odpowiedział I to *coś* konkretnego, bo zdawkowe *nie wiem* uchodzi tu za grubiaństwo. Czemu? No cóż - tak po prostu jest.

A dlaczego facet, który czegoś nie wie, udziela odpowiedzi absurdalnej?

Bo jest uczciwy i nie chce nas wprowadzić w błąd - stara się więc, żebyśmy mu NIE UWIERZYLI. Kłamię, ale nie po to, żeby oszukać, tylko dać nam w ten sposób do zrozumienia, że powinniśmy spytać kogoś innego.

Dlatego właśnie zawsze, gdy wskazywałem na niedorzeczność ich odpowiedzi, przytakiwali z uśmiechem, mówiąc: *Naturalnie*. Czyli innymi słowy *No właśnie, señor, skoro to co mówię jest niedorzeczne, to znaczy, że powinieneś zapytać jeszcze kogoś, bo ja po prostu nie wiem*.

* * *

Ale kogo tu pytać i jak rozpoznać, która informacja jest prawdziwa, a która tylko grzecznościowa?

Mam na to pewien sposób - coś w rodzaju gry psychologicznej.

Poszukuję zakochanych par, które wyszły sobie na randkę i się właśnie namiętnie całują (Na ulicach Ameryki Łacińskiej jest to zachowanie normalne i dość powszechne. Przy czym słowo „całują” należy traktować jedynie jako przybliżenie, bo oni to robią głównie za pomocą rąk zanurzonych głęboko pod ubraniem partnerki.) Podchodzę do takiej pary i jej bezczelnie przerywam.

- *Perdón* Przepraszam uprzejmie! Halo?! - czasami trzeba ich nawet szturchnąć, inaczej nie zwracają uwagi - Czy mogliby mi Państwo łaskawie powiedzieć gdzie jest... itd - pytam grzecznie.

A oni zawsze udzielają prawdziwej odpowiedzi Gwarantuję. Testowałem setki razy.

Dlaczego akurat zakochani nie kłamią?

Pewnie dlatego, że jedno pragnie drugiemu zaimponować. Żadne nie chce wyjść na dumnia, który nie wie, gdzie w jego mieście jest dworzec albo która to godzina. Popisują się więc przed sobą, a przy okazji udzielają prawdziwych informacji mnie.

Ponadto robią to krótko i wężłowato, bo oboje chcą jak najszybciej powrócić z rękami do tego, co im właśnie przerwałem.

MORAŁ:

Zgłębianie indiańskiej duszy jest jak nurkowanie w kowadle - najczęściej boli od tego głowa Ale gdyby kowadło przyjrzyć się bardzo, ale to bardzo dokładnie, gdyby w tym celu posłużyć się mikroskopem elektronowym, okaże się, że nawet ono (kowadło) jest tylko chmurą atomów. Gdyby zaś sięgnąć jeszcze głębiej, okaże się, że każdy z tych atomów to też tylko chmura elektronów wirujących wokół jądra. Wszystko dookoła nas jest taką chmurą. Jedne rzeczy - bardziej gęstą, inne - całkiem rzadką, ale chinina to chmura - więcej w niej wolnej przestrzeni niż solidnej materii A skoro tak, to nawet w kowadle da się zanurkować. Sukces bądź porażka w tej materii zależą od przyjętej skali. [Przypis: Myśleliście kiedyś o przenikaniu przez ściany? Ale nie na zasadzie hokus - pokus tylko naprawdę? To JEST możliwe. Ciało odpowiednio rzadkie powiedzmy eteryczne mogłoby się przecież precyzyjnie między cząsteczkami z których zbudowana jest ściana. To też tylko kwestia skali.

Kiedy Pan Bóg stwarzał świat stworzył te wszystkie jego cuda. Wierzę że są one, od

zarania, wpisane w reguły rządzące materią. Innymi słowy każdy cud da się objaśnić naukowo, tyle że jeszcze nie dziś.]

* * *

To oczywiście tylko taka zgrabna teoria - w praktyce nie próbujcie zgłębiać kowadeł. Wystarczy wiedzieć, jak działają. Jak, jak, jak - „dlaczego” jest kwestią wtórną.

CZĘŚĆ 3

ŁOWCY CHRZTÓW

Spotykam ich w najdzikszych zakątkach Ameryki Południowej w dżungli nad Orinoko, gdzie biały człowiek jeszcze nie postawił stopy, na szczytach Andów, gdzie nieurodzajna ziemia rodzi tylko kamienie, na pustkowiach Gran Chaco, gdzie nie ma żywej duszy.

Jeden wkłada sobie piórka w nos, a na głowę indiańską koronę z piór, inny nie wkłada w ogóle nic i odprawia mszę na golasa, trzeci...

Zresztą, posłuchajcie...

ŁOWCA GŁODNY

Padre stał wypięty zupełnie nie po księżowsku z głową zanurzoną w zamrażarce Z grzechotem przesuwiał zawartość w poszukiwaniu czegoś stosownego na dzisiejszą kolację. [Przypis: *Padle* (hiszp.) - dosłownie ojciec, ale potocznie znaczy ksiądz [przyp. tłumacza]]

- Będziemy musieli upiec węża zawołał spomiędzy zmrożonych mięsnych brył, bo już nic innego nie mam.

- Dzisiaj piątek rzuciłem przekornie.

Nie szkodzi odrzucił ksiądz to był wąż wodny, więc da się podciągnąć pod „dania rybne”.

W Wenezueli a rzecz dzieje się w samym jej środeczku na rozległych sawannach *Los llanos* o piątkowym poście słychać tylko z okazji Wielkiego Piątku natomiast opisywane przeze mnie zdarzenia miały miejsce w piątek powszedni.

- Tu, na *llanos* zaczął ksiądz kładąc przede mną półmetrowy kawał anakondy to właściwie wołowina powinna być uznana za postną Człowiek nawet oddycha wołowiną.

Miał stuprocentową rację. Żeby się o tym przekonać wystarczyło pociągnąć nosem milion sztuk bydła robi swoje Także z powietrzem

- Więc w piątek ciągnął rąbiąc anakondę maczetą powinniśmy się umartwić jedząc steki a tego węża zostawić sobie na niedzielę

* * *

Następnego dnia zjedliśmy potrawkę z iguany (metrowej długości jaszczurka na skali uczuć odpowiednik szczura) Wcześniej musieliśmy ją upolować Tak jak wszystko inne przez

kolejne dni tygodnia.

W niedzielę była kapibara (największy gryzoń świata z wyglądu świnka morska wielkości prosięcia)

W poniedziałek rosół z bocianów (takie same jak polskie tyle że dzioby mają czarne)

We wtorek kajman (kuzyn krokodyla)

We środę żółwie ogrodowe (naziemne)

We czwartek żółwie błotne (zgadnijcie czym pachną)

A potem jeszcze ryby ryby ryby, ryby Cokolwiek byle uniknąć wołowiny, bo ksiądz mieszkał tu już kilka lat i miał jej s e r d e c z n i e dość. [Przypis: Wyraz „serdecznie” nie jest w tym kontekście najszcześniejszy ale za to przyzwoity. Ponadto w oryginale - czyli po hiszpańsku - było tu coś takiego na co język polski nawet bardzo specjalistyczny nie znalazł jeszcze odpowiednich słów. Nawet wielka encyklopedia anatomii człowieka stosuje wyłącznie obrazki [przyp. Tłumacza]]

* * *

Jerzy Pecold poszedł do seminarium wprost z rzeźni miejskiej Zanim poczuł powołanie zachowywał się jak każdy normalny chłopak w Pasłuku pił, palił, rwał panienki (niektóre do dziś nie mogą odżałować ze pewnego dnia przestał) Seminarium ukończył celująco trochę z przekory wobec wykładowców, którzy uważali, że rzeźnik z włosami do ramion nie może być księdzem. [przypis: A Jezus się, strzygł na jeża tak?] Wkrótce potem dał dyla na misje

Na misjach od biskupi daleko, ale do Pana Boga tuż tuż tak to ujął.

Zresztą wszyscy misjonarze których znam ujmują to podobnie ich wadą w Polsce jest nadaktywność nie mieszczą się od tego w sutannach w kościelnych strukturach w rutynach dyscyplinach. Za to świetnie pasują na misje Tam nadaktywność jest konieczna.

* * *

- Największy problem miałem, kiedy mi się zaczęli nawracać mówił przezuwając anakondę. - Wyobrażasz sobie?! Misjonarz, który się boi nawrócić! Ale był powód tutaj ludzie mają po dwie rodziny jedną we wsi, a drugą na rancho Dwa domy dwie żony dwa stadka dzieci Nawracasz takiego faceta Chrzcisz się bierzmujesz a po kilku latach prosi o ślub kościelny. Tylko z którą żoną ten ślub jak on ma DWIE? I co ja mam wtedy robić? ciągnął po chwili Tutaj to jest norma obyczajowa Oni tak żyli zanim przyszedł Kościół z przepisami o monogamii. Obie kobiety się znają, czasami nawet bardzo przyjaźnią dzieci to już nawet dokładnie nie wiadomo które z którą, jedna wielka harmonijna rodzina I on mnie teraz pyta

czy ma jedną żonę porzucić? Ale w takim razie którą? I czemu ona ma być ukarana za jego nawrócenie? Czy Pan Bóg tego chce? No i co ja mam zrobić? Udzielić dwóch ślubów mi nie wolno. Wypiąć się na faceta też nie mogę, bo to ja go ochrzciłem On jest niewinny wpadł w moje sidła.

ŁOWCA ANONIM

- Wierzysz w czary? - zapytałem zdumiony.

- A jak mam nie wierzyć, kiedy sam widziałem.

- Ale przecież księdzu nie wolno...

- Każdemu wolno w i e r z y ć, szczególnie jak coś zobaczy na własne oczy. Albo dotknie. Pismo Święte bardzo stanowczo zabrania jedynie uprawiania magii. A jak się czegoś zabrania, to chyba dlatego, że to istnieje, prawda? Jakby nie istniało, to po co zabraniać?

- A co konkretnie widziałeś?

- Wszystko. Ja tu mieszkam już tyle lat. To są przerażające czarne moce... Chociaż nie przeczę, że przy okazji czynią wiele dobrego. W tym właśnie leży problem – *curandero* - kogoś wyleczy ze śmiertelnego ukąszenia i jak ja mam potem ludziom tłumaczyć, że to było działanie Złej Mocy? [Przypis: *Curandero* (od hiszpańskiego *curar* - leczyć) - zależnie od okoliczności słowo to oznacza szamana albo znachora. [przyp. tłumacza]] Diabła, jeśli wolisz. Jak wytłumaczyć ludziom, że on to zrobił tylko po to, by ich od siebie uzależnić, a potem im od środka wyreć dusze? Magia działa jak narkotyk - najpierw jest miło, a zaraz potem za późno. Ale... no właśnie, jest tu bardzo podstawowe „ale” - czy mnie wolno zabronić ratowania życia? Czy wolno nie skorzystać z jedynej pomocy, jaką mam? Do lekarza bardzo daleko - nie zdążymy - a na moich rękach umiera dziecko. I wtedy katolicki ksiądz idzie do czarownika. A potem nie wie, czy ma się z tego spowiadać, czy raczej być dumnym, że się na to zdobył.

Ale raz to oni przyszli do mnie, bo żaden *curandero* nie dawał sobie rady. Mała dziewczynka była opętana. Przynoszą ją do kościoła, a mnie się przypomina film „Omen”. Dziecko ma taką siłę, że targa czterema chłopami, z których każdy na co dzień powala byki. Mała coś wrzeszczy, nie wiadomo po jakiemu, piana z ust, wymioty na zielono, i oni mi mówią: *Lecz, Padre. Curandero* nie dał rady spróbuj ty.

W seminarium nikt nas nie uczył egzorcyzmów, bo to średniowiecze. Coś tam wspomnieli półgębkiem, ale ani formułek, ani nic, bo to nie jest zajęcie dla zwykłego księdza. Więc klękam i zaczynam się modlić po polsku: *Panie Boże, boję się tego, nie wiem co to jest,*

nie umiem tego pokonać, proszę, Użyj moich pustych rąk, pokieruj mną, włóż w moje usta właściwe słowa, jeżeli tu potrzeba słów, i uwolnij to dziecko. Okaz miłość. Okaz miłosierdzie. OKAZ SWOJĄ SIŁĘ, SWOJĄ MOC, SWOJĄ POTĘGĘ i uwolnij to niewinne dziecko...

Uwolnił.

Bardzo mi to pomogło. Zaczęli inaczej patrzeć na księdza. *Curandero* stracił trochę klienteli. Trochę, bo nadal chodzą się u niego leczyć, ale chyba teraz wolą jego ziółka, maści i mikstury od czarów.

ŁOWCA WREDNY

Ks. Adam Kuchta, werbista, trafił do jednej z dwóch ostatnich wiosek plemienia Ache. Do tej drugiej pojechał ks. Benek Remiorz - najweselszy Ślązak świata. Dzieli ich teraz kilkaset kilometrów polnych dróg. Łączy - trzeszczące radio. (Pod warunkiem, że świeciło słońce i naładowało baterie.)

Ginące plemię Ache zaprosiło werbistów, by im pomogli przetrwać. W tym celu Ache muszą przejść od kultury zbieracko - łowieckiej do rolniczej. Postawili tylko jeden warunek: Nie będziecie nas nawracać!

Czy misjonarz może się zgodzić na taki układ? Przecież istotą misji jest nawracanie. No tak, ale zanim Indianie dorosną do chrześcijaństwa, trzeba ocalić ich *człowieczeństwo*. Trzeba ich także ocalić przed wymarciem. Cóż komu po ochrzczonej, ale wymarłym plemieniu?

Łowcy Chrtów, którym nie wolno zarzucać sieci, bo najpierw muszą zarybić staw...

Adam - *padre Adan* - mieszka sam jak palec na dzikim odludziu. Indianie oddali mu w używanie kawałek ziemi za wioską - tam stanął niewielki drewniany domek. Na studnię zabrakło pieniędzy. żeby mieć co pić i w czym się umyć, Adam codziennie jeździ po wodę do strumienia odległego o kilka kilometrów.

Za potrzebą chodzi w las. Myje się polewając cynową konewką zawieszoną pod sufitem na ganku. Poza tym uczy, leczy, buduje, handluje. I pożycza.

Indianie przychodzą bez przerwy - po paczkę soli cukru *yerba mate*, kaszy, po baterie do latarki po kawałek blachy, sznurek. [Przypis: Tam gdzie nie rośnie kawa Indianie Guaiani od wieków zaparzali zioło (hiszp. *yerba*) o nazwie *mate* - rodzaj zielonej herbaty Nie zawiera kofeiny, nie zawiera teiny, ale zawiera mateinę - siostrę dwu pozostałych Na serce i tętno działa podobnie jak kawa Na kubki smakowe jak zaparzona zawartość popielniczki ale tylko przy pierwszym picu A potem? No cóż potem jest albo jeszcze gorzej albo tak jak w moim

przypadku - Wielka Miłość]. To wciąż ludzie o mentalności zbieracko - łowieckiej Misjonarz zastąpił im las teraz chodzą zbierać do niego.

- Grabią mnie tak jak kiedyś ograbiali puszcę. Ze wszystkiego co ta pozwoliła sobie odebrać A z drugiej strony większość z tego co im dasz natychmiast trwonią bo puszcza zawsze miała niewyczerpane zasoby.

Kiedy Indianie mówią pożycz to wcale nie zamierzają oddać. W ich kulturze pożyczyc to tyle co podarować przedmiot który nam nic [jest potrzebny. Pożycz znaczy po prostu daj nie ze jest wyrażone bardziej uprzejmie.

Dla Ache pożyczka oznacza zobowiązanie symboliczne a nie przedmiotowe Kto pożyczyc wędkę wcale nie odda nam tej samej wędki, tylko coś innego co jemu akurat będzie zbywać. W dodatku nie wiadomo, kiedy to zrobi.

Na podobnej zasadzie sąsiadki w Polsce pożyczają sobie szczyptę soli. Przecież nikt się nigdy o zwrot tej soli nie upomina A gdyby się upomniał to by nas ty m obraził za pożyczenie soli oddaje się inną przysługę.

* * *

- Moja praca misyjna to nauczyć tych Indian, czym jest mamona. Po to, by nie zginęli w nowoczesnym świecie. Ja ich w gruncie rzeczy ODU CZAM tej pierwotnej, naturalnej dla „dzikich” plemion, postawy dzielenia się wszystkim ze wszystkimi. Postawy bardzo chrześcijańskiej, ale dzisiaj, w naszym „chrześcijańskim” świecie całkiem niefunkcjonalnej. Wręcz zabójczej! Bo wyobraźcie sobie, że oni idą między ludzi i na każde życzenie, na każdą prośbę, rozdają wszystko, co mają. Przedtem zbierali w lesie i chętnie oddawali bliźnim, ale teraz, żeby przetrwać, muszą zacząć gromadzić, oszczędzać, odkładać na później, inwestować. Zamiast otwartego serca - zapobiegliwość. Zamiast serdecznej szczodrości - przezorność, ostrożność. Czasem podejrzliwość.

A jak ich tego uczyć?

Coraz częściej z premedytacją odmawiam pomocy. Kiedy przychodzą coś „pożyczyć”, robię się stopniowo coraz bardziej wredny - zaczynam sprzedawać, żądać zwrotu długów, itd. Dla ich własnego dobra robię się ZŁY. Pewnego dnia Ache staną się wyrachowani i to będzie sukces mojej misji - ironia, co? Żeby ich ocalić, muszę zatwardzić ich serca. W seminarium uczyli mnie dokładnie na odwrót.

ŁOWCA OSTATNI

Padre Dano - ks. Dariusz Piwowarczyk - przygotował się do pracy z Indianami

wyjątkowo starannie. Poza studiami kapłańskimi ukończył także antropologię kultury we Wrocławiu. Uważa, że zanim się kogoś zacznie nawracać, trzeba go dobrze zrozumieć. Trzeba poznać mechanizmy działania danej społeczności, jej kulturę - przede wszystkim po to, by po drodze czegoś nie zniszczyć.

- Kościół w przeszłości zniszczył bardzo wiele, teraz powinniśmy ratować, ocalać przed zagładą to, co jeszcze pozostało.

Już na misjach *Padre Dano* nauczył się indiańskiego języka, którym mówiło wówczas zaledwie dziewięć osób na całym bożym świecie. Kiedy piszę te słowa, mówią nim już tylko dwie osoby - jedna (*Dano*) mieszka w Waszyngtonie, gdzie robi doktorat z antropologii kultury, a druga to pewna bardzo stara Indianka żyjąca w Paragwaju, która nie ma z kim porozmawiać, bo wszyscy jej współplemieńcy pomarli, a ks. Darek wyjechał.

Tego plemienia już nikt nie ocali. Misjonarze nie zdążyli na czas.

ŁOWCA WYTRWAŁY

Padre Juan Marcos - imię i nazwisko zmienił urzędowo na hiszpańskie, żeby jego parafianie nie musieli łamać języka na obcych głoskach. Od wielu lat mieszka w odległym zakątku dżungli, przy granicy Peru i Ekwadoru Nawraca Indian.

W znacznym stopniu sam stał się Indianinem - nie nosi butów, jada i pracuje siedząc w kucki na podłodze, dom zbudował na pałach, przejął też wiele innych indiańskich obyczajów Zasiada nawet w plemiennej Radzie Starszych.

Codziennie przed świtem odprawia mszę. W samotności. Bo jak do tej pory, nie udało mu się nikogo nawrócić. Mówi, że już kilkakrotnie organizował grupy przygotowawcze do pierwszej komunii świętej, ale zawsze okazywało się, że jego Indianie nie są jeszcze gotowi na przyjęcie Boga.

- Nie mam zamiaru chrzcić tak jak kiedyś, czyli za pomocą sikawki. Masowo i w ciemno to można ludziom sprzedawać nowy gatunek kapusty, ale nie religię. Ich najpierw trzeba nauczyć tylu innych rzeczy. Bardziej podstawowych. I najpierw trzeba ich ocalić jako ludzi - przed cywilizacją, która chce ich stąd wykurzyć. Dopiero potem można z nich robić chrześcijan.

W każdą niedzielę plemię schodzi się do Maloki - domu zgromadzeń - pełniącej jednocześnie rolę kaplicy. Indianki z dziećmi przy nagich piersiach siadają pod ścianami, mężczyźni i chłopcy pośrodku, i modlą się wspólnie z Juanem Marcosem. Trochę z szacunku do Pana Boga, ale bardziej z szacunku do *Padre*, którego traktują jak swego patriarchę.

Juan Marcos jest największym Łowcą Chrztów, jakiego spotkałem.

Jak to - pytacie - przecież jeszcze nikogo nie nawrócił?

No właśnie, nikogo, ale *wciąż* wytrwale próbuje. Od CZTERDZIESTU LAT! Wicie ile to jest CZTERDZIEŚCI LAT OCZEKIWANIA na pierwszy efekt swojej pracy?

ŁOWCA BEZWSTYDNY

Przez kilka lat bezskutecznie próbował szczepić wiarę pośród pewnego indiańskiego plemienia, o którym mówi się, że wciąż jest „dzikie”, a ponadto bardzo niebezpieczne. Regularnie przedzierał się przez dżunglę i odprawiał msze święte w wiosce zagubionej w ostępach tropikalnej puszczy. Indianie ignorowali go wytrwale. Tak jak wszystkich jego poprzedników.

Koledzy po fachu śmiali się z uporu polskiego księdza mówiąc, że skoro wcześniej, przez kilkadziesiąt lat, nawracanie Dzikich nie powiodło się Hiszpanom ani Włochom, nie powiedzie się i jemu.

Zdawało im się, że jedyną skuteczną metodą chrystianizacji jest cywilizowanie. Zabierali więc indiańskie dzieci z wiosek w dżungli i wywozili do szkoły misyjnej. Tam, w kamiennych murach, pod dachem z blachy falistej nauczali podstaw pisania, czytania i uprawy roli. Przy okazji także wszczepiali miłość do nowego Pana Boga.

Polski misjonarz uparł się robić co wszystko inaczej - nie podobało mu się, że indiańskie dzieci są zabierane z ich świata i nauczane, jak żyć w obcej sobie cywilizacji. Postanowił zanieść Chrystusa wprost pod strzechy dzikich ludzi. I udało mu się! Bo zamiast narzucać własną kulturę, przyjął reguły życia plemiennego.

Postuchajcie...

Indianie, których odwiedzał, chodzą nago albo prawie nago. Przykrywają jedynie te miejsca, które są w ich pojęciu brzydkie i dlatego wstydlive. Zawijają więc rany, zasłaniają ropiejące liszaje i blizny, ale nigdy nie ukrywają tego, co zdrowe. Po co mieliby to robić? Przecież zdrowe jest piękne.

Jak w takiej sytuacji postrzegali księdza ubranego od stóp do głów w sutannę? Może był dla nich cały pokryty krostami? A może w ogóle o tym nie myśleli, lecz podświadomie odrzucali go jako nieczystego.

* * *

Pewnego dnia misjonarz zdjął sutannę.

Stanął przed całym plemieniem tak, jak przez wiele miesięcy Indianie stawali przed

nim - nago. I wtedy okazało się, że nie ma żadnych felerów, ba, on był piękniejszy od nich wszystkich - tak białej skóry Indianie nie widzieli przecież nigdy przedtem.

Podchodzili go oglądać, dotykać (także w miejscach gdzie księdza dotykać absolutnie nie wypada). Wzbudził wielkie zainteresowanie i zyskał szacunek.

To, że do tej pory przebywał w sutannie, zrozumiano jako wyraz rezerwy i braku zaufania. To, że ją nagle zdjął, Indianie poczytali sobie za zaszczyt, a jednocześnie deklarację braterstwa.

Kilka dni później ów polski ksiądz odprawił pierwszą mszę na golasa. Miał na sobie tylko stulę i *guayuco* [*Przypis: Przepaska biodrowa. Skąpy kawałek czerwonej szmatki, który zasiana tylko z przodu - pupa goła. (Kiedy wieje wiatr - nie tylko pupa, ale tym się nikt nie przejmuje. Ani nie ekscytuje!)*].

Tym razem, po raz pierwszy, Indianie go nie zignorowali - przybyli wszyscy i z szacunkiem, w kompletnej ciszy, wysłuchali jak się modli do swojego Boga.

Teraz (od tamtych wydarzeń minęło kilka lat) modlą się wspólnie. Ponadto okazało się, że nowy Pan Bóg jest tym samym Bogiem, którego Indianie znali wcześniej z Opowieści przekazywanych przez ich własnych przodków.

* * *

Czy msza święta odprawiona z gołą pupą jest profanacją?

Na pewno nie pośród amazońskiej puszczy - tam jest aktem niezwyklej mądrości i szacunku dla Indian. Czyli tych naszych braci, których Pan Bóg umieścił daleko poza cywilizacją majtek i biustonoszy.

Przyznaję, kiedy tam byłem i sam z gołą pupą klęczałem w czasie Podniesienia, czułem się trochę dziwnie. Ale wokół mnie klęczeli inni, ubrani równie skąpo. Pan Bóg chyba nie miał nam tego za złe. Mam nawet wrażenie, że się cieszył patrząc na nas z góry.

Dlaczego więc nie podałem nazwy kraju ani plemienia, o które chodzi? Prosił mnie o to ów ksiądz. Bardzo bał się niezrozumienia i związanych z tym kłopotów - w Kościele powszechnym ciągle przeważa pogląd, że chrystianizacja ludów pierwotnych musi się łączyć z ich cywilizowaniem. Tymczasem on postanowił wniknąć w kulturę „dzikiego” plemienia i przekazać naukę o Bogu bez rujnowania świata indiańskich wierzeń i obyczajów. Był prawdziwym Łowcą Chrtów.

ŁOWCY ZAŻENOWANI

Misje utrzymują się z datków. Łowcy Chrtów raz na trzy lata przyjeżdżają na urlop

do Polski. Są wtedy zapraszani, by odprawili niedzielną mszę i opowiedzieli o swoich misjach - co zbiorą na tacę, jest ich. Tylko co tu opowiedzieć, żeby nie zostać źle zrozumianym? Jak ksiądz w Polsce miałby publicznie przyznać, że chorych posyła do czarownika, albo że popiera wielożeństwo?

- Czy ja mam ludziom powiedzieć, że my tam wcale nie chrzczymy, tylko uczymy uprawy roli? - pytał Adam Kuchta - Czy mam im powiedzieć, że zamiast kościoła budujemy silos na soję?...

Dlatego większość opowiada o małpach, węzach, robactwie, o tropikalnym klimacie i o biedzie wzruszającej serca. Utrwalają fałszywy stereotyp misjonarza - chrzciciela, podczas gdy dzisiejszy misjonarz jest najczęściej jedynym uczciwym pracownikiem socjalnym. Obrońcą uciśnionych, biednych, chorych, ale wcale nie dusz, tylko **ciał**.

Kiedy Adam Kuchta był w Polsce w roku 2001, próbował zebrać trzy i pół tysiąca złotych na wybudowanie studni. Nie zebrał.

- Gdyby to była wieża kościelna, albo dzwon... Ale dziura w ziemi i porządny kibel... Jak ja mam uzasadnić, że właśnie to jest najważniejszy cel misyjny tego roku?

MORAŁ:

Łowcy Chrztów to najlepsi księża, jakich udało mi się poznać.

Mam wrażenie, że ci, którzy wyjeżdżają na misje, to kwiat, a w kraju zostają nam w większości łodygi. (Łodyga, jak wiadomo, jest sztywniejsza niż kwiat i mniej kolorowa.) Ale może po prostu nie miałem szczęścia poznać kwiatów polskich, bo zbyt dużo czasu spędzam na obcej ziemi.

YERBA MATE

Yerba Mate to odkrycie Indian Guarani - ich święte ziele, dar Matki Ziemi. Dzisiaj jest znane - głównie ze słyszenia - na całym świecie.

Mate uprawia się i pije powszechnie tam, gdzie w XVII wieku mieszkali Guarani, czyli na terytorium Paragwaju. Ale nie tym dzisiejszym, okrojonym przez sąsiadów. Dawniej Paragwaj rozciągał się dużo dalej niż teraz - od stóp wschodnich Andów aż po wybrzeże Oceanu Atlantyckiego. Sięgał daleko na ziemie dzisiejszej Argentyny, Urugwaju, Boliwii i południa Brazylii. Tam żyli Guarani i tam się piło Mate. Tam też pije się ją do dziś. [Przypis: Kiedy podaję nazwę własną rośliny wówczas piszę ją wielkimi literami: Yerba Mate, Mate. Ale kiedy chodzi mi o napój przyrządzony z tej rośliny albo o surowiec do jego

przygotowania (sproszkowane suszone listki) wówczas „Mate” staje się słowem pospolitym pisanym małą literą tak jak „kawa” czy „herbata”].

Wspomnienie tego dawnego, Wielkiego Paragwaju zostało w nazwie - Yerba Mate po łacinie to *ilexparaguariensis*, czyli ostro krzew paragwajski.

* * *

Niekiedy smakosze różnych herbat w Europie czy USA kupują Yerba Mate w torebkach do zaparzania i piją przez ciekawość (połączoną z lekką domieszką snobizmu). Twierdzą, że smaku je podobnie jak inne zielone herbatki - chińskie i arabskie.

Takie picie nie ma wielkiego sensu - wówczas Mate traci cały czar. Z nią jest tak, jak z kwiatem paproci, który zakwita tylko w noc świętojańską - Mate kwitnie w ustach pełnym bukietem smaku jedynie, gdy jest właściwie przyrządzona i podana.

* * *

Tradycyjny (indiański) sposób picia przypomina rytuał związane z paleniem fajki pokoju.

W jednym i drugim przypadku bardzo ważną rolę pełni sprzęt: Fajki pokoju były rzeźbione z kamienia, a niewielkie naczynko do Mate (*matero*, albo *guampa*), powinno być wykonane ze specjalnego gatunku drewna - Palo Santo (Święty Pień).

Już samo to drzewo jest ziołem - po zmieleniu zaparza się je i podaje jako lekarstwo na wiele chorób. Wspiera siły witalne (męskie), urodę (niestety tylko u pań), nerki, kiszki, żyły i wszystko inne, ale pod warunkiem, że się mocno wierzy. Ma charakterystyczny silny zapach, który nie wietrzeje. Drewno, nawet po wyschnięciu i latach używania jako *guampa*, zachowuje swój naturalny kolor - intensywną zieleń szczypiorową. Wygląda jak pomalowane bejcą.

Do drewnianej fajki - *guampy* - wsypuje się grubo siekane suszone liście i łodyżki Mate. (W tej postaci wygląda ona nie jak porządna herbata, ale jak jakieś zakurzone paprochy.)

Potem wkręca się w nie metalową rurkę - o nazwie *bombilla* - przez którą będziemy pić. Rurka ma na dolnym końcu sitko, żeby zapobiec wciąganiu fusów do buzi. Najlepiej, jeżeli jest wykonana ze srebra, bo przecież będziemy jej dotykać ustami.

Do tak nabitej *guampy* z wkręconą rurką wlewamy odrobinę gorącej wody - w tym celu wszyscy dorośli obywatele Paragwaju, o każdej porze dnia, noszą pod pachami termosy. No więc wlewamy tę wodę i czekamy.

Nie ma się do czego śpieszyć, bo i tak pierwsze zalanie wypija w całości Santo Tomas

- święty Tomasz.

(Prawda jest taka, że całą wodę wciągają te suche paprochy i każdy o tym wie, ale tradycja każe pić Mate w grupie - a nie samemu - więc jeżeli ktoś akurat nie ma kompanii, to pod ręką jest zawsze św. Tomasz. Wprawdzie niewidoczny, ale przecież obecny, bo ktoś tę pierwszą porcję wody wypił, no nie?)

* * *

Woda, którą zalewamy fusy powinna być „biała” - taka, która szumi na ogniu, ale jeszcze się nie zagotowała - nigdy wrząca! Zalanie Mate wrzątkiem powoduje, że się święte ziele poparzy, obrazi, i w jednej chwili straci cały smak. I Moc.

Nie jest to żaden indiański zabobon. Kilkakrotnie sprawdzałem - choć przyznaję, że żaden z tych eksperymentów nie był efektem działalności planowej, tylko mojego gapiostwa - i za każdym razem musiałem potem wywalać zawartość świeżo nabitej *guampy* na kompost.

[Przypis: Część Czytelników może nie wiedzieć, co to kompost. Dlatego wyjaśniam: kompost to jest kupa czegoś martwego, co wciąż żyje. Życiem... wewnętrznym. W dodatku, w sposób dość natarczywy, daje to odczuć wszystkim, którzy znajdują się w pobliżu. Szczególnie od zawietrznej.

Kompost zachowuje się tak jak kotlet, który zapragnął kwiknąć albo przynajmniej pomachać małym zakreconym ogonkiem. Tyle że kotletom to nigdy nie wychodzi.]

INDIAŃSKI RYTUAŁ

Siedzieliśmy w kilkanaście osób skupieni przy ognisku Dookoła Indianie Ache, a pośród nich *padre Adan*. Osmalony czajnik z pięknie wygiętą szyjką i dziobkiem stał przysunięty bokiem do ognia Szumiał lekko.

Stara, bardzo stara Indianka, pomarszczona tak, że przy każdym jej ruchu miało się wrażenie, że jej skóra szeleści, ścisnęła między kolanami drewniany moździerz i ucierała w nim jakieś zioła.

- To *yuyo* - wyjaśnił *padre*.

- ??? - zapytałem brwiami.

- Świeże zioła, które uciera się albo tłucze na miazgę i dodaje do matę.

- A po co?

- Oni zawsze mówią, że to *remedio* na jakąś chorobę, ale najczęściej chodzi o rodzaj przyprawy.

- Przyprawa do herbaty?

- Coś w tym guście. *Yuyo*, czyli po naszemu „chwasty”, urozmaicają smak. My też dodajemy cytrynę do herbaty.

- Dlaczego „chwasty”?

- Bo zioło, czyli *yerba*, jest tylko jedno Matę Całą reszta to zaledwie chwasty.

Stara Indianka *wcisnęła yuyo* na wierzch nabitej *guampy* i sięgnęła po czajnik Ruszała się wolno, ale nad wyraz precyzyjnie Mimo że była kompletnie ślepa.

Teraz zalała Lejąc z wysoka, żeby strużka wody schłodziła się jeszcze w drodze przez powietrze - na wszelki wypadek, choć przecież w czajniku cały czas tylko szumiało, a nie bulgotało Za żadne skarby nie chciała poparzyć matę - to zły omen, a poza tym zły smak.

Podziwiałem jej kunszt Musiała to robić całe życie i latami ćwiczyć każdy ruch, bo nie uрониła ani kropli.

Oczekaliśmy kilka minut.

.

Jeszcze kilka..

.

.

Cierpliwie.

Kiedy święty Tomasz się nasycił, Indianka naląła najpierw sobie - bo to ona była gospodarzeni ceremonii. (Poza tym niektórzy uważają, że pierwszy napar jest niesmaczny, więc nie wypada go podawać innym Argentynicy ściągają go do buzi, a następnie wypływają na ziemię Łykają dopiero drugi, a nawet trzeci. Tutaj, w Paragwaju, nikt nie robił takich rzeczy)

Staruszka piła wolno, uważając, żeby gorąca metalowa rurka nie poparzyła jej ust Kiedy skończyła, naląła ponownie odrobinę wody, na te same fusy, i podała siedzącemu po swojej prawej stronie. Tak rozpoczął się rytuał picia.

* * *

Guampa krąży z rąk do rąk, ale nie po kole - tak jak w przypadku fajki pokoju - lecz po *gwieździe*. Za każdym razem musi przecież wrócić do gospodarza z czajnikiem (lub termosem) w celu ponownego napełnienia.

Fusów jest taka ilość i mają w sobie tyle mocy (przepraszam - Mocy), by zanim stracą smak, można było przez nie przelać ze dwa litry wody.

* * *

- No i jak? - zapytał *padre*, kiedy opróżniłem *guampę* i oddałem Indiance.
- Smakuje jak napar z petów.
- A piłeś kiedy napar z petów, że tak gadasz?
- Zobaczysz - dodał po chwili - za miesiąc rzucisz kawę, rzucisz herbatę i przejdiesz na matę Na razie i tak nie masz wyjścia, bo tu się mc innego nie pije. Kiedy wyjeżdżasz?
- Za trzy miesiące.
- Uuu, no to przepadłeś. Zapomnij o małych czarnych, ty już jesteś ateista!
- A ona jakoś działa? Na ciało albo na rozum?
- Lekko kręci.
- Uzależnia?
- Nie bardziej niż kawa. Skoro w USA sprzedają matę w supermarketach, to to na pewno nie jest narkotyk, ani żaden inny materiał wyskokowy.
- To dlaczego nikt nie daje pić dzieciom?
- Tradycja U nas też dzieciom nie daje się kawy. Dopiero jak odpowiednio podrosną. Z matę tak samo.

Po chwili znowu przyszła moja kolej. Ale stara Indianka ominęła mnie i podała *guampę* następnemu.

- Nie zauważyła mnie? - szepnąłem księdzu w ucho - To znaczy, chciałem powiedzieć.
- Zauważyła, zauważyła Ona jest ślepa na oczy, ale widzi więcej niż my wszyscy Dzieciaki twierdzą, że przez trzy ściany potrafi zobaczyć jak broją.

Chyba miał rację W trakcie naszej rozmowy do kręgu dołączyło kilka osób. Usiedli w różnych miejscach, a Indianka nie zgubiła kolejności. To znaczy wszystkim którzy byli tu od początku podawała po pierwotnym kole (gwieździe), a dopiero na końcu dodawała te kilka ostatnich osób, tak jak się dosiadły.

- Coś ty jej powiedział, kiedy oddawałeś *Guamkę*? - zapytał *padre*.
- Normalnie „dziękuję”, a co niby miałem mówić?
- Nic. Właśnie o *to* chodzi, że NIC. Kiedy powiesz „dziękuję” to znaczy, że już się napiłeś i więcej nie chcesz. Wtedy wypadasz z kolejki. Siedzisz z nami, ale *guampa* cię omija. Dziękuję mówi się dopiero na samym końcu, a nie w trakcie rytuału.

* * *

Tego dnia po południu piliśmy jeszcze *coś*: *terere* czyli yerba matę na zimno.

To specjalność paragwajska, nie znana nigdzie indziej na świecie. Wszystko poza wodą pozostaje bez zmian A woda musi być tym razem lodowata!

Matę naciąga jednakowo mocno bez względu na to, czyją polewać wodą gorącą, czy zimną. Reaguje trochę tak jak ludzka skóra - można się przecież „poparzyć” od bardzo zimnego i objawy będą identyczne, jak przy poparzeniach wrzątkiem. Dobre porównanie, bo tak dla matę, jak i dla ludzkiej skóry, woda letnia jest obojętna. Od letniej matę nie naciąga - Moc śpi.

Terere pija się w tych porach dnia, kiedy jest gorąco I, rzecz ciekawa, tam gdzie się je pija, nigdy nie występuje plaga cholery, a cholera to przecież choroba brudnej wody. Nieprzegotowanej. Dokładnie takiej, jaką w większości przypadków zalewane jest *terere*.

Oczywiście odporność Paragwajczyków na cholere może się brać także z właściwości leczniczych Palo Santo - tylko w Paragwaju robi się *guampy* z tego drewna. W Brazylii, Argentynie i Urugwaju - z tykwy lub metalu.

MORAŁ:

Na koniec, kiedy przelało się już tyle wody, ze matę straciła smak, trzeba opróżnić *guampę* Robi się to zawsze na ziemię! Nigdy do śmietnika, zlewu, ubikacji itp. Nigdy!

Tak jak pierwsze zalanie było dla św. Tomasza, tak ostatnie musi być *para Pachamama* - dla Matki Ziemi To ona rodzi i daje ludziom w darze święte ziele - Yerba Matę Indianie zawsze pamiętają o Bogu. We wszystkich najbardziej zwykłych czynnościach dnia codziennego. Zнали Boga na długo przed przybyciem Łowców Chrzstów I szanują go bardziej niż mieszkańcy krajów, z których Łowcy Chrzstów pochodzą.

MACZETA

Hiszpańskie słowo *machete* (wym. maczete) oznacza duży, ciężki nóż z rozszerzoną klingą używany na przykład do cięcia trzciny cukrowej i wyrąbywania ścieżek w buszu. Na przykład, ponieważ mieszkańcy Ameryki Łacińskiej posługują się maczetami bez przerwy i potrafią nimi wykonywać bardzo wiele różnych czynności - od obcinania paznokci do obcinania głów, od dłubania w zębach, do naprawy precyzyjnego teleskopu (zdarzyło się naprawę - w polskiej stacji astronomicznej w Chile).

Maczetą jest dla Latynosów tym, czym dla Europejczyka szwajcarski scyzoryk - narzędziem do wszystkiego.

Tylko że oni są *macho*, więc taki maty scyzoryk wydawał im się... delikatnie mówiąc, niemęski. Przyznajcie sami - przypięty do paska nie wygląda imponująco; dynda smętnie i przypomina coś zupełnie innego. Za to maczetą jest *macho* bez względu na to, przy czym

pasku wisi

* * *

A skąd się wzięła maczeta?

Powstała na drodze ewolucji.

Nie żartuję. Hiszpańscy konkwistadorzy przyjechali „odkrywać” Amerykę z szablami w dłoniach. Wkrótce potem okazało się, że szabla to bardzo poręczne narzędzie nie tylko do zabijania, lecz także do eksploracji tropikalnych lasów, karczowania i uprawy roli oraz wielu innych prac gospodarskich. Tylko po co zaraz robić takie robocze szable z przedniej stali, skoro można ze zwykłego żelaza. I po co przepłacać płatnerzowi, skoro to samo równie dobrze wykona zwykły kowal.

Tak właśnie powstała maczeta - dzisiaj najbardziej popularne narzędzie w Ameryce Południowej i Środkowej. Stosowane także u nas w leśnictwie, do robienia przecinki, oraz w ogrodnictwie.

Pewnie dlatego pod koniec lat 90. XX wieku słowniki dopuściły spolszczoną wersję i zamiast *machete* mogę już teraz swobodnie pisać *maczetą* dodając wszystkie polskie końcówki.

TAM, GDZIE KOŃCZY SIĘ MAPA

Od miesiąca szukam Indian w odległym kawałku dżungli. Jestem gdzieś między Kolumbią a Peru - dokładnie nie wiadomo, bo właśnie „skończyła się” mapa. W żargonie podróżników oznacza to, że dopływ rzeczny, w który kierujemy nasze czółno, nie został uwzględniony przez kartografa. Na mapie pusta zielona plama, bez żadnych dodatkowych oznaczeń, a w naturze kolejny ciek wodny - na jego końcu mogą być Indianie.

Szansa na spotkanie jest niewielka. Te plemiona, które wciąż jeszcze żyją w stanie dzikim, ocalały tylko dlatego, że skrupulatnie unikają kontaktu. Oni nas zobaczą na pewno - jeżeli tam w ogóle są - ale my ich... bardzo wątpię. Mimo to płyniemy.

Płyniemy.

I płyniemy.

Cały... czas. . płyniemy...

...wciąż jeszcze płyniemy...

...ups!

A teraz już nie płyniemy.

Ośmiometrowa piroga utknęła. Na dobre. Zrobiło się zbyt wąsko i kręto - jest za długa

i dalej nie mieści się już w zakrętach. Poza tym jest coraz mniej wody. Od jakiegoś czasu nie płynęliśmy na wiosłach, tylko odpychając się kijami lub ciągnąc za gałęzie i liany wiszące nad naszymi głowami.

Wracamy? - bardziej oznajmia niż pyta jeden z przewodników.

To byłoby takie proste - wystarczy się przesiąść twarzą w tył - nawet nie trzeba odwracać łodzi. Ale szkoda mi wielodniowego wysiłku, bo może tam jednak są jacyś Indianie. W dodatku Dzicy.

- Wsiadamy i idziemy dalej na piechotę¹ - odpowiadam i natychmiast zaczynam wykonywać to, co powiedziałem.

Tego typu polecenia trzeba wydawać stanowczym głosem i energicznie wcielać w życie. Nie wolno pozostawiać miejsca na wahanie i wątpliwości. W przeciwnym razie, moi przewodnia' mogą się zbuntować.

* * *

To też Indianie. Tylko trochę bardziej cywilizowani od tych, których szukam. Ubierają się w szorty i koszulki, używają brom palnej, latarek na baterie i nylonowych sieci, ale ich jedynym domem i jedyną żywicielką jest nadal tropikalna puszcza. Tu się urodzili i tu umrą - to ich świat. Ich jedyna ojczyzna. *Pacbamama*.

Ich owszem, ale moja nie. Jeżeli się zbuntują - zostawią mnie tu samego, a wtedy nie mam najmniejszych szans ratunku W” kilka chwil znikną w gąszczu. Bez śladu¹ Bo oni nie zostawiają śladów Chyba że sami tego chcą.

Znają dżunglę, tak jak ja znam układ pokoi w moim domu Trafiają wszędzie bez trudu i nic złego ich tu nie zaskoczy Znają też język hiszpański (trochę) oraz (płynnie) kilka indiańskich na - rzecz\ popularnych w okolicy Są moimi tłumaczami, tragarzami i ruchomą spiżarnią. (Na wyprawę łatwiej zabrać myśliwego, kule i proch niż dwumiesięczny zapas żywności) Poza tym pełnią rolę aniołów stróżów¹Przypis: Oni sami określają to słowem *mamka* któremu zawsze towarzyszą tłumione chichoty i uszczypliwe komentarze kierowane pod adresem naszego Autora [przyp. tłumacza]]

Codziennie, choć najczęściej o tym nie wiem, ratują mi życie - omijają niebezpieczeństwa, których sam nigdy bym nie dostrzegł.

Czasami mi je pokazują:

A to jakaś mała kolorowa ząbka, która strzyka kwasem I jak trafi w czyjeś ciekawskie oko, to staje się ostatnią rzeczą na którą człowiek patrzył.

A to jadowity pająk, który skacze na ludzi. Najchętniej na czubek głowy, albo za kołnierz. I oczywiście staje się ostatnią rzeczą, która na nas skoczyła.

A to sprytnie ukryte pod gałęzią gniazdo szerszeni, które właśnie mieliśmy, przez nieuwagę, strącić ramieniem. (W porównaniu z resztą towarzystwa szerszenie są właściwie niegroźne - to, w co ugryzą, po prostu strasznie boli i puchnie. Chyba że dopadnie nas kilkanaście szerszeni na razzzzz .) Najlepsza rada, kiedy atakują, to skakać do wody.

A w wodzie czekają kolejne atrakcje: płaszczy z trującym kolcem, piranie z zębami jak żyłety, węgorz elektryczny (350V)...

* * *

O nie! Zdecydowanie nie mogłem pozwolić, żeby moi przewodnicy zwątpili w to, że wiem co robię i dokąd zmierzam.

- Zostawiamy Łódź - powiedziałem zarzucając sobie plecak na łamię - i idziemy wzdłuż strumienia. Tam na końcu JEST wioska Dzikich!

Tym razem - całe szczęście - naprawdę była. [Przypis: A o innym razie - kiedy wioski nie było - opowiemy innym razem. Ta książka ma być pouczająca i WESOŁA, a tamta historia kwalifikuje się do kategorii bardzo pouczających, ale zupełnie nieśmiesznych. Nawet po kilku latach, kiedy człowiek już ochłonał, nabrał odpowiedniego dystansu do niemiłych wydarzeń i bard/o chce je opowiedzieć w taki sposób, żeby przynajmniej w oczach słuchaczy wyjść na bohatera.]

Posłuchajcie...

DALEKO W DŻUNGLI

Wyprawa pełną gębą zaczyna się dopiero wówczas, kiedy piroga pozostaje na końcu strumienia, a my ruszamy dalej na piechotę. Z przodu *machetero* sprawnymi uderzeniami karczkuje szlak przez puszcze. Przy okazji odpędza pająki, węże i małe kolorowe żabki.

Z tyłu maszeruje *portem* - tragarz. Jest tak obciążony, że powinno go wgnieść do pasa w błoto, a jednak jakoś idzie i nawet nie stęka.

Pośrodku tej małej karawany ja, czyli gringo.

Daleko przed nami, a może w tej chwili gdzieś z boku lub z tyłu, krąży jeszcze myśliwy w poszukiwaniu kolacji.

I tak przez cztery długie dni. Romantyczne, prawda?

* * *

W książkowym opisie i we wspomnieniach; w opowieściach snutych przy kominku - wtedy to nawet bardzo romantyczne. Natomiast kiedy się tam jest - no cóż... - na miejscu wszelki romantyzm sytuacji przesłaniają sprawy o charakterze raczej pospolitym niż wzniosłym. Różne takie nie cierpiące zwłoki. [Przypis: No i po co ten imiesłów? Zwłok] właśnie na tym polegają, że nie cierpią. Jeżeli JUŻ, to robią to ZANIM staną się zwłokami, [przyp. tłumacza] Bardzo Państwa przepraszam - tłumacz czasami wymyka nam się spod kontroli To dlatego że jest tylko tłumaczem, a nie Autorem i to go trochę szczypie w ego. [przyp. Autora]

Na przykład swędzenie. Takie, które trzeba natychmiast podrapać, bo inaczej się od tego zwariuje. A jednocześnie drapać nie wolno, bo pod naszymi paznokciami czyhają brud, smród i paciorkowce.

Albo pleśń na skórze w miejscach, gdzie przebiegały paski od plecaka. Kleszcze, wczepione tam, gdzie wzrok nie sięga, więc nie da się ich pousuwać samodzielnie - trzeba poprosić o pomoc któregoś z towarzyszy podróży. (A potem wypada mu się jeszcze odwzajemnić.)

Pamięć ludzka działa jak detergent - wypiera ze wspomnień wymienione przed chwilą prozaiczne prawdy, a pozostawia tam jedynie zgrabną osnowę wydarzeń. Z grubej, zgrzebnej tkaniny - z której można by szyć wory pokutne - pozostaje zaledwie muślinowy woal, zwiewny i romantyczny tiul. Wybielona firanka w miejscu, gdzie oryginalnie wisiła żelazna kurtyna.

Rzeczy takie jak świergot cykad, śpiew ptaków, gonitw)' małą, zapachy leśnych ziół, kolory motyli o skrzydłach wielkich jak patelnie - to wszystko i jeszcze dużo więcej dodaje się do tej muślinowej osnowy dopiero po powrocie. Opowieść tka się kawałek po kawałku z różnych oderwanych nitek. Zbieraliśmy je starannie przez całą drogę i upychaliśmy po kieszeniach pamięci właśnie w tym celu - żeby ubarwić półprzezroczysty tiul, żeby je potem wpleść w tych miejscach, w których nam zabraknie tła - i wtedy Opowieść zaczyna wyglądać romantycznie. Prezentuje się jak arras.

Gdybyśmy pamiętali wszystko tak, jak się zdarzyło naprawdę, wówczas uczciwą relację z niniejszej wyprawy trzeba by zawrzeć w jednym bardzo topornym zdaniu: *Szliśmy cztery dni i cały czas swędziało.*

Romantyzmu w nim tyle, co poezji w ziemniaku, ale tak właśnie było - cztery dni swędziało, a myśmy szli, i szli, i szli. I nikomu nie wolno się było drapać.

* * *

Wreszcie doszliśmy. DOTARLIŚMY. [Przypis: Potem - przy kominku - ten kawałek się jeszcze dopracuje literacko Dołożymy różnych takich „kompletnie wyczerpani, ale szczęśliwi „ „po przedarciu się przez krwiożercze...” O, to jest to! - „krwiożercze” są niezłe - muszę sobie zapisać.]

I - jak to zwykle bywa, w chwilę po odnalezieniu wioski Dzikich - w tym momencie skończyła się wyprawa, a zaczęło odkrywanie nieznanego świata. Czynność frapująca, choć niezwykle żmudna. Złożona z wielu małych kroczków.

PIERWSZE KROKI

Pierwsze kroki skierowaliśmy do rzeki. Mieli tu rzekę! Porządną - bieżącą.

Nie łączyła się z naszym strumieniem (właściwie naszym rowem błotnym, ale mech już mu będzie strumień). Z mapy oczywiście nie wynikało nic na ten temat - pusta zielona plama - należało jednak przypuszczać, że w ciągu ostatnich czterech dni przekroczyliśmy jakiś dział wodny i jesteśmy teraz w innym zlewisku.

W Amazonii działy wodne przekracza się niepostrzeżenie - to nie Europa, gdzie się trzeba wspinąć na góry - tutaj wystarczy kilkunastometrowy pagórek Amazonka na długości kilku tysięcy kilometrów opada zaledwie o sto metrów!

Na razie nie zastanawialiśmy się nad kwestią powrotu - czy będziemy się przedzierać do naszej pirogi (znowu cztery dni), czy może lepiej wziąć którąś z tutejszych i spływać nową rzeką, bo przecież w końcu i tak musimy wylądować na Amazonce. Pytanie, czy ta druga droga nie poprowadzi nas za bardzo naokoło, zostawiliśmy sobie na później. Teraz żyliśmy chwilą.

Zrzuciliśmy ubrania i staliśmy po kolana w rzece namydając całe ciało. Proste szare mydło świetnie wygania kleszcze, koi ukąszenia moskitów i pierze koszule (gumiaste od wypoconej soli). Poza tym nie truje ryb, bo nie zawiera detergentów, perfum, sztucznych barwników etc. Dlatego na własny użytek zabieram mydło szare. Pachnące i kolorowe w niewielkich ilościach rozdaję Indiańskim kobietom.

Błoga. Błoga chwila Niech trwa godzinami. Stać tak sobie i nie myśleć o niczym - o żadnym drapaniu - po prostu chłonać błogość.

Żeby nie zepsuć tej chwili, bardzo mocno starałem się zapomnieć o widowni zgromadzonej za naszymi plecami - na brzegu rzeki przycupnęła ciekawie cała wioska.

Właściwie za moimi plecami, bo najprawdopodobniej nikt nie patrzył na plecy moich kompanów - oni byli normalni - to ja byłem biały. (Starałem się też zapomnieć o tym, że na pewno nie chodzi o moje plecy - trochę poniżej były rzeczy dużo bielsze).

Skupiłem uwagę na dokonaniu kolejnego małego kroczku w kierunku wzajemnego zaufania - mydliłem się tak, by zaciekawić Indian bliźną widoczną na moim prawym boku.

Chwyciło! To był milowy krok we właściwym kierunku.

Ale i tak niewystarczający.

Kolejne cztery dni pochłoniął kontredans złożony z całej masy małych kroczków, z których żaden nie był przełomowy, ale ich suma doprowadziła do tego, że wreszcie dwie obce sobie kultury spotkały się przy wspólnym ognisku. (A konkretnie: moja kultura została zaproszona do ich *maloki* na wieczorne Opowieści.)

CHATA ZGROMADZEŃ

Siedliśmy wokół ogniska w chacie zgromadzeń Zeszli się wszyscy mieszkańcy wioski Biały człowiek był dla nich taką samą atrakcją, jak oni dla mnie. Przyglądali mi się badawczo, czasem któraś ze starszych kobiet nie wytrzymała i skubała mnie za włoski na nogach, dziwując się, że mi tam wyrosły

Rozmawialiśmy długo w noc - om ciekawi mojej kultury, ja ich...

- Macie tu cmentarz? - pytam ostrożnie, gotowy wycofać się w każdej chwili. Natychmiast, gdy poznam, że pytanie narusza tabu albo dobre obyczaje.

- Tam. Na drugim brzegu - kilku mężczyzn pokazuje kierunek palcami.

- A ilu tam leży?

- Sześciu.

- Tylko tylu?

- Reszta leży dużo dalej wzdłuż rzeki. Ci są koło wioski, bo umarli nagle - na chorobę. Skóra im się psuła i trzeba było szybko zakopać.

- Nie macie tu szamana albo przynajmniej *Curandero*? - pytam zdziwiony, bo w KAŻDEJ indiańskiej wiosce jest ktoś, kto umie leczyć. [Przypis: *Curandero* to znachor - od szamana (czarownika) różni się tym, że zna tylko zioła ale nie ma kontaktu z Duchami i nie dysponuje Mocą. Takie rozróżnienie stosują wyłącznie Indianie dla innych mieszkańców Ameryki Południowej *Curandero* i szaman to właściwie to samo].

- Nie mamy. To znaczy jest, ale już nie leczy Ochrzczył się i czary ma zakazane.

- Jak to się ochrzczył? Gdzie?!

- Tu. W naszej rzece. My wszyscy ochrzczeni.

Na dowód pokazali mi fotografię wykonaną polaroidem, przedstawiającą dwóch młodych mężczyzn w garniturach i białych koszulach. Siedzieli pośrodku tej samej *maloki*. Każdy miał przypiętą na piersi charakterystyczną czarną plakietkę z wyżłobionym białym napisem: Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich. Mormoni? Aż tutaj? Niewiarygodne.

I straszne.

* * *

Na coś takiego nadziałem się dwukrotnie w moim życiu. Raz chodziło o mormonów, innym razem o zielonoświątkowców.

Nieodpowiedzialne, destrukcyjne misje daleko w dżungli.

Chrzczą Indian, a przy okazji wmawiają im, że tradycyjna wiara w siły natury, w demony i duchy, będące przyczyną chorób, że to wszystko jest złem. W konsekwencji, nawrócony na nową religię szaman nie może już leczyć, bo nie wolno mu wchodzić w kontakty z Mocą. Nie wolno mu się odurzać *ayauaską* [Przypis: Tą nazwą określa się halucynogenne wywary służące szamanom różnych plemion amazońskich do wchodzenia w kontakt ze światem duchów Skład chemiczny *ayauaski* różni się zależnie od plemienia. Efekt działania jest zawsze podobny [przyp. tłumacza], nie wolno wprowadzać siebie ani innych w trans poprzez wielogodzinne śpiewy, nie wolno stosować magicznych ziół. A jak bez tego wszystkiego indiański szaman ma wypędzić Demona choroby?

* * *

- To kto was teraz leczy? - pytam przerażony. - Zostawili wam jakieś leki, szczepionki? Przysyłają doktora?

- *Solo oración* (tylko modlitwa) - słyszę w odpowiedzi.

- Ale gdy kogoś ukąsi wąż, to przecież tylko szaman potrafi pomóc.

- Kiedyś pomagał. Teraz *solo oración*.

- A gdy kobieta nie może urodzić?...

- Umiera.

- Ale kiedyś szaman „wyciągał” dziecko śpiewem.

- Teraz nie wyciąga. Modlimy się tylko, bo stare czary są złe.

NIECH SZAMAN ŚPIEWA

Ochrzcic i wyjechać, zostawiając Indian samym sobie - to takie nieodpowiedzialne. Nieludzkie. Pozbawia się ich JEDYNEJ metody leczenia, jaką znają, a nie daje nic w zamian.

Jeżeli ktoś pragnie podnieść Indian na wyższy poziom cywilizacyjny, jeżeli chce ich oduczyć wiary w czary, powinien to robić stopniowo, metodą małych kroczków. I nie wolno mu pozostawiać pustki, a hasło *solo oración*, w miejsce szamana który leczy, to JEST pustka!

Chcecie, żeby „dzikus” przestał ganiać po lesie w spódniczce z liści? W porządku, ale nie zaczynajcie od zabierania spódniczki. Najpierw dajcie mu spodnie - alternatywę.

Nie wolno, w imię nowej religii, odbierać Indianom możliwości ratowania życia. Nie podobają się czary? - w porządku - nauczcie ich nowoczesnej medycyny, albo w miejsce szamana sprowadźcie lekarza.

Ale to musi być lekarz, który potrafi być bardziej skuteczny niż szaman. A dżungla niesie przecież wiele zagrożeń, o których współczesna medycyna nie ma zielonego pojęcia. Czy ten lekarz będzie prawdziwą alternatywą? Czy, na przykład, potrafi uratować od śmierci po ukąszeniu przez jadowitego węża? Nie musi tego robić ziołami i śpiewem - może mieć lodówkę pełną zagranicznych szczepionek - ale czy sprosta zadaniu?

A jeżeli nie - a na naszych rękach właśnie umiera człowiek - co wtedy?

Wtedy niech szaman śpiewa! Niech wprowadza ludzi w trans! Niech wypędza Duchy, Demony i złe Moce!

Pan Bóg był w dżungli i mieszkał z Indianami na długo zanim przyszli misjonarze. Był tam od stworzenia świata. Kto temu przeczy, podważa dogmaty wiary i nie nadaje się na misjonarza.

* * *

Zacząłem moją Opowieść.

Indianie słuchali pilnie. Bardzo skupieni. Część tej Opowieści znali już z ust misjonarzy. Ale nie całą. Byli wyraźnie zaintrygowani.

A ja, wolno, małymi kroczkami, zbliżyłem się do fragmentu, który miał przywrócić szamanowi Moc uzdrawiania.

Skończyłem właśnie opisywanie tego, jak Jezus, przyjął chrzest w rzece - *zupełnie tak samo*, - *jak wy w swojej* - a potem...

...Potem ruszył w świat. Krążył od wioski do wioski, od plemienia do plemienia i uzdrawiał ludzi. Czasami leczył poprzez nakładanie rąk. Innym razem donośnym krzykiem

wypędzał demony z serc. Potrafił przywracać mowę i słuch. Potrafił nawet przywracać wzrok.

A wiecie jak to robił?

Pewnego razu splunął na ziemię, zrobił błoto, a potem nałożył je ślepcowi na oczy i rzekł:

- Idź, obmyj się w sadzawce.

Tamten poszedł, zmył błoto i wrócił widząc¹⁶. [Przypis: „ Scena opisana w Ewangelii św. Jana (J 9,1 - 7).

Ciekawi mnie, jak odnieśliby się do mej zielonoświątkowi misjonarze? Pewnie oskarżyliby Jezusa o czary i próbowali go spalić na stosie.

Sprawa oczywiście nie jest prosta, bo Prawo Boże wyraźnie zabrania czarów, i to pod karą śmierci. Chodzi jednak o magię *związaną* z oddawaniem czci ciemnym siłom. Ja dostrzegam różnicę między wiarą w Moc Boga działającą przez nasze ręce. a „magicznym” wyginaniem łyżeczek oraz noszeniem żelazek przyczepionych do namagnetyzowanej piersi.]

To był wielki szaman. Największy.

Kiedys poderwał z grobu umarłego przyjaciela. Tamten już cuchnął rozkładem, a jednak wstał na wezwanie Wielkiej Mocy.

A wiecie skąd On czerpał tę swoją Moc?

Robił tak samo jak wasz szaman - zwracał się zawsze o pomoc do Wielkiego Ducha. Prosił, aby Ten go natchnął - nappełnił.

Na końcu pokonał także swoją własną śmierć i wtedy połączył się z Wielkim Duchem. Teraz jest gdzieś tutaj, w pobliżu, gotów przybyć z pomocą każdemu, kto Go wezwie. A wzywa się Go na różne sposoby - nie tylko tak, jak tego uczą misjonarze. Można śpiewem, można słowem, szeptem, nawet zupełnie po cichu - w głowie, ważne, żeby mieć wtedy otwarte serce, bo On przychodzi i mieszka w ludzkich sercach. Tam najchętniej...

Skończyłem Opowieść.

Indianie nadal słuchali.

Popatrzyłem na szamana i zwróciłem się wprost do niego:

- Czasami ktoś zostaje Jego wybrańcem; odkrywa w sobie Moc. Moc nauczania albo, tak jak ty, Moc uzdrawiania. Jezus jeszcze za życia posyłał uczniów, by robili to co on. A potem oni posyłali następnych. Stąd się właśnie biorą misjonarze. Ale nie wszyscy oni mają

Moc dobrego nauczania. Tak jak nie każdy z was potrafi celnie strzelać z dmuchawki, tak nie wszyscy misjonarze potrafią celnie przekazać Jego naukę. Niektórzy umieją tylko ochrzcić i odchodzą.

MORAŁ:

Nie wiem ile z mojej Opowieści zrozumieli. Ale następnej nocy szaman znowu śpiewał.

MORMONI

Kiedy szukałem księgowego do prowadzenia moich rachunków w USA, pewien znajomy poradził mi: Weź sobie mormona. Na pewno cię nie oszuka i nie ucieknie z forszą do Brazylii. Bo wiesz, oni nie mogą kłamać. Oczywiście ma to także swoje złe strony, bo nigdy nie naciągną Urzędu Skarbowego na twoją korzyść. Ale z kolei Urzędy o tym wiedzą i jak masz księgowego mormona to nigdy cię nie kontrolują.

Ostatecznie do księgowania nająłem kogo innego, ale mormonów spotykałem w moim życiu często i w bardzo różnych okolicznościach [Przypis: Najwięcej kontaktów z nimi miałem w czasie wypraw do Ameryki Środkowej związanych z badaniami nad kulturą Majów. Co łączy Majów z mormonami, dowiedzą się Państwo trochę dalej.]

Posłuchajcie...

W POLSCE

- Tylko lojalnie pana ostrzegam, że razem z panem będą mieszkały dwa pedzie. Pokoje macie osobne, ale łazienka jest wspólna.

- Jakie znowu pedzie? - pytam zaskoczony.

- Normalne. Grzeczne i czyste, zawsze w białych koszulach, ale pędzie. Polskim bym nie wynajął, ale te są amerykańskie, płacą dolarami i dobrze im patrzy z oczu!

„Pedzie” okazali się być mormońskimi misjonarzami. Przyjechali do Polski na obowiązkowy staż. Podobno u nich każdy młody chłopak musi przejść przez coś takiego. Dwa lata bardzo specyficznej roboty misyjnej: daleko od domu (np. w Amazonii, albo w komunistycznej Polsce) i bez przerwy w towarzystwie przydzielonego sobie kolegi - anioła stróża.

- Nie powinniśmy się spuszczać z oka - objaśnili mi - chodzi o wzajemne wsparcie, szczególnie w chwilach trudnych, kiedy młodego mężczyznę nachodzą naturalne w naszym

wieku pokusy. Przy koledze trudniej zgrzeszyć. Razem łatwiej przetrwać.

Mormońskiego misjonarza widać z daleka - bez względu na lokalne obyczaje i klimat, zawsze jest ubrany w czarny garnitur i białą koszulę. Do tego w widocznym miejscu przypięta plakietka z wyrytym imieniem i nazwiskiem oraz pełną nazwą Kościoła. Po zakończeniu misji wraca do domu, by natychmiast wziąć ślub. W dzisiejszych czasach tylko jeden, ale kiedyś mormoni uprawiali poligamię.

W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W roku 1823, w Nowym Jorku, młody człowiek nazwiskiem Joseph Smith doznał objawienia mistycznego. Miał mu się ukazać anioł Moroni ofiarowując złote tablice, napisane w tajemniczym języku powstałym tysiące lat temu na gruzach wieży Babel. Był to ponoć spadek po zagubionym plemieniu Izraelitów, które jeszcze w czasach biblijnych zawędrowało do Ameryki.

Smith otrzymał polecenie zorganizowania nowego Kościoła, któremu nadał dość oryginalne ramy wyznaniowe, nakazujące między innymi poligamię.

Purytańskie lędźwia Amerykanów przeszedł dreszcz obrzydzenia. Ale w wielu przypadkach był to tylko dreszcz na pokaz - pod nim rodziła się wstydliwie skrywana fascynacja.

* * *

Wstępując do kościoła mormonów nie trzeba się było wyrzekać dotychczasowej wiary, bo mormoni uznawali Ewangelię i to, że Jezus jest Synem Boga żywego. Wierzyli, po prostu, że Chrystus objawił się na Ziemi po raz drugi - właśnie im - a Księga Mormona zawiera udoskonaloną, ostateczną wersję wiary protestantów i katolików.

Powiedziałem braciom, że Księga Mormona jest bardziej poprawna niż jakakolwiek inna księga na ziemi, że stanowi podstawę naszej religii i że przybliży do Boga ludzi przestrzegających jej nauk bardziej niż jakakolwiek inna księga. - mówił J. Smith.

Słowo „bardziej” (powtórzone dwukrotnie!) było furtką, przez którą do Kościoła mormonów weszło bardzo wiele głęboko religijnych osób z innych kościołów. Zaś obrzędowe wielożeństwo było fantastycznym dodatkiem, ułatwiającym tworzenie nowej grupy wyznaniowej.

Religijnie usankcjonowana „rozpusta” pociągała wiele osób zmęczonych surowymi zakazami moralnymi protestantyzmu - to po pierwsze. A po drugie - ten, kto przystąpił do mormonów, stawał się automatycznie wyrzutkiem w swojej dotychczasowej grupie i już nie

miał odwrotu. Odrzuceni mieli tylko siebie nawzajem - to cementowało nowy Kościół.

* * *

Mormoni tułali się jakiś czas po Missouri i Illinois, gdzie w roku 1844 tłum zamordował ich przywódcę. Zastąpił go Brigham Young, który powiódł 12 tysięcy mormonów przez pustynię, do ich Ziemi Obiecanej w dzisiejszym stanie Utah. Tam, nad Wielkim Słonym Jeziorem, zbudowali swoje niezależne państwo religijne.

Do Stanów Zjednoczonych przystąpili dopiero w roku 1897, gdy spełnili warunek podporządkowania się prawu federalnemu zakazującemu wielożeństwa. Dopomógł w tym bardzo anioł Moroni, który zjawił się ponownie i odwołał nakaz poligamii, zastępując go jej surowym potępieniem.

ZA MURAMI, ZA LASAMI

Pewne grupy ortodoksów do dnia dzisiejszego uważają, że Moroni w czasie swego pierwszego przyjścia nie mógł się po prostu pomylić - ani w kwestii liczby żon, ani w żadnej innej - bo przecież aniołowie jako posłańcy Boga są nieomylni. Ortodoksi traktują więc jego „ponowne przyjście”, jak koniunkturalną bujdzę wymyśloną przez władze Kościoła mormonów, na potrzeby polityki. Jeszcze w roku 1955 milicja stanowa Arizony przymusowo zlikwidowała całą wieś poligamistów. Po tamtym wydarzeniu w różnych miejscach USA i Kanady zaczęły powstawać samodzielne osiedla mormońskie, otoczone murem i z własną ochroną. Dopóki nie wpłynie oficjalne zawiadomienie o dokonaniu jakiegoś przestępstwa, władze nie mają prawa wkraczać na prywatny teren i dzięki temu wielu mormonów żyje sobie spokojnie w związkach poligamicznych.

Zresztą dzisiaj mury i ochroniarze strzegą raczej dobrobytu mieszkańców niż moralności publicznej. Świat wokoło zmienił się - przeżyliśmy epokę komun hippisowskich, nikogo już nie dziwią rozwody i konkubiny, są miejsca, gdzie legalizuje się związki homoseksualne, w handlu dostępne są filmy pornograficzne w których jeden pan „obsługuje” kilka pań - w tym kontekście mormoni ze swoją poligamią przestali szokować.

Tym bardziej że wcale nie domagają się uznania swoich ślubów przez państwo - wystarcza im dyskretny ceremoniał religijny. No i nie bardzo jest ich za co karać - prawo nie zabrania tego, co robią, czyli dobrowolnego łączenia się ludzi we wspólnoty. Choćby zasadą takiego związku było dzielenie łoża z kilkoma kobietami, wspólne prowadzenie domu i wychowywanie dzieci.

Wielu mormonów uważa, że ich przodkowie wyprzedzili swój czas, a świat, który

wciąż ich piętnuje za „niemoralne” obyczaje, niedługo przyzna im rację. Zwolennicy wielożeństwa spokojnie czekają na jego zalegalizowanie.

- To się musi stać prędzej czy później - mówią.

W KANADZIE

Pewien Arab - nazwijmy go Hassanem - wierny wyznawca islamu, wyemigrował ze swego kraju ojczystego do Kanady. Był bardzo bogaty, a w Kanadzie zainwestował tyle pieniędzy, że przysługiwało mu automatycznie obywatelstwo. Zmienił więc paszport, a potem, już jako Kanadyjczyk, zaczął się ubiegać o obywatelstwo dla swojej najbliższej rodziny - kilkorga dzieci i... DWÓCH żon.

Władze nie bardzo wiedziały co z tym fantem począć, gdyż Ustawa o łączeniu rodzin nakładała na nie obowiązek przyznania obywatelstwa dzieciom i żonie. Niestety przepisy nie mówiły, czy każdej żonie, czy tylko jednej.

Najpierw więc przyznano obywatelstwo tej poślubionej jako pierwsza, uznając drugą żonę za konkubinę. Potem Kanadyjczykami zostały wszystkie dzieci (ze względu na ojcostwo Hassana także dzieci „konkubiny”). Na końcu zaś do nieletnich dzieci dołączyła ich biologiczna matka - druga żona Hassana.

Urzędnikom wydawało się, że to salomonowy wyrok - cała rodzina została połączona zgodnie z Ustawą, a jednocześnie nie połączono - przynajmniej oficjalnie - drugiej żony z jej mężem.

No i tu się zaczęły schody:

Hassan, jego dwie żony i wszystkie dzieci, to dzisiaj pełnoprawni obywatele Kanady. Mężczyzna, zgodnie z ustawodawstwem kraju swego pochodzenia, wziął dwa legalne śluby. Dopiero potem przybył do Kanady - z pokaźnym majątkiem, który w dobrej wierze zainwestował. Konstytucja nowej ojczyzny zabrania dyskryminacji ze względów religijnych, kulturowych, rasowych itd. - dlatego do Sądu Najwyższego trafiła pierwsza sprawa o legalizację poligamii.

Mormoni siedzą cicho i cierpliwie czekają na rozwój wypadków. Wiedzą, że globalizacja prędzej czy później MUSI doprowadzić do uznania dobrowolnych związków więcej niż dwóch osób za takie samo małżeństwo jak na przykład związek dwóch osób tej samej płci.

W SALT LAKE CITY

Ludzie mówią, że całe miasto należy do mormonów. No cóż, trochę trudno się dziwić, skoro to oni je założyli. Jest naturalne, że w ten sposób stali się właścicielami wszystkich centralnie położonych terenów. Poza tym to oni ucywilizowali pustynny stan Utah, a więc wszystkie ziemie, które są cokolwiek warte, należą do nich - reszta to nadal słone ugory.

W centrum miasta znajduje się mormoński odpowiednik Watykanu i Bazyliki św. Piotra.

Najważniejsza jest tu Świątynia - strzeżona, jak starotestamentowy Przybytek Najwyższego na Syjonie, gdzie przechowywano Arkę Przymierza. Nawet niektórzy mormoni nie mają prawa wstępu do wnętrza, a co dopiero ja - innowierca. Przebywanie tam dozwolone jest po pozytywnym zaopiniowaniu przez innych członków Kościoła, po przejściu okresu próbnego, jakichś inicjacji itd.

- Byłem w *meczezie*, wleżę i tu - postanawiam sobie.

* * *

W parku otaczającym Świątynię i kilka innych budynków kłębi się ludzki tłum. Różne odcienie skóry (sporo Azjatów), różne języki (słyszę rosyjski) - może więc uda mi się wmieszać w tę cizbę i jakoś przemycić.

Przedtem po pierwsze muszę gdzieś zdobyć czarną plakietkę z nazwiskiem, po drugie pozbyć się wszelkich oznak luzactwa w zachowaniu i ubiorze, po trzecie przybrać twarz w wyraz religijnego rozanielenia i mieć wzrok szklisty ze wzruszenia.

Plakietkę znalazłem dość szybko - leżała sobie na ziemi. Właśnie tam szukałem - w tym tłumie było tak ciasno, że przypadkowe odczepienia musiały być na porządku dziennym. Miałem sporo szczęścia, bo zgubił ją niejaki Eduardo Rodriguez ~ dużo gorzej byłoby, gdyby na plakietce widniało jakieś japońskie Masamoto, albo coś w rodzaju żeńskiego. Rodriguez był w sam raz - z wyglądu mogłem spokojnie uchodzić za Argentyńczyka, a po hiszpańsku mówię płynnie i bez akcentu.

Gotowe. Teraz szybko do środka, zanim Rodriguez się zorientuje, że go nigdzie nie chcą wpuścić, i podniesie alarm.

Przylgnąłem dyskretnie do ogona jakiejś większej grupy pielgrzymkowej i razem weszliśmy w podziemia budynku, który styka się ze Świątynią, a właściwie jakby wrasta w nią od spodu. Dookoła baaardzo bogate i luksusowe wnętrza; nawet jak na Amerykę.

Pokazują nam coś w rodzaju muzeum - portrety sławnych mormonów (sami

mężczyźni), wielkie obrazy w złotych ramach przedstawiające wybrane sceny z Księgi Mormona, jakieś stare radła i koła wozów drabiniastych, którymi 12 tysięcy Ojców Założycieli przybyło do Utah...

Kończymy w sali edukacyjnej - pełno komputerów do indywidualnego studiowania historii, w dowolnym języku i zakresie (po polsku też).

- Chciałbyś wejść do Świątyni? - słyszę nagle tuż przy swoim uchu.

Podskakuję przestraszony i odwracam się gwałtownie. Przedemną stoi brzydka jak nieszczęście dziewczyna o uśmiechu pięknym jak jutrzienka.

W odpowiedzi tylko kiwam głową.

- No to chodźmy.

Poszliśmy.

Kilka korytarzy, ozdobna klatka schodowa i w końcu przestronny hali, który zagradza gruba pluszowa lina. Po drugiej stronie ogromne drzwi. Zamknięte na głucho.

- Dalej nie wolno. Mnie też. A teraz oddaj plakietkę, „Rodriguez” - powiedziała brzydula i osłodziła wszystko pięknym uśmiechem.

- Po czym poznałaś?

- Prawdziwy mormon nie przyszedłby tu w pojedynkę, a ciebie wcześniej widziałam, jak się kręcisz po terenie sam.

Potem dobiła mnie ostatecznie mówiąc:

- Wiesz, że nawet jako zwykły turysta, mogłeś bez przeszkód obejrzeć wszystkie te miejsca, które zwiedzałeś jako Rodriguez?

- Naprawdę?

- Tak. Możesz też przejść przez te drzwi, ale przedtem musiałbyś wstąpić do naszego Kościoła.

- A mógłbym potem mieć dwie żony? - zapytałem, by sprawdzić czy mormonki mają poczucie humoru.

- Zastanówmy się... Owszem. Pod jednym warunkiem: że pierwszą weźmiesz sobie ładną, ale głupią, a tą drugą do pary będę ja.

W AMERYCE ŚRODKOWEJ

Władze federalne USA przez wiele lat żądały od mormonów zaprzestania dyskryminacji rasowej - jeszcze całkiem niedawno Kościół ten nie przyjmował Murzynów. Sprawa uległa radykalnej zmianie, kiedy okazało się ile korzyści (także materialnych) przyno-

si mormonom rozszerzanie kultu na cały świat.

Niechętni Murzynom, od początku bardzo cenili Indian, uważając ich za potomków starożytnych plemion biblijnych opisanych w Księdze Mormona - Jeredów i Lamanitów.

Ci pierwsi - Jeredowie - przybyli na nowy kontynent zaraz po upadku wieży Babel i dali początek cywilizacji Majów; po kilku tysiącach lat ulegli całkowitej zagładzie.

Drudzy - Lamanici - dotarli do Ameryki dużo później i od nich wywodzą się współcześni Indianie dżungli i prerii.

W starożytnych legendach ludów Ameryki Środkowej pojawia się często potężny władca o białej skórze i włosach. Indianie nie mieli zarostu - on ma brodę i wąsy. Ponadto przekazy podają, że przyłynął przez morze - od wschodu. Ten, kto znajdzie dowody, że ów władca był postacią historyczną i pochodził z plemienia Jeredów, potwierdzi tym samym historyczność Księgi Mormona.

Mormoni od dziesiątków lat sponsorują liczne projekty badawcze i naukowe dotyczące Indian. Ich pieniądзом zawdzięczamy wiele doniosłych odkryć, przede wszystkim z dziedziny archeologii dawnych kultur Mezoameryki.

Za co konkretnie płacą?

Za dowód, że Księga Mormona nie jest szalbierstwem, lecz podaje obiektywnie sprawdzalne fakty. Aby taki dowód był dla wszystkich przekonujący, nie może być dziełem mormona - przeciwnie - on musi być owocem pracy innowiercy lub ateisty.

Dlatego mormoni finansują wiele różnych projektów, na różnych uniwersytetach i w różnych krajach.

CZEŚĆ 4

WYPRAWY DO AMERYKI ŚRODKOWEJ

Druga połowa lat osiemdziesiątych i początek dziewięćdziesiątych - realizuję właśnie projekt archeologiczny „Mundo Maya” - fotografuję ruiny indiańskich miast. Ruiny są rozsypane po terenie Meksyku, Belize, Gwatemali i Hondurasu. W Salwadorze i Nikaragui ruin wprawdzie nie ma - bo tam Majowie zapuszczali się tylko w poszukiwaniu złota - ale za to trwają tam, niezwykle interesujące, wojny partyzanckie. Dalej leży jeszcze Kostaryka wypełniona po brzegi rezerwatami dzikiej przyrody, a za nią jest Panama „zakończona” Przesmykiem Darien znanym jako Biegun Dżungli”. A więc w sumie mam co robić - problem stanowiły wize. [Przypis: „Biegun dżungli” to w żargonie podróżników najtrudniejszy do przebycia fragment tropikalnej puszczy Darien jest w tym kontekście biegunem zachodnim, natomiast za jego wschodni odpowiednik uchodzą dżungle Borneo.

Pierwszymi Polakami, którzy pokonali Darien na piechotę - zdobyli zachodni biegun dżungli - byli nasz Autor i jego żona O ich wyprawie przeczytają Państwo w ostatniej części niniejszej książki [przyp. tłumacza]

Z wjazdem do Meksyku nigdy nie miałem kłopotu - jak się ma ważną wizę amerykańską, to Meksykanie dają swoją bez wahania. Ale pozostałe kraje nie były równie uprzejme - polski paszport im śmierdział. Nie wiem czym dokładnie - terroryzmem? komunizmem? sojuszem ze Związkiem Sowieckim? - tak czy siak, *wiz nie dajut i w swaju stranu nie puskajut.*

Co robić? Poddać się bez walki?

W y k l u c z o n e! Przecież nie mam żadnych złych zamiarów - chcę tylko robić zdjęcia Brak kilku kropelek tuszu odcisniętych na kartce papieru mnie nie powstrzyma Jeśli trzeba - wjadę bez.

Wjechałem. Właściwie wjeżdżałem. W Hondurasie byłem czterokrotnie za każdym razem nielegalnie. W Gwatemali trzykrotnie w tym dwa razy nielegalnie W Belize - zawsze bez wize...

Nieważne gdzie ile razy - ważne jak!

Posłuchajcie...

BELIZE

Belize (do roku 1981 Honduras Brytyjski) maleńki kraik karaibski wciśnięty między

Meksyk a Gwatemalę Zamieszkały w przeważającej części przez czarnoskórych potomków niewolników zbiegów z Jamajki i Kuby Poza nimi jest jeszcze garstka Indian oraz ortodoksyjna protestancka sekta menonitów bardzo biali blondyni ubrani w ogrodniczki zapinane na haftki lub kościane skobelki (stosowania guzików zakazuje im Biblia)

Murzyni są niezwykle zabawowi i przez to niezbyt chętni do jakiegokolwiek roboty menonici i Indianie na odwrót bardzo poważni prawie smutni ale za to pracowici i wzorcowo uczciwi.

Menonici posługują się na co dzień językiem starogermańskim Indianie mówią w Maya natomiast język urzędowo balangowy Belize to angielski (a nie tak jak u pozostałych krajach Ameryki Środkowej hiszpański)

Rządowa gazeta codzienna ukazuje się tylko dwa razy w tygodniu czasami trzy Nie ma tu żadnego przemysłu poza turystycznym Jest za to piękna rafa koralowa dziewiczy las zwrotnikowy oraz starożytne ruiny Majów które dopełniają całości.

Do Belize wjeżdżałem zawsze na bladą twarz ukryty pośród pierwszej lepszej grupy amerykańskich turystów Przyjeżdżali z Meksyku ponurkować na rafie. Dla nich to był jednodniowy bezwizowy wypad - dodatkowa atrakcja dołączona do standardowej wycieczki Wracali tego samego dnia wieczorem (Oni nie ja).

Dla miejscowej ludności stanowili podstawowe źródło zarobku. Witano ich więc z otwartymi ramionami a cała kontrola paszportowa sprowadzała się do pobieżnego obejrzenia uśmiechniętego autokaru. W miejsce dokumentów wystarczała blada twarz a za miast wizy maska pływacka jedno i drugie miałem zawsze przy sobie i trzymałem na wierzchu. Działo pięknie.

No ale kiedy już zrobiłem wszystkie zdjęcia wszystkich ruin w Belize chciałem ruszyć dalej do Gwatemali.

GWATEMALA

W Gwatemali było gorzej - wszystkich podróżnych dokładnie sprawdzano nie tylko na granicy, ale także na każdym ważniejszym skrzyżowaniu.

Krajem rządziła Armia Niezbyt przyjemna a ponadto przyzwyczajona do tego, że rządzi sama i nikt jej nie podskoczy. [Przypis: Głównie dlatego że podskakiwanie jest bardzo utrudnione kiedy się stoi twarzą do ściany z szeroko rozstawionymi nogami i rękami opartymi nad głową]. W oficjalnych przemówieniach wyrażano to trochę bardziej ogólnie ale w skrócie chodziło o to, że jak się komuś nie podoba gwatemalski system sprawowania władzy,

to owszem, może mu się nie podobać bo przecież Armia szanuje wszelkie wolności obywatelskie, ale lepiej żeby ten ktoś siedział cicho, bo władza dysponuje szerokim wachlarzem instrumentów służących do przerobu pyskatej opozycji na krwiste befsztyki (I nie lubi, kiedy te instrumenty rdzewieją w magazynie')

Wiedziałem że w tych warunkach na bladą twarz się nie przemknę A PRL - owskiego paszportu lepiej było nic wyciągać. Dużo bezpieczniej pokazać, że człowiek ma przy sobie odbezpieczony granat. Polska wtedy, to był dla nich wrogi kraj komunistyczny taki sam jak Kuba, a Kuba znana była z tego że wspiera lewicowe partyzantki w całej Ameryce Łacińskiej. Dodajcie to sobie sami. Mnie z takich kalkulacji wyszło, że ruiny leżące na pograniczu Gwatemali i Meksyku muszę zbadać przechodząc „na dziko” - innej drogi wtedy nie było. [Przypis: Od tamtego czasu sytuacja w Gwatemali (w Polsce zresztą też) zmieniła się tak bardzo, że wiele biur podróży oferuje dziś wycieczki turystyczne do tego kraju. Polecam. To fascynujący kawałek świata]

* * *

Przez zieloną granicę? Żadna sztuka myślę sobie - Cały ten teren to bezładne pustkowie, w dużej części porośnięte tropikalnym lasem. Łatwo zmylić trop, łatwo się zgubie tak, że człowieka nie złapie nawet najlepiej wyszkolony pogranicznik. Nie znajdą mnie tam za żadne skarby! Przede wszystkim dlatego, że nikt mnie nie będzie szukał Niby kto miałby to tobie skoro tam nikogo nie ma?

No i zgubiłem się. K o m p l e t n i e. Wpadłem jak śliwka w kompost.

Tak, w kompost bo kompot jest przyjemny, a kompost... Kompost żyje własnym życiem. I wszystko, co w niego wpada próbuje przerobie na jeszcze więcej siebie samego.

Posłuchajcie...

NAD ŚWIĘTĄ RZEKĄ USUMACINTĄ

Usumacinta - kiedyś święta rzeka Majów a współcześnie święta dla plemienia Lacandonów. Na sporym kawałku swego biegu stanowi granicę państwową między Meksykiem a Gwatemalą.

Szedłem wzdłuż jej meksykańskiego brzegu i wypatrywałem siadów ruin po drugiej stronie Mówię siadów, bo z opisu który wcześniej czytałem, wynikało, że są całe zarośnięte - miało być widać tylko coś, co przypomina regularne pagórki. Każdy taki pagórek, to pokryta roślinnością piramida.

Przez cały dzień nic nie znalazłem ale następnego ranka patrzę jest! To znaczy chyba. A może czyja wiem? Pewnie tylko taka górka. No ale pójdę sprawdzić.

Plecak zostawiłem pod drzewem, a potem jakoś tak źle stanąłem, czy co, było trochę mokro po rosie i może odrobinę błotniście...

- !!! Uuuuuuaaa

Brzeg się urwał i pojechaliśmy. Kupa błota i ja. Plecak zaraz za nami.

Dłońmi osłaniałem kark a łokciami głowę. Było bardzo stromo i wysoko.

Co jakiś czas pod moimi nerkami dawały się poczuć sporej wielkości kamienie ...aał... Bolesnie.

Z górki na pazurki, a jednak nie było mi jak na saneczkach. Błoto niesło coraz szybciej, a przed sobą widziałem tylko tajemniczą plątaninę tropikalnej roślinności. Groźną plątaninę.

W Polskim lesie człowiek by się chwycił pierwszej lepszej gałęzi albo korzenia i już - ale nie tu. O nie! Nie wolno! Po drodze mijaliśmy (plecak był tuż za mną i czasami walił mnie w kark) wystające korzenie - były uzbrojone w bardzo solidne kolce. Zostawiałem na nich kawałki ubrania i skóry. Gdybym o któryś z tych korzeni zaczepił nogą to przy rej prędkości ja pojechałbym dalej a noga została.

Nie wiedziałem też co mnie czeka na dole. Nad samą rzeką na pewno jest wiele połamanych pni. Ostrych. No a jeżeli wyląduję w wodzie taki podrapany i pokrwawiony to natychmiast przypląną piranie. Zanim ucieknę na brzeg objedzą mnie do kości (Jeżeli sobie nic nie złamałem i w ogóle będę jeszcze w stanie uciekać). Porządne stado piranii pożera krowę w dziesięć minut. Oczywiście takie stada zdarzają się tylko w Amazonii a tu są dużo mniejsze i sporadyczne ale...

...ale są

...CHLAPS... i szszszuuuu.....

po wodzie. A jednocześnie po dnie bo Usumacinta w tym miejscu okazała się bardzo płytka.

- Może ona i święta – pomyślałem - ale całkiem niepozorna. Szczególnie teraz pod koniec pory suchej.

Rozejrzałem się dookoła. Ocenilem swoją sytuację (która nie była tragiczna - kilka stłuczeń i zadrapań oraz poprute ubranie). Ocenilem odległości i stwierdziłem z całą pewnością że jestem już za granicą.

- A więc udało się! Wreszcie, po raz pierwszy w życiu, wjechałem do Gwatemali. (Szkoda tylko że na tyłku)

RUINY

Były zachwycające.

Całe pozarastane mchami pleśnią tropikalnym bluszczem i ogromnymi włośchatymi liśćmi które wydzielają intensywny kiszony zapach ..aał... I parzyły nieostrożnych przy dotknięciu łodygi.

Mój aparat fotograficzny przetrwał jazdę ze skarpy zawinięty szczelnie w całą resztę zawartości plecaka. Nie uszkodził go żaden kamień. Nie przesiąknęła do niego ani kropelka wody. Więc teraz w euforii odkrywcy po prostu pstrykałem film za filmem.

Mury świątyń porośnięte przez potężne korzenie –pstryk - - pstryk - . Białe kamienie –pstryk - obrobione setki lat temu przez nieznaną rzemieślników –pstryk - wały się wokoło u bełładzie. Zwrotnikowy las pożarł dzieła starożytnej kultury. Pożarł - pstryk - strawił –pstryk - i wypłuł nędzne resztki.

Ale jeżeli to są nędzne resztki to jakże wspaniałe było to miasto przed swoim upadkiem... BUM w objęcia... BUM puszczy... BUM - marzyłem otoczony scenerią jak z filmów o czarodziejach i zaginionych cywilizacjach, gdy nagle do mojej świadomości zaczęła się natarczywie dobijać pewna trzeźwa myśl.

Była jak chrzęszczące ziarenko piasku, które zatrzymuje rozpędzone trybiki zegarka. Jak pyłek pod powieką co przeszkadza patrzeć. Wreszcie przedarła się przez firany i woale marzeń i wrzasnęła mi w samym środku głowy:

- A GDZIE TERAZ JEST RZEKA????

- Jak to gdzie? - zacząłem się nerwowo rozglądać dookoła tam gdzie była. No właśnie... tego... a gdzie była?

Wszędzie ruiny. To tu to tam górka, ale nigdzie dołka który wskazywałby na korytko rzeczki.

Na razie tylko lekko zaniepokojony, spróbowałem odnaleźć własne ślady - one mnie

zaprowadzą. I udało mi się to dość łatwo. Problem polegał na tym że ślady były wszędzie i prowadziły we wszystkich możliwych kierunkach. Łaziłem już po tych ruinach od dobrych kilku godzin w amoku odkrywcy, który po długiej wędrówce i utracie nadziei dociera jednak do swego El Dorado - i te też nie wiedziałem w którą stronę wracać.

Wlazłem na najwyższe wzniesienie i patrzę dookoła. Nic z tego wszędzie tylko gęsty las. Zielono i tyle. To są tropiki. Busz, Bardziej suchy niż na równiku, bardziej kolczasty i szeleszczący, ale równie splątany. Widoczność kilkanaście metrów.

Zacząłem więc zataczać kręgi wokół różnych punktów orientacyjnych. Też bez rezultatu. Właściwie nie - coś z tego wynikało. Mianowicie narastające przekonanie że zgubiłem się naprawdę.

Żołądek wypełniła mi twarda bryła strachu.

Nagle poczułem że gdzieś bardzo blisko w zaroślach za moimi plecami siedzi przycupnięta i gotowa skoczyć na mnie w każdej chwili wielka kosmata obezwładniająca p a n i k a. Jeżeli mnie do padnie wtedy koniec.

- Muszę coś zrobić. Natychmiast. Jakoś się ratować.

Wstałem gwałtownie. Pozbierałem w sobie (na tyle na ile mogłem) i ruszyłem na wprost gdzieś dojdę a od siedzenia na pewno się człowiek nie posuwa naprzód.

PUSTKOWIE

Nie wiedziałem gdzie jestem. Poza tym że byłem na ogromnym pustkowiu w bezludnym stanie Peten. To jedno z tych miejsc na kuli ziemskiej gdzie mieszka o wiele mniej ludzi niż jest kilometrów kwadratowych powierzchni. I nie bez powodu bo na tych kilometrach kwadratowych nie ma nic w pobliżu czego ktoś chciałby mieszkać. No a poza tym coś trzeba jeść a mówiąc najbardziej delikatnie Peten nie jest ziemią która żywi. Chyba że potrafimy zadowolić się dietą złożoną z owadów. Ooooo wtedy Peten daje nawet szansę przytyć.

Gryzło i bzycało wszędzie. Myślę że stanowiłem tu dawno nie widzianą atrakcję - człowiek pełen krwi pokryty cienką skórą którą łatwo przekłuć Albo się przez nią przegryźć.

Wtedy po raz pierwszy poznałem heheny - owady które nie kłują tylko się wgrzyżają.

A potem chłepczą taplając mordy w wy pływającej krwi. Żeby im za wcześniej nie zakrzepła plują na lewo i prawo czymś takim co przy okazji wywołuje swędzenie Po jedzeniu odlatują i zostawiają na pamiątkę maleńki czarny punkcik wielkości takiej jak one same. Ten punkcik to skrzep. (Zostawiają też oczywiście - bo jakżeby inaczej swędzenie. Jego wielkość

jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości hehena). [Przypis: Autor ma na myśli maleńkie owady w typie naszych meszek. W oryginale hiszpańskim to *jejenes* [wym. hehenes], liczba pojedyncza *jejen* [wym. hehen].

Pozwalam sobie spolszczyć tę nazwę na „Heleny” (a więc zgodnie z ich wymową) Dlaczego? Po pierwsze dlatego że *jejen* nie ma odpowiednika w naszym języku a w formie „hehen” łatwiej go będzie odmieniać. Po wtóre swoim zachowaniem hehena przypominają hieny - są wredne, krwiożercze i atakują stadami, a kiedy jest już po wszystkim na horyzoncie zostają tylko maleńkie czarne punkciki [przyp. tłumacza]

Było ich pełno W każdym razie tak myślałem wtedy. Kilka lat później nad Orinoko przekonałem się że pojemność słowa pełno jest dużo większa A całkiem niedawno nad rzeką Kuruca w Brazylii, odkryłem, że jest nieograniczona - tych małych muszek było tam tyle, że mimo czterdziestostopniowego upału zakładaliśmy na siebie wszystkie nasze ubrania, zapinaliśmy szczelnie pod samą szyję, a na stopy, dłonie i głowy wkładaliśmy woreczki foliowe.

Szedłem przed siebie.

Coraz bardziej zaniepokojony. Przecież zdecydowałem się prze - kroczyć granicę „na dziko” przede wszystkim dlatego, że w tej okolicy nie ma żywej duszy. Jak więc teraz znajdę pomoc? Kto mi wskaże drogę powrotną? Jeżeli idę w złym kierunku i nie trafię na rzekę, mogę tak krążyć jeszcze wiele dni. A właściwie niewiele dni, bo żywności, którą miałem przy sobie starczy najwyżej na tydzień.

Przypomniałem sobie, czego uczą w szkołach przetrwania - idź zawsze w dół, a w końcu trafisz na jakiś ciek wodny, potem, z wodą, do morza. Bardzo pięknie, tylko spróbujcie to zastosować pośród saharyjskich wydm. Albo tutaj w Górach Lakandonów (Sierra del Lacandón). Schodząc wciąż w dół, człowiek w końcu odkrywa, że jest w dole, a wszędzie dookoła jest już tylko wyżej.. I co teraz?

Bez przerwy trafiałem na jary, wykroty i inne podobne. Pełne wielkich, liści pachnących kiszonką, pod którymi mogło sobie odpoczywać coś, co ma dwa zęby jadowe i kiedy dziabnie w kostkę to woła się „aał” po raz ostatni.

Zmiana taktyki - idę na słońce. To wprawdzie oznacza, że będę ciągle lekko skręcał, ale pod wieczór przynajmniej się zorientuję gdzie leży zachód.

Też głupio, bo Meksyk leży raczej na Wschodzie.

To może lepiej posiedzieć tu spokojnie i poczekać? Ale na co?

Nagle widzę: ŚCIEŻKA!

Prawdziwa, najprawdziwsza. W y d e p t a n a. Hurra!

Tylko może ona została wydeptana przez zwierzęta?

Co z tego - nawet jeżeli, to prowadzi do wodopój, a wodopój leży nad rzeką.

No, chyba że pójde tą ścieżką w złym kierunku - od rzeki - wówczas zaczniesz się rozdwajać i w końcu tak się rozejdziesz w buszu jak stare portki w praniu.

No to wtedy zawrócę. Właściwie najlepiej, jak zawrócę zaraz na pierwszym rozwidleniu...

O! Rozwidlenie. I ślady człowieka! CZŁO - WIE - KA. Żywego. Z całą pewnością człowieka, bo zwierzęta nie noszą maczet, a ni - czym innym nie dałoby się tak równo obciążyć tego pieńka.

- Ale że mnie durna pała - mruczałem pod nosem w chwilę potem, maszerując coraz szerszą ścieżką. - Przecież nie bez powodu to są Góry Lakandonów.

LAKANDONI

Lakandoni to ostatnie dzikie plemię w tym rejonie. Wielu z nich wciąż żyje w lesie, poluje z użyciem łuków i strzał, itd. Kiedy, rzadko i niechętnie, wychodzą w stronę cywilizacji i pojawiają się na przykład na targowiskach w małych meksykańskich wioskach, wzbudzają sensację. Głównie swoim wyglądem. Mężczyźni noszą giezła - długie zgrzebne suknie do kolan - i włosy do ramion. Zawsze dziko zmierzwione. Gdy komuś spojrzą w oczy, po plecach przechodzi dreszcz - ma się niepokojące wrażenie, że wiedzą o tobie wszystko. Bez zbędnych targów wymieniają wędzone ryby i upolowane zwierzęta na to, czego im potrzeba (sól, noże, haczyki), a potem szybko znikają w lesie.

Przetrwali do dnia dzisiejszego przede wszystkim dlatego, że na terenach, które zamieszkują, nie chce mieszkać nikt inny.

* * *

Jest wioska!

Widzę kilka chałup, dachy utkane z liści palmowych, ściany ulepione z gliny, ale na razie żywego ducha. Tylko kilka wałęsających się kur.

Idę dalej. Ciekawe, jak mnie przyjmą; czy przyjaźnie? Ale przecież i tak nie mam wyjścia.

O! Są i ludzie. Wszyscy zebrani na klepisku pośrodku wsi. Tylko czemu oni... BUM.

I znowu pewna trzeźwa myśl wpadła jak ziarenko piasku pod powiekę mojej uśpionej czujności. Zanim dotarła na miejsce, zanim zachręściła ostrzegawczo, zanim zdołała załomotać do drzwi mojej świadomości, musiała się przedrzeć przez cukrową watę euforii,

która wypełnia mózgi wszystkich zagubionych wędrowców w chwilach, gdy niespodziewanie dla siebie samych odnajdują ścieżkę w buszu, a na jej końcu wioskę.

- COŚ JEST NIE TAK!!! - wrzasnęła w końcu, aż mi od tego zadzwoniło w skroniach.
- CI LUDZIE KLĘCZĄ!!! - myśl była tuż za oczami, które otwierały się coraz szerzej, z przerażenia. - A NORMALNIE LUDZIE NIE KLĘCZĄ POŚRODKU SWOICH WIOSEK Z RĘKAMI NA KARKU!!!

Niestety wrzeszczała na próżno - o kilka chwil za późno. BUM.

- *Hola gringo!* - powitał mnie ktoś za moimi plecami.

Głos był miły i spokojny. Kiedy jednak spróbowałem się odwrócić, by odwzajemnić uprzejmość, poczułem, że nie będzie to mile widziane - coś twardego stuknęło mnie w środek pleców.

- Ał!

- Idziemy - zaproponował głos, a potem na moich plecach postawił kropkę kończącą tę krótką wypowiedź. [Przypis: Znalazłem potem tę kropkę. Była bardzo wyraźnie widoczną na płótnie koszuli. Nie z tuszu jak w wszystkie inne zwykle kropki kończące zwykle zdania tylko z oleju. Takiego, którym naciera się lufy karabinów.]

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że równie łatwo mógł w tym miejscu zostawić dziurę.

GUERRILLA

Samotną wioskę na pustkowiu, zamieszkaną przez grupkę Indian, którzy nie mają żadnych dokumentów, a więc nie istnieją oficjalnie jako obywatele żadnego państwa - taką wioskę bardzo łatwo najechać i splądrować. Nikt nie będzie protestował, nikt się nie dowie. Nikt, kto jest kimś - bo Indianie wiedzą, ale oni w swoich krajach najczęściej są nikim.

Wiedzą też podobno liczne międzynarodowe organizacje praw człowieka, i nawet protestują. Cóż z tego, skoro protestują w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku, a nie w stanie Peten. I cóż z tego, skoro protestują za pomocą gardeł i zadrukowanych kartek papieru, podczas gdy gwałt dzieje się za pomocą pięści i kul z karabinów.

Guerrilla, jak każde wojsko, musi sobie zapewnić aprowizację. Oczywiście nie idzie w tym celu do sklepu i nie kupuje, tylko zdobywa przemocą. Pół biedy, jeżeli napada na transporty wojskowe - wówczas trafia swój na swego. Najczęściej jednak zaopatrzenie dla antyrządowych partyzantek wymuszane jest na ludności cywilnej.

Guerilleros wpadają do wioski, przez dzień lub dwa jedzą i balują na miejscu, a potem

zabierają wszystko, co się da unieść, i ruszają w drogę.

Słowo „balują” kryje pod sobą wszystkie możliwe rodzaje gwałtu, jaki jeden człowiek może zadać drugiemu dla własnej przyjemności. A ponieważ *guerrilla* to wyłącznie mężczyźni, gwałt zadawany jest przede wszystkim kobietom.

Na co dzień Indianki są pogardzane jako półludzie. Jednak od święta dostrzega się w nich atrakcyjne kobiety. Właściwie dziewczynki. Jeszcze dzieci, bo te odrobinę starsze są już w pierwszej ciąży i się nie nadają „na bal”.

Po skonsumowaniu i zrabowaniu wszystkiego co się da, *guerrilla* odchodzi. Syta na kilka miesięcy.

* * *

Kłęczałem na końcu szeregu. Obok mnie około dwudziestu mężczyzn i chłopców. Wszyscy z rękami na karku albo na głowie. Dookoła nas przechadzało się kilku bandytów z karabinami. Byli ubrani w stare mundury wojskowe, poskładane z tego, co udało się zdobyć na Meksykanach i Gwatemalczykach. Poobrywane insygnia, a na głowach zawiązane czerwone przepaski, żeby się dodatkowo odróżnić od regularnej armii.

Kłęczałem, a uda mi dygotały ze strachu. Widziałem podobne sceny na filmach i zawsze kończyło się tak samo.

* * *

Nieważne, czy to Czerwoni Khmerzy w Kambodży, Viet Kong w Wietnamie, czy Sendero Lummoso w Peru - czerwone przepaski wszędzie na świecie oznaczają łatwość zabijania. Właściwie przymus zabijania, bo przecież to jedyna racja bytu rebelianta. Cóż on innego ma do roboty poza zabijaniem?

Kiedy kończy się czas zabijania, czerwone przepaski znikają. Nie są już potrzebne, bo albo ktoś zwyciężył i włożył czapkę regularnej armii, albo się zdemilitaryzował i zaczyna nosić słomkowy kapelusz. Dopóki są przepaski, dopóty jest śmierć. Zadawana lekką ręką.

* * *

- Noo, gringo - na szczęście to nie było pytanie, bo nie wiedziałbym co na nie odpowiedzieć.

Człowiek, który wciąż stał za moimi plecami, powiedział te słowa tylko po to, by na końcu postawić kolejną kropkę. Tym razem już nie przez koszulę, lecz bezpośrednio - wprost na moim karku. Dokładnie w zagłębieniu między ścięgnami szyi.

* * * Żelazny dotyk lufy.

Zaskakująco ciepły. Ciepły dlatego, że ta lufa była prawdziwa i rozgrzała się w słońcu. Wszystkie inne znane mi lufy były zawsze zimne, ponieważ zmyślono je dla potrzeb fikcji literackiej.

Lufa na moim karku. I świadomość, że gdzieś z tyłu tej lufy czekają kule. Niedaleko nich czeka palec. Wystarczy małe szarpnięcie za cyngiel. Wtedy skończy się zabawa.

Na szczęście oni tu są po to, żeby się zabawić, więc mam jeszcze czas. Cudowny czas - nędzną resztkę życia. Na co ją poświęcę?

Sobie?

Bogu?

Na przeprosiny, czy na błagania?

* * *

- NOO, GRINGO, DO CIEBIE MÓWIĘ - wrzasnął zniecierpliwiony i to chyba jednak był rodzaj pytania.

W każdym razie ten człowiek, teraz już bardzo wyraźnie, domagał się ode mnie jakiejś reakcji. Jakiej? Jakiej? Ja...? Chętnie mu jej udzielię. Tylko czego on chce? Co to ma być? Jęk strachu? Błaganie o litość? Płacz?...?!

Odsunął lufę...

Jakaś kobieta w oddali zaczęła przeraźliwie piszczeć. Potem nagle Przerwała. Ktoś ją brutalnie uciszył kopniakiem w brzuch.

Człowiek za moimi plecami poruszył się; usłyszałem szelest wojskowego drelichu.

Zamknąłem oczy. Ciasno. Czy to już na zawsze? Po raz ostatni? W głowie łomotała mi krew.

Czekał...

...

Słyszałem jak oddycha..

...

Czekał...

...

Czekał.....

...

A potem, nagle - tuz przy moim uchu - szepnął:

- Noooo, gringo?

W tym momencie narobiłem w spodnie.

EL CAPITAN

- Zesrałeś się ze strachu, gringo!

- Zesrałem. I wiesz co, całkiem przestałem się bać.

- Chłopaki, zesrał się... Coś ty powiedział?!
- Mówię, że przestałem się bać! Zabijesz mnie - trudno. Życie miałem krótkie, ale

całkiem niezłe. Nie mam już siły na strach. Przekroczyłem granicę śmiertelnego przerażenia i teraz jestem po drugiej stronie. Myślę, że ze strachu po prostu zwariowałem, a ty już mi nic nie możesz zrobić [Przypis: W kulturze o indiańskich korzeniach (a z taką mamy do czynienia w całej Ameryce Łacińskiej) osoby obłąkane są nietykalne. Powszechnie wierzy się, że w głowie wariata rezyduje demon, który mógłby „przeskoczyć” na osobę zdrową, jeśli ta zabije lub nawet tylko skrzywdzi obłąkanego [przyp. tłumacza]. Olewam cię, gnojku. A właściwie nie, ja na ciebie...

- *QUE PASA?* Co tu się dzieje?! - wrzasnął ktoś z boku.

Na plac wszedł mężczyzna w którym rozpoznałem dowódcę - miał lepszy od pozostałych strój, był minimalnie starszy i zamiast ciężkiego karabinu nosił za paskiem dwa rewolwery.

Mój oprawca w szybkich słowach zdał mu raport: że podkradłem się do wioski, on mnie złapał, a teraz przesłuchuje. Zwracał się do niego *per capitdn*.

- *Papeles!* Dokumenty! - dowódca wyciągnął rękę w moją stronę.

Wyjąłem nieprzemakalny worek zawieszony na szyi pod ubraniem, a z mego paszport.

Dowódca zaczął go analizować strona po stronie. Litery składał bardzo wolno - czytałem to z ruchu jego ust, szepczących bezgłośnie. Kiedy wreszcie udało mu się zlepścić w całość pierwsze słowo, zapytał:

- *Polonia??* - był wyraźnie zdziwiony.

- *Si, senior.*

Przez kilka następnych chwil mocował się z kolejnymi słowami. Pomagał sobie językiem, co wyglądało tak, jakby przesuwiał paciorki liter po niewidzialnym sznurku zawieszonym w pobliżu dolnej wargi. W końcu zrezygnował z czytania na naszych oczach, odwrócił się na pięcie i zniknął w najbliższej chałupie.

- Do rzeki z nim! - rzucił na odchodnym. - Niech się umyje.

* * *

Rzeka była tuż - tuż. Dokładnie po przeciwnej stronie wioski w stosunku do kierunku

skąd przyszedłem, ale bardzo blisko. I to na pewno ta sama rzeka - Usumacinta - poznałem po ilości wody. Zęby się umyć, nie mogłem po prostu wejść po pas i spuścić spodni pod powierzchnią - w najgłębszym miejscu sięgała mi zaledwie do kolan. Ale co tam. W mojej sytuacji te kilka dodatkowych chwil wstydu nie wpływało na ogólne saldo. Gorzej niż było już nie będzie.

Nikt mnie nie poganiał, nawet nikt nie pilnował. Bandyta, który wcześniej mierzył do mnie z karabinu, a potem eskortował nad rzekę, teraz siadł pod drzewem i rozpoczął studiowanie zbiorów zgromadzonych za paznokciami. Od czasu do czasu dłużył w uchu albo w nosie, a potem badał efekty swoich wykopalisk. Człowiek lekko znudzony, uwolniony od tych wszystkich zajęć i obowiązków, które na co dzień zaprzatają jego umysł, potrafi być kopalnią pomysłów; albo tylko kopalnią.

Umyłem się porządnie, wyprałem spodnie i już je miałem wkładać, gdy nagle przyleciał dowódca.

- *Compañero* - krzyczy do mnie. - Towarzyszu!

A potem zaczął wyrzucać z siebie kolejne wyrazy tak szybko, że absolutnie nic nie byłem w stanie zrozumieć. Mówię po hiszpańsku płynnie, ale on ładował we mnie strumieniem słów rwących jak z armatki wodnej. Stałem więc goły, z mokrymi portkami w rękę, a on gadał i gadał i gadał, a potem jakby zaczął za coś przepraszać... I ciągle powtarzał *Compañero*.

- *Se puede vestir, si quere*. Może się pan ubrać, jeśli chce - powiedział w pewnej chwili.

Sam chyba tego nie zauważył, ale ja owszem - on się do mnie zwrócił per „p a n”.

Wszystko wyjaśniło się po jakichś dwudziestu minutach, kiedy trochę zwolnił tempo i wreszcie z rwącego potoku zacząłem wyławiać pojedyncze płatki wyrazów. Poza tym zaprezentował mi mój własny paszport. Szczególnie taką jedną stronę, na której miałem całe stado kubańskich pieczętek.

* * *

W tamtych czasach z Polski do Meksyku najtaniej było latać przez Kubę. Więc jeśli tylko mogłem - latałem tamtędy. Tanio było między innymi dlatego, że na przesiadkę czekało się bardzo długo - całą noc, a niekiedy nawet półtora dnia. W takim przypadku przepisy stanowiły, że to już nie był zwykły Tranzyt lecz - krótki, bo krótki - ale formalnie rzecz ujmując - Pobyt. A jak Pobyt, to stemplowali człowiekowi paszport odpowiednią pieczęcią. W drodze do Meksyku - raz; w drodze powrotnej - drugi raz. I tak przez kilka lat.

Przeglądając mój paszport, można było odnieść wrażenie, że jestem kubańskim rezydentem, albo czymś podobnym. A *capitan* i jego kumple byli przecież członkami lewicowej partyzantki! Lewicowej, a więc wspieranej przez Fidela Castro. Dodajcie to sobie sami.

Pokazywali mi potem swoje kałasze i dziękowali serdecznie za dostawę. Mówili, że im to uratowało życie. [Przypis: „Potem” oznacza tylko nie. ze przedtem włożyłem spodnie.]
A co ja miałem powiedzieć?

Mnie też uratowało!

I kto by pomyślał - Fidel Castro, dostarczając broń bandytom, ocalił mnie od kulki w kark.

TAJNA MISJA

Następnego ranka odprowadzili mnie na drugi brzeg, czyli do Meksyku. Byłem traktowany jak Szanowny Pan Emisariusz Najwyższego Wodza Wielkiej Rewolucji. Sprowadzało się to do tego, że jeden z nich niósł mój plecak, a pozostali za pomocą maczet wycinali wszystkie gałązki, liany i liście, które mogłyby chcieć otrzeć się o moje ciało. Niestety skupiali się na tych u góry, więc od czasu do czasu ...aa!... kiszone liście muskały Emisariusza w tydkę.

Całą poprzednią noc myślałem, jak mógłbym wykorzystać moją nową pozycję. Ona miała pewien ukryty potencjał - władzę nad ich sercami i prostą umysłowością rzezimieszków.

We wszystkich naszych rozmowach, zamiast opowiadać o sobie, pozwalałem mówić im. I pilnie zbierałem fakty.

Opowiedzieli więc sami sobie historię mojej Tajnej Misji. Dzięki temu opowieść była wiarygodna. Dużo bardziej spójna od tego, co ja mógłbym wymyślić, nie znając ich historii, przynależności organizacyjnej i innych tego typu szczegółów. Bez trudu uwierzyli we własne słowa i teraz byłem prawdziwym Tajnym Agentem przysłanym tutaj z Kuby, drogą przez Meksyk i zieloną granicę. Tajnym Agentem, który po wykonaniu Zadania wraca do domu.

Modliłem się tylko, by żaden z nich nie zapytał, na czym właściwie polegało owo Zadanie. Była to jedyna rzecz, której nie mogli opowiedzieć sami sobie.

* * *

- A konkretnie, co to za Misja? - zapytał *capitan*, który szedł tuż za moimi plecami.

Poczułem jak w tym momencie dołącza do niego wielka, kosmata, obezwładniająca

panika. Jeżeli na mnie skoczy - wtedy koniec.

Dziadek mnie uczył, że strach najlepiej pokonywać stając z nim oko w oko. Odwróciłem się więc...

I od razu stwierdziłem, że to nie był najlepszy pomysł. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na wyraz jego twarzy, by wiedzieć, że *capitan* rzucił pytanie dotyczące charakteru Misji mimochodem. I WCALE NIE OCZEKIWAŁ, ŻE DOSTANIE ODPOWIEDŹ! W końcu nie od dzisiaj robił w tej branży i wiedział doskonale, co to znaczy, że misja jest Tajna. No ale teraz, skoro już się odwróciłem - a właściwie dlaczego tak gwałtownie? - czekał na to, co mu powiem.

Przełknąłem ślinę. Tak jak połyka się jabłko w całości.

Dzięki temu jego zainteresowanie jeszcze wzrosło.

Reszta bandytów otoczyła nas ciasnym kołem. Wszyscy trzymali w dłoniach obnażone maczety. (Nie licząc tego, który niósł mój plecak. Jego maczetą nie była obnażona - zwisała w skórzanej pochwie u pasa - ale była równie ostra i gotowa w każdej chwili ciąć.) Pootwierali szeroko usta i słuchali bardzo uważnie. Nie wiem czego, bo chwilowo nie miałem im absolutnie nic do powiedzenia. Niestety.

Przełknąłem kolejne jabłko.

A oni czekali...

...

...

Czekali...

...

Musiałem czymś wypełnić tę pustkę. W przeciwnym razie wleje się tam gęsta smoła podejrzeń. Albo od razu wleci koktajl Mołotowa z naklejką „On nas dmucha w balona!”.

- *Compañeros*... - desperackim szarpnięciem napiąłem cugle ich uwagi.

Do ostateczności. Bardziej już się nie dało.

Cugle trzeszczały, a ja wciąż nie miałem żadnej koncepcji.

„Zabijają, zabijają, zabijają” - krzyczało coś w mojej głowie.

...

...

Czekali.....

...

...

Przeciągałem to, jak tylko mogłem, w poszukiwaniu jakiejś wiarygodnej bajeczki, w którą będą w stanie uwierzyć...

W końcu jeden z nich nie wytrzymał - cugle pękły, skupienie przysło, jego myśli pogalopowały do przodu i w rozdziawionych ustach pojawiło się pytanie:

- No...?

Niestety nie było to pytanie w najmniejszym stopniu pomocnicze. Było za to bardzo niebezpieczne - lada chwila, następny z nich rozwinie je do znanej mi już formy: Noo, gringo?

Nie mogłem na to pozwolić! Pozbierałem się w sobie - na tyle na ile w tych warunkach potrafiłem - a ponieważ od siedzenia i czekania człowiek się na pewno nie posuwa naprzód, zacząłem mówić. Cokolwiek. Byle wreszcie przerwać tę huczącą ciszę. I byle oni przestali czekać.

- Jestem tu po to... - i nagle słowa popłynęły wartką strugą - ...po to, żebyście zostawili Indian w spokoju. Tak chce Fidel i tak wam kazał powiedzieć. Macie walczyć z armią i rządem, przeciwko tyranii, a Indianie zostają w spokoju. Fidel mówi, że to ich ziemia. oni są Ludem Pracującym, tak jak wy. Zrozumiano?

- Tajes - odpowiedzieli po chwili niezgodnym chórem.

- ZROZUMIANO?! - dobiłem po wojskowemu.

- SI, SEÑOR!!! - tym razem głos był jeden, chociaż gardeł wiele.

- Nie żaden „señor”, towarzysze, tylko „compañero” - skarciłem łagodnie, po ojcowsku.

- Tajes - odpowiedzieli jak grzeczni synkowie.

* * *

Trzy dni później, siedziałem sobie bezpiecznie na patio maleńkiego hoteliku w Palenque i piłem świeżo wyciśnięty sok z ananasa z lodem. Pod stolikiem wciąż trzęsły mi się uda [Przypis: Mój znajomy mawia tak: Uda są zawsze dwa - albo się uda, albo się nie uda. Tym razem pierwsze z lewej. [przyp. tłumacza]

ZNOWU GWATEMALA

Po tym zajściu naruszałem strefę przygraniczną Gwatemali jeszcze kilka razy, lecz jechać w głąb kraju się bałem. Armia straciła wprawdzie władzę absolutną, ale wojskowi stali się przez to tylko bardziej nerwowi. W stolicy pozory cywilnej kontroli, natomiast na prowincji - a ja się przecież wybierałem na prowincję - nadal niepodzielnie rządzi wojsko. I

robi to w sposób właściwy dla wielu armii świata - najpierw szuka pretekstu (np. brak jakiegoś przecinka w paszporcie), a zaraz potem w ruch idą kolby karabinów i wojskowe buciory.

Dlatego uparcie ponawiałem podania wizowe składając je na przemian w różnych konsulatach: w Sztokholmie, Waszyngtonie, Paryżu. (W Polsce nie było jeszcze wtedy ambasady). Przez kilka lat mi odmawiano, a kiedy w końcu dostałem pozwolenie na wjazd...

Zaglądam w paszport, a tam napisane: „wiza ważna 5 dni”.

- Pięć?! Co można zrobić w 5 dni?!

Posłuchajcie...

WIZA KALIBER '45

Zaraz po wylądowaniu w Ciudad de Guatemala, poszedłem do sklepu papierniczego. Tam otworzyłem paszport, dobrałem odpowiedni odcień i grubość długopisu, dostawiłem jedynekę przed piątką i w ten prosty sposób uzyskałem wizę na dni piętnaście. Łatwizna.

(Dziwią się Państwo, że sprzedawca nie reagował? W kraju, gdzie rządzi Armia, lepiej nie wyskakiwać przed szereg. Nawet kiedy widzimy, że w tym szeregu ktoś kombinuje coś na lewo. Wtedy najbezpieczniej jest natychmiast zrobić „w prawo patrz”. Poza tym, jak ktoś coś robi zupełnie jawnie, na widoku publicznym, to to chyba raczej nie jest nielegalne, choćby na pierwszy rzut oka wyglądało na fałszowanie dokumentów.)

Po dwóch tygodniach doszedłem do wniosku, że bardzo mi się w Gwatemali podoba i nie chcę jeszcze wyjeżdżać. Dlatego po raz drugi podrasowałem sobie wizę przeprowadzając „15” na „45”. Łatwizna.

- to w końcu tylko dodatkowe kreseczki pod odpowiednim kątem.

Liczne patrole wojskowe, wielokrotnie bardzo skrupulatnie wertowały potem mój paszport, ale zawsze puszczały mnie wolno

- przekalibrowana wiza u nikogo nie budziła zastrzeżeń. Do czasu.

Czekał mnie jeszcze przecież powrót do domu, związany nieodwołalnie z przejściem granicznym na lotnisku w stolicy kraju, a tam pracowali urzędnicy dokładnie obeznani z procedurami. Wiedzieli świetnie, że wiza na 45 dni się nie wydaje (albo 3(1, albo od razu 90). Poza tym mieli zawsze pod ręką pomoc - rodzaj ściągawki - w postaci grubej Granatowej Księgi w tekturowej oprawie, do której wpisywano wszystkich nietypowych przyjezdnych. Amerykanie, Niemcy, Francuzi nie podlegali wpisowi, ale ja, obywatel państwa komunistycznego, owszem.

* * *

Przy wjeździe spędziłem dwie godziny oczekując na ostateczną decyzję, czy moja wiza (wydana w Austrii) zostanie uznana. Był w tej sprawie telefon do Ministerstwa Spraw Zagranicznych (na mój koszt), potem do Spraw Wewnętrznych (na mój koszt), potem faks z ambasady w Wiedniu (na mój koszt) i wreszcie bardzo szczegółowy wpis do Granatowej Księgi, obciążony opłatą skarbową (na mój koszt rzecz jasna).

Nie miałem wątpliwości, że przy wyjeździe Księga znów się pojawi - a w niej było bardzo jasno napisane, do kiedy mam opuścić terytorium Gwatemali - dlatego skrupulatnie się na tę okoliczność przygotowałem:

Najpierw rozgiąłem paszport w taki sposób, by zawsze sam otwierał się na stronie z wizą. Następnie, pod kartką na której była wstemplowana, umieściłem nowiutki banknot dwudziestodolarowy złożony w pół. Przytwierdziłem go tam maleńką kropelką kleju (żeby się niechcący nie wysunął). Dodatkowo sklepiłem także strony, między którymi się znajdował - po to, by nie został przedwcześnie odkryty. Łatwizna.

* * *

Urzędnik spojrział na wizę, a potem pytająco uniósł brwi stukając jednocześnie paznokciem w fałszywą liczbę „45”.

Uśmiechnąłem się do niego niewinnie i powiedziałem:

- Na następnej stronie znajdzie Pan dodatkowe informacje, *señor*. Odwrócił kartkę i nic nie znalazł - dwudziestodolarówki nie było.

- Co to, głupie żarty?

- Nie, nie, pewnie się kartki sklepiły. Proszę ostrożnie rozdzielać, bo się podra.

Wetknął paznokciec między strony, podważył, klej puścił, „dodatkowe informacje” okazały się wystarczające, a potem już tylko szeroki uśmiech, mokry stempel (celowo trochę rozmazany na liczbie „45”) i...

- Przechodzić! Następny proszę!

* * *

Wyprawa, której początek i koniec opisałem przed chwilą, była bardzo owocna i bogata we wrażenia. Powinienem z niej zapamiętać wspaniałe ruiny oraz spotkania z Indianami, tymczasem ja pamiętam głównie stronę, że tak powiem, techniczną. Na przykład to, jak pewnej nocy - i nie zapomnę jej do końca życia - jechałem na pace terenowej ciężarówki. Obok mnie kilka innych osób, wszyscy w półśnie, bo było bardzo późno, a my

już tak jechaliśmy dobre dziesięć godzin. Droga wiodła - a jakże - wzdłuż znanej mi granicy między Gwatemalą a Meksykiem.

Posłuchajcie...

SERIA PO PIĘTACH

Jeśli spojrzycie na mapę departamentu Peten, znajdziecie tam zaznaczone tylko dwie miejscowości - niewiele jak na obszar przypominający Holandię - miasteczko Flores i leżące nieopodal, sławne na cały świat, ruiny Tikal, które trudno uważać za miejscowość z prawdziwego zdarzenia, skoro od wielu stuleci są wymarłe. Z centrum kraju prowadzi w tamte strony tylko jedna droga, długości ponad 300 kilometrów.

Chyba że ktoś ma dostęp do map sztabowych i porządnej lupy - wówczas, przesuając się prawie prosto na zachód od Tikal, może wypatrzeć drugą drogę. Na jej końcu, nad brzegiem Rio San Pedro leży wioseczka o nazwie La Florida. (Wioseczka, która sama siebie uważa za miasteczko.)

- Znaleźliście?

... ..

* * *

- Noo?.....Cóż, wcale się Wam nie dziwię.

Odszukać to miejsce w terenie jest niewiele łatwiej niż na mapie, a ja bardzo chciałem tam dotrzeć, bo w pobliżu La Florida walało się trochę interesującego gruzu, który jeszcze około tysiąca lat temu był miastem Majów. (Fotografowanie gruzu to była w tamtych latach moja specjalność.)

* * *

Jakoś dotarłem - sam byłem zdziwiony. Obfotografowałem co trzeba i chcę wracać do cywilizacji, a tu oczywiście, nie ma czym - najbliższy autobus za kilka dni. Jeśli w ogóle dojedzie, bo mogą spaść deszcze, a wówczas droga zamienia się w grząskie błocko i trzeba czekać aż obeschnie i stężeje.

Miałem jednak trochę szczęścia - załapałem się na pewną rozklekotaną ciężarówkę, która dzień wcześniej dowiozła do La Florida żywność. Potem, w ramach zapłaty, załadowała grube bale z cennego tropikalnego drewna oraz wory pełne czegoś miękkiego. Teraz zaś, ze mną i kilkoma innymi osobami, telepała się w tumanach kurzu z powrotem na południe - do miejscowości Sayaxche. Koło Sayaxche były następne ruiny i zaczynał się asfalt, ale to do-

piero nad ranem, a na razie jest noc - ciemność taka, że można ją zupełnie swobodnie kroić maczetą - i my na pace. (Kierowca był wredny - nikomu, nawet za dodatkową opłatą, nie pozwolił jechać w szoferce.)

* * *

Próbujemy zasnąć, ale nie bardzo się daje, bo strasznie telepie.

Poza tym, co chwilę trzeba wstawać i ręce do góry - !Armia! - co człowiek przyśnie, to oni wyskakują z ciemności, mrugają latarką, zatrzymują i kontrolują.

W czasie takiej kontroli trzeba trzymać obie dłonie uniesione wysoko nad głową, a w jednej dodatkowo dokumenty. W moim przypadku paszport otwarty na wizie. Jeżeli ktokolwiek opuści rączki - Armia zaczyna do niego strzelać. Bez ceregieli, za to z przyjemnością. Takie tu panują zasady. T nikogo to nie bulwersuje, w końcu w lasach Peten kryją się liczne zbrojne kupy - *guerrilla*.

No i na tym właśnie polegał problem: jak w tej gęstej ciemności kierowca ciężarówki ma rozpoznać, kto to mruga? Armia to, czy może raczej zbrojna kupa?

Z naszego punktu widzenia różnica była zasadnicza:

Armia kontrolowała ludzi po żołdacku, czyli częstowała się papierosami oraz flaszками *aguardiente*, których kierowca miał przygotowane dwa kartony i rozdawał bardzo chętnie. [Przypis: *aguardiente* - Najbardziej popularny w Ameryce Łacińskiej rodzaj wódki. Odpowiednik naszej „Czystej”. Jest mocno zaprawiona anyżkiem. Oni tam chyba uważają, że anyżek orzeźwia, tymczasem smakuje toto jak lakier do włosów i Białych częściej mdli niż orzeźwia, [przyp. tłumacza]]. (Byle tylko nie zaglądali mu do tych miękkich worów.) Po kontroli Armia puszczała wszystkich wolno, a sama przechodziła do konsumpcji.

Natomiast *guerrilla* to byli osobnicy ze stałym palącym problemem płynności finansowej - dlatego nigdy nie bawili się w ceregiele z częstowaniem - po prostu brali wszystko jak leci; czasami razem z ciężarówką. A pasażerowie? Zostawali na drodze. I mieli dużo szczęścia, jeśli byli potem w stanie podnieść się o własnych siłach, otrzepać z kurzu i ruszyć w dalszą drogę na piechotę. Większość już się nigdy nigdzie nie ruszała - leżeli tak, dopóki ich ktoś nie sprzątnął.

Znowu kontrola - ktoś z przodu mruga. Kierowca zwalnia, my wstajemy, ręce w górę i zaczynamy uprawiać dziki taniec, żeby na tych ostatnich metrach hamowania nie stracić równowagi. Zasadniczo moglibyśmy się jeszcze trzymać za burłę, przynajmniej jedną ręką, ale po co ryzykować?

I nagle kierowca daje gaz do dechy. Widać zorientował się jakoś w ostatniej chwili, że

to nie Armia i próbuje nam teraz ratować życie ucieczką. Wyrwał ostro do przodu i... Wtedy mnie wypadł z ręki paszport. Widzę jak szybuje sobie w tył, w tę gęstą ciemność. Zaraz zniknie...

...a w mojej głowie galopują myśli: Jestem w Gwatemali. Od kilku tygodni nielegalnie. Wiza już dwa razy przerabiana. Najbliższa polska ambasada 1000 kilometrów stąd - w Meksyku. Utrata paszportu to śmierć. A w najlepszym razie wiele miesięcy spędzonych w którymś z tutejszych więzień.

Jedno z nich oglądałem niedawno - z zewnątrz - i to mi w zupełności wystarczy. Za żadne skarby nie chcę iść do środkaaa...

...rzucam się więc w tył za paszportem - MUSZĘ GO ZŁAPAC!

Lecę.

Nie mam się czego chwycić - po prostu leecę.

Ciężarówka pode mną przyspiesza i nie wiadomo, czy się na nią jeszcze załapię. Może wyjedzie spode mnie i rymnę na drogę. Zresztą, kto wie, co lepsze - grunt jest dużo bardziej miękki niż te twarde bale, które wieziemy...

W tym momencie usłyszałem serię z karabinu. Potem wrzask faceta po mojej prawej stronie. W twarz sypią mi się kawałki rozprutej kulami drewnianej burty. Ciężarówka gwałtownie skręca, nie wiem czy celowo - z woli kierowcy - czy też wypada z koleiny i za chwilę się wywróci. To wszystko nieważne, ja tu mam swoje sprawy do załatwienia - ŁAPAC PASZPORT.

Złapałem!

Teraz będzie lądowanie.....aaa a

.

.

aał...

- ...ugh... - walnąłem z impetem w miękkie wory. - Noo, nie było aż tak źle... - myślę sobie.

Niestety zaraz potem dobiłem głową w coś twardego...

... ..

...

- Noo gringo... - usłyszałem z bardzo daleka. Ktoś mówił do mnie przez blaszaną rynnę.

- Dudni ci w głowie? - zapytał ten sam ktoś trochę bliżej i tym razem chyba już bez

rynny, albo z dużo krótszą.

- Wraca do siebie - stwierdził inny głos. - Dajcie mu *aguardiente*.

- Tylko nie to! ...aa!... Bardzo dziękuję! W żadnym wypadku! - mimo ostrego bólu z tyłu głowy, wstałem skutecznie otrzeźwiony samym wspomnieniem anyżówy.

Znowu byłem na ciężarówce. Jechała spokojnie, tak jak przedtem. Było tylko trochę jaśniej - dookoła zaczynał się dzień. Kolejny dzień mojego cennego życia.

- Pogniotłeś sobie *documentos* - mówi ten od rynny. - Tak żeś je mocno trzymał, żeśmy *od* razu wiedzieli, że *żyjesz*.

Żyłem. Żyliśmy wszyscy. Choć niewiele Brakowało.

Rano, po dotarciu do Sayaxche oglądaliśmy ślady po kulach na obu burtach ciężarówki, mniej więcej na wysokości naszych pięt. Przestrzelone były także drzwi szoferki od strony pasażera.

Jakie to szczęście, że kierowca był nieużyty i nie chciał wieźć nikogo obok siebie - teraz ten ktoś byłby dziurawy. [Przypis: A zgadnijcie KTO mu proponował za to miejsce pięć dolarów? [przyp. Autora]]

Tylko jednego z nas trafiła kula. Właściwie drasnęła - w piętę - i wcale nie było pewne czy kula. Równie dobrze mógł to być jakiś odprysk, lub drzazga, ale niech mu będzie, że kula. Ranę miał zawiniętą w kawał starej brudnej szmaty i czuł się wspaniale - w swojej wiosce odegra rolę bohatera wojennego. Latynosi to uwielbiają.

DO HONDURASU

Z gazety znalezionej przypadkiem (zawinięto mi w nią owoce mango, które kupiłem na targu) dowiaduję się, że amerykańscy archeolodzy, którzy kopią pod jedną z piramid w ruinach Copan, odkryli właśnie jakieś nowe tajemnicze korytarze. Sensacja! Freski, reliefy i wszystko podobno świetnie zachowane. Pełne kolory,...

Więcej nie udało mi się przeczytać, bo notatka była niewielka, farba drukarska podła, a mango wspaniale dojrzałe i puściło sok. To zaledwie jeden, no może dwa dni drogi od miejsca w którym właśnie jestem. W tej sytuacji po prostu MUSZĘ tam pojechać! Tyle, że Copan leży w Hondurasie, a ja oczywiście nie mam wizy. Mimo to pojechałem. Posłuchajcie...

Wybrałem najmniejsze przejście graniczne, jakie udało mi się znaleźć. Zagubione pośród tropikalnego lasu. Wiodła doń dziurawa, błotnista droga, która istniała bardziej na mapach niż w terenie. Międzypaństwową linię graniczną zaznaczał idący w poprzek drogi

zardzewiały łańcuch. Na jego końcach dwie wbite w ziemię żerdzie z resztkami flag narodowych Hondurasu i Gwatemali. Obok, chyląca się ku upadkowi budka z desek - „Strażnica”, jak głosił napis wymalowany krzywo, ale za to oficjalnie.

„Strażnica” była tylko jedna, choć państwa dwa. To najprawdopodobniej z oszczędności - tym przejściem mało kto przechodził i właśnie dlatego je wybrałem. Było, bo było. Władze raczej się nim nie interesowały. Może zsyłano tu wojskowych za karę? Albo przeciwnie - żeby sobie odpoczęli pośród sennego pustkowia.

Pukam w okienko. W środku zaspany żołnierzyna (też tylko jeden - Honduranin - widocznie brali dyżury na zmianę) przeciera na mój widok zdziwione oko.

- A ty gringo co, zgubiłeś się?

- Nie *señor*, jadę do Copan. Rzecz jasna tylko w przypadku, gdy łaskawy Pan zechce mnie jeszcze dzisiaj odprawić.

* * *

Małe przejścia w Ameryce Łacińskiej są często zamykane - na niedziele i święta, na noc, na sjęstę, na „zaraz wracam” itp. Nie oznacza to wcale, że kiedy są zamknięte to nie są czynne. Przeciwnie - wtedy odprawy odbywają się dużo sprawniej, bo ludzie pracują chętniej, gdy jakieś, nawet bardzo drobne, pieniądze trafiają wprost do ich kieszeni i nikt nie prosi o pokwitowanie.

* * *

Podąłem paszport.

Żołnierz popatrzył na smętnego orła bez korony, a następnie, stukając palcem w słowo „Ludowa” zapytał:

- Co to za kraj?

Był życzliwy i uśmiechnięty. U wojskowych na służbie to takie rzadkie, że choć podejrzewałem czym to się dla mnie skończy, nie potrafiłem go okłamać:

- *Polonia* - mówię tonem sugerującym, że chodzi mi o coś w rodzaju Szwajcarii.

Na to on niedbałym mchem wyciąga spod stołu grubą księgę w tekturowej oprawie. (Była to honduraska wersja Granatowej Księgi znanej mi z lotniska w Ciudad de Guatemala. Na kilku pierwszych stronach alfabetyczny spis państw świata ujęty w tabelę z rubrykami: „nazwa potoczna”, „nazwa pełna” oraz „przepisy dotyczące wizowania”.)

Wojskowy palec zaczął wolno sunąć w dół listy. Mężczyzna mamrotał pod nosem kolejne nazwy. Na szczęście nie był zbyt sprawny w czytaniu, więc choć ja miałem tę tabelę do góry nogami, dość łatwo wyprzedziłem jego palec i z pewnym niepokojem stwierdziłem,

że Polski na tej liście nie ma.

Była trochę dalej - w oddzielnej tabeli - suplemencie obwiedzionym czerwoną kreską. Dlaczego kreska jest czerwona, wyjaśniał nagłówek o treści: „*Kraje wrogie - komunistyczne i terrorystyczne*”. Na początku była Albania, a na końcu wyraźna instrukcja, żeby obywatele powyższych państw pod żadnym pozorem nie wpuszczać na terytorium Hondurasu. PS. Nawet jeżeli przedstawiają paszport dyplomatyczny.

- *Señor!!!* - przerwałem żołnierzowi gwałtownie, kiedy jego palec był dopiero między Nową Gwineą a Nową Zelandią. - Czy opłata za wjazd wynosi tak samo jak w zeszłym roku, dziesięć dolarów, płatne GOTÓWKĄ?

Mój hiszpański, przedtem nienaganny z ładnym meksykańskim zaśpiewem, teraz nabrał ciężkiego amerykańskiego akcentu, który we wszystkich językach świata kojarzy się z pieniędzmi gotowymi zmienić właściciela.

Z kieszeni wyjąłem przygotowany na tę okazję plik jednodolarówek. (Taki plik zawsze robi większe wrażenie niż pojedynczy banknot o nominale będącym sumą jednodolarówek. Poza tym plik łatwiej podzielić, jeśli trzeba).

Wolno, z dramatyczną celebrawą, odliczyłem: dziesięć... pojedynczych... zielonych... szeleszczących... banknotów. Dodałem jeszcze dwa. I ułożyłem starannie między Malezją a Mozambikiem.

Żołnierz zareagował prawidłowo: strzelił oczami na lewo i prawo w poszukiwaniu świadków. Kiedy upewnił się, że jesteśmy sami, Tekturowa Księga została zatrzaśnięta, z hukiem pochłaniając pieniądze.

- Witamy w Hondurasie, gringo.

* * *

W drodze powrotnej z Copan, powinienem był z wypiekami na twarzy wspominać fantastyczne ruiny i świeżo odkopane malowidła, które poza mną widziało jeszcze może z pięć, najwyżej dziesięć osób. (Osób żyjących współcześnie - bo kiedyś, wieki temu, oglądali je przecież Majowie). Tymczasem ja, z zimnym dreszczem na plecach, zamartwiałem się pewną przyziemną kwestią techniczną: czy aby na pewno zostanę wpuszczony z powrotem do Gwatemali?

Wizę miałem przecież jednowjazdową i już „napoczętą”. Ponadto była to wiza w znacznym stopniu naciągana, a ujmując sprawę matematycznie, owo naciągnięcie wynosiło aż osiemset procent wartości początkowej.

Szczęśliwie, na takich leśnych przejściach granicznych bardzo mało się dzieje i każdy

przechodzień stanowi przyjemne urozmaicenie.

Zostałem więc powitany jak stary dobry znajomy. Było klepanie po plecach, zimne przekąski (mocno uwędzone „*coś*” - za skarby nie chcieli zdradzić co, żeby im przypadkiem gringo z obrzydzenia nie zemdlał) a do tego miła pogawędka.

Rozciągałem ją maksymalnie, zabawiając żołnierzy najlepiej jak umiałem. Kiedy nadeszła pora rozstania nikt już nie myślał o kontroli paszportowej. A skoro, ani z okazji dzisiejszego powrotu, ani wcześniej - przy wyjeździe do Hondurasu - nie wbito mi żadnego stempelka, więc z formalnego punktu widzenia nigdy nie opuściłem terytorium Gwatemali. Ergo: moja 45 - dniowa wiza była nadal ważna!

Tym razem się udało, ale co by było gdyby mi odmówiono wjazdu?

Postuchajcie...

NA ZIEMI NICZYJEJ

Coś takiego przytrafiło mi się kiedyś, w drodze z Gwatemali do Mexico City. Tę trasę pokonuje się zazwyczaj Autostradą Panamerykańską. Ja postanowiłem zboczyć z utartego szlaku i zahaczyć o południowe terytoria Lacandonów. Zamiast więc jechać, jak wszyscy, *Panamericana*, wybrałem mało uczęszczaną drogę przez posterunek kontroli granicznej w La Mesilla.

* * *

Gwatemalski żołnierz przystawił mi w paszporcie pieczęć z napisem SALIDA - WYJAZD. To definitywnie zamknęło mój trzeci pobyt w tym kraju. Ruszyłem w stronę Meksyku. Na piechotę.

Miałem do przejścia szeroki pas ziemi niczyjej. Na jego powierzchni pozwalano rosnąć tylko niskiej trawie - resztę starannie karczowano, tak jak się to robi pod trakcjami wysokiego napięcia. Pas ciągnął się na lewo i prawo za horyzont - długa wstęga niskiej trawy biegnąca przez środek gęstej puszczy. Każdego dnia setki kontraktowych *macheteros* przycinały tę trawę za pomocą rnczet. Dzień i *noc* tę graniczną aleję przemierzały konne i piesze patrole uzbrojone w lornetki, latarki i amerykańskie karabiny M - 16.

Nie oznacza to wcale, że nie można się było przemknąć - robiły to nagminnie grupy zawodowych *przemytników* - *contrabandistas*, partyzanci, Indianie, dla których granice państwowe nie istnieją, oraz zwykłe chłopstwo, któremu bliżej było przejść na skuśkę niż nakładać drogi do oficjalnego przejścia granicznego.

Robiłem to także ja, kiedy jeszcze nie miałem gwatemalskiej wizen. Teraz jednak

szedłem sobie rozluźniony, w biały dzień, bez ryzyka, bez nerwowego rozglądania się na boki. W ten sposób dotarłem do meksykańskiego posterunku.

Po obejrzeniu mego paszportu kapitan pograniczników zapytał dlaczego próbuję przekroczyć granicę w takim niebezpiecznym miejscu?

Wyjaśniłem, że właśnie na tym polega moja wyprawa - podróżuję bocznymi drogami, fotografuję ruiny zagubione w dżungli, Indian żyjących po staremu itd.

Kapitan na to, że mnie do Meksyku nie wpuści, bo mu się wydaję podejrzany. Potem wyjął odpowiedni stempel i gwałtownym uderzeniem ANULOWAŁ wizę w moim paszporcie.

- Była wielowjazdowa i ważna jeszcze przez rok!

- Masz rację, gringo, BYŁA.

- I co ja mam teraz robić?!

- Nie wiem, ale tu już na pewno nie masz czego szukać. Zawracaj do Gwatemali.

Zawróciłem.

Ale tam też mnie nie chcieli wpuścić, bo nie miałem już przecież wizy - poprzednią unieważnił ostatecznie i definitywnie stempel „SALIDA”.

W ten sposób utknąłem na ziemi niczyjej.

* * *

Z formalnego punktu widzenia byłem... nigdzie. Albo jak kto woli nigdzie mnie nie było. No bo z Polski wyjechałem już dość dawno temu i miałem na to odpowiednie stemple w paszporcie. Potem przyjechałem do Gwatemali (przez Kubę i Meksyk), ale opuściłem już jej terytorium i nie pojawiłem się w żadnym innym państwie.

W podobnej sytuacji znajduje się wiele tysięcy osób na całym świecie, tylko., że wszystkie one właśnie dokądś lecą samolotem, albo płyną statkiem - słowem opuściły jeden kraj i zmierzają do celu podróży w innym - a ja nigdzie nie zmierzałem, tylko tkwiłem w miejscu.

Prawie dwadzieścia godzin koczowałem zawieszony w międzypaństwowej próżni - bez jedzenia i picia³ bez możliwości ruchu, bez sensu...

W końcu Gwatemalczyki okazali odrobinę zdrowego rozsądku i zdecydowali, że mogę jednak wrócić do stolicy ich kraju, aby tam interweniować w ambasadzie Meksyku, albo kupić sobie bilet lotniczy wprost do Polski.

* * *

Dzień później w dyplomatycznej dzielnicy Ciudad de Guatemala zmęczony i brudny

pozowałem do zdjęć o przepisowym formacie 3/5, wypełniałem sążniste formularze i próbowałem na nikogo nie nawrzeszczyć; co w mojej sytuacji nie było łatwe. [Przypis: Czy był pan/pani karany(a)? Nie byłem. Za co? Nie byłem.

Jak duży wyrok pan/pani dostał(a)? Nie byłem karany! Ile lat pan/pani odsiedział(a)? Nie! Byłem! Karany! Czy jest pan/pani na warunkowym zwolnieniu?

[- - - - -]!].

Meksykański konsul zupełnie nie rozumiał dlaczego nie uznano mojej wizy.

- Może *el capitan* miał zły dzień, albo dopraszał się łapówki? W ciągu kilku minut wstemplowano mi nową wizę z którą potem bez najmniejszego problemu przekroczyłem granicę. Tyle że innym przejściem. Tym razem pojechałem prosto - *Panamericana*.

DO MEKSYKU

Szeroka droga i ogromny betonowy most na rzece granicznej - Rio Suchiate. Środek nocy i leje tropikalny deszcz, więc żołnierzom nawet nie chciało się wyjść z budki strażniczej. (Przepraszam, tym razem, to nie była budka, lecz pałac, o architekturze przypominającej bunkry z czasów II wojny światowej.) Rzucili tylko okiem na autobus pełen ludzi uśpionych pod nasuniętymi na twarze kapeluszami, potem machnęli ręką przez szybę i - dalej w drogę.

Nikt nie był mi łaskaw powiedzieć, że jako cudzoziemiec z Europy MUSZĘ uzyskać stempelek wjazdowy, bo w przeciwnym razie moja nowa wiza nie będzie ważna.

Dowiedziałem się o tym wiele kilometrów dalej, na pierwszym punkcie kontroli drogowej. Szukano wprawdzie broni i narkotyków, ale z jakiegoś tajemniczego powodu poszukiwania odbywały się nie w bagażach pasażerów tylko w ich dokumentach.

Podaję paszport. Na twarzy i w sercu pełen spokój - teraz już absolutnie nic mi nie grozi - jestem przecież, bardzo legalnie, w zaprzyjaźnionym kraju, w którym bywałem wcześniej wielokrotnie, wizę mam świeżusienką...

- Ta wiza jest nieważna - mówi żołnierz nad moją głową.

- Rozumiesz po hiszpańsku, gringo?

- *Si* - zatkało mnie do tego stopnia, że na nic więcej nie umiałem się zdobyć.

- To dobrze. Znajomość hiszpańskiego bardzo ci się przyda, kiedy będziesz mojemu kapitanowi tłumaczył, dlaczego nie ujawniłeś się władzom na granicy i nie poprosiłeś o potwierdzenie wjazdu.

- Spałem! Już jesteśmy za granicą!?! O rany! Niemożliwe! - próbowałem w sposób desperacki ratować sytuację.

- Nie próbuj teraz ratować sytuacji, gringo. Obaj wiemy, że tej granicy nie da się przespać.

- Wszyscy inni spali! Ups... To znaczy wszyscyśmy spali, jak niewinni...

- Ty, gringo, n a p e w n o nie spałeś, bo nie masz kapelusza.

- E ?

Zadałem to krótkie pytanie, ponieważ nagle mnie zainteresowało, po co komu kapelusz do spania.

- Pamiętasz jakie tam są światła, gringo?

- Pamiętam. Takie przeraźliwie oślepiające, chyba łukowe. Czy to przypadkiem nie były lefle...

- Były! Owszem. Na pewno masz na myśli **reflektory** przeciwlotnicze, a jeśli tak, to masz słuszość. I nie wmówisz mi, że ktokolwiek śpiący bez kapelusza na twarzy się od nich nie obudzi.

- Ma pan rację, *señor*. Te światła są ogłuszające - poddałem się. Nie miało sensu iść w zaparte. Dużo lepszą taktyką było poddać się i przekazać inicjatywę w jego ręce. Latynosi uwielbiają udowodniać innym, że mają władzę. A każda władza ma dwa końce - jeden ostry, ale drugi łagodny. Na ostro mógł mi bardzo szybko udowodnić, kto tu rządzi. Wołałem więc, żeby to zrobił inaczej - żeby mi udowodnił ile on tu m o ż e, a nie co ja muszę.

- No i co ja mam teraz z tobą zrobić, gringo? - westchnął ciężko.

- Eee? - starałem się w usłużny sposób podtrzymywać wątek.

- Muszę cię odesłać pod eskortą z powrotem na granicę. A tam, albo ci po prostu ostemplują paszport, albo, niestety, co jest o wiele bardziej prawdopodobne, anulują tę wizę i odesłają cię do Gwatemali.

W tym momencie zza jego pleców wysunęła się i pomachała w moim kierunku wielka, kosmata łapa.

O, panika! Znów tu jest. Jeżeli mnie dopadnie - wtedy koniec.

Wstałem gwałtownie. Pozbierałem się w sobie, na tyle na ile mogłem, i ruszyłem na wprost - to wszystko w przenośni, bo w świecie realnym jęknąłem tylko:

- Eee.

- Chciałeś coś powiedzieć, gringo? - jego uniesiona znacząco brew wskazywała wyraźnie, że chciałem.

Tylko co? Co konkretnie chciałem mu powiedzieć?

- Co... mógłbym... ewentualnie... zrobić... - mówiłem wolno studiując jego twarz w poszukiwaniu dalszych wskazówek.

Druga brew dołączyła do tej uniesionej. To sygnał, że jestem na dobrej drodze.

- Na pewno jest jakaś forma - położyłem na tym słowie znaczący nacisk - jakaś inna forma, załatwienia tej sprawy. Pan na pewno m o ż e, jeżeli oczywiście zechce, załatwić to jakoś inaczej. E?

- No cóż - powiedział robiąc z buzi dzióbek, a jego brwi zeszyły się ku sobie udając głęboki namysł - mógłbym ewentualnie przymknąć oko na tę drobną nieformalność. Oczywiście pod warunkiem, że w najbliższej miejscowości, jutro, zaraz z samego rana, zgłosisz się na policję i poprosisz o zarejestrowanie twojego wjazdu, gringo. Oni to mogą zrobić. Jest tylko jeden szkopuł...

- E? - teraz kolaborowałem już na całego, a gdybym miał ogon to bym jeszcze merdał.

- Nasz *capitan* n i g d y nie przymyka oczu na takie rzeczy. To formalista.

- I?

- I uważa, że skoro na granicy pobierają opłatę wjazdową w wysokości dziesięciu dolarów, to nie można pozwolić na to, żeby turyści wjeżdżali sobie ot tak, za darmo. To byłoby wysoce nieetyczne.

- Jasne! Oczywiście. Ale wy, chłopaki, na pewno macie jakieś swoje kontakty i gdybym ja tu i teraz uiścił dziesięć dolarów gotówką, to moglibyście, w drodze absolutnego wyjątku, w moim imieniu posłać tę forszę gdzie trzeba, prawda? - trąkotałem mu wprost do ucha, tak żeby nikt inny nie usłyszał.

- E? - to pytanie znaczyło chyba, że się w tym wszystkim trochę zgubił.

- Masz - powiedziałem wciskając mu do łapy „banknot dla złodzieja”, który zawsze trzymam pod ręką.

- *Gracias señor* - rzucił na odchodnym i jeszcze odruchowo stuknął obcasami.

Zaraz potem wydał swoim ludziom krótką komendę, a oni w kilka sekund wyskoczyli z autobusu. Widziałem potem przez szybę, jak mi macha na pożegnanie.

[Przypis: Pewien znany językoznawca zastanawiał się onegdaj, jak wygląda najkrótsze zdanie możliwe do ułożenia w języku polskim. Drugi, równie znany językoznawca, odpowiedział mu, że takie zdanie składałoby się z pojedynczej litery. Poparł tę opinię następującym przykładem: - Czy życzy pan sobie lody z bakaliami, czy bez? - pyta sprzedawca. - Z - odpowiada klient.

Przed chwilą rekord został pobity. Nasz Autor ułożył zdanie odrobinę krótsze. Litera „I” zajmuje przecież zdecydowanie mniej miejsca niż „Z”, [przyp. tłumacza]

* No tak, ale znak zapytania kończący zdanie Autora jest szerszy niż kropka kończąca moje. Proponuję remis. [przyp. drugiego językoznawcy]]

MORAŁ:

Obok niego w strugach deszczu stała, wielka kosmata panika. Wyglądała smętnie - cała mokra i trzęsąca się od nocnego chłodu. Patrzyłem na nią teraz z zupełnie innej perspektywy i wiecie co - uświadomiłem sobie, że ona nie jest już taka groźna jak kiedyś. Miała wyraźną nadwagę, jakieś pięćdziesiąt funtów więcej niż dopuszcza moda, a przede wszystkim zamiast działać z zaskoczenia, zaczęła popadać w rutynę. Wiedziałem, że w tym stanie nieprędko mnie dogoni.

DRUGI RAZ HONDURAS

Mniej więcej rok później znowu jechałem do Hondurasu. Tym razem uzbrojony w legalną wizę! Dali mi ją bez większych ceregieli w San Francisco. Widocznie z perspektywy zachodniego wybrzeża USA, Polska nie była wrogim państwem komunistycznym ani terrorystycznym, tylko jednym z krajów europejskich.

Najpierw poleciałem na miesiąc do Kostaryki, potem drogą lądową sunąłem wolno na północ. Do Hondurasu dotarłem więc od strony Nikaragui. To ważne, bo granica, którą zamierzałem przekroczyć, była w tamtych czasach praktycznie zamknięta z powodu *Contras* - partyzantów walczących o wyzwolenie Nikaragui spod władzy lewicowej dyktatury Daniela Ortegi.

Contrasi mieli bazy treningowe w Hondurasie. Ich broń i szkolenie finansowała administracja prezydenta Ronalda Reagana za pośrednictwem CIA. (Głośna afera Iran - *Contras*.) Władzom Nikaragui się to oczywiście nie podobało i oba kraje pozostawały w stanie nie wypowiedzianej wojny. Ale co mi tam, przecież miałem solidną wizę.

Posłuchajcie...

Kapitan honduraskiej Straży Granicznej prześwidrował mnie wzrokiem na wylot. Potem przeczytał od deski do deski mój paszport i w końcu stwierdził:

— Tym gryzipiórkom w San Francisco coś się musiało baaardzo pomylić, skoro dali wizę komuchowi. Zawracaj, gringo, my tu takich nie wpuszczamy.

Chwila wahania - co robić? - ale zaraz potem pokazuję mu moją wizę do USA (wielokrotna, ważna 10 lat) i pytam:

- Czy wasi sojusznicy z USA daliby TAKĄ wizę komuchowi? Była era Reagana - ostry konflikt z Ruskimi, gadki - szmatki o Imperium Zła - więc poskutkowało. Noo... w pewnym sensie.

...Zostałem aresztowany.

Zarzut: nielegalne wtargnięcie na teren suwerennej Republiki Hondurasu.

Zaraz potem wszczęto procedurę deportacyjną - wyznaczono konwojenta, który miał mnie pod strażą odstawić do granicy.

Wszystko na mój koszt.

Ponieważ jednak kapitan był człowiekiem bystrym i na swój sposób miłym, granica wskazana przez niego w papierach konwojowych nie znajdowała się tuż za moimi plecami, lecz po drugiej stronie kraju. „Deportacja do Salwadoru” - tak brzmiał rozkaz.

- Może być? - *capitan* uśmiechnął się porozumiewawczo.

Odpowiedziałem tym samym - było mi wszystko jedno, czy jadę jako turysta, czy jako przestępca, ważne, że przez Honduras! Zaraz potem wyraziłem mu swoją wdzięczność. (Była zwinięta w dyskretny rulonik).

POD KONWOJEM

Ja i mój konwojent ruszyliśmy w drogę. Ani jemu, ani mnie się nie śpieszyło. Dla każdego z nas podróż stanowiła miłą rozrywkę. Poza tym łaskawy los (hiszp. *los dolares*) sprawił, że kapitan „zapomniał” wpisać do dokumentów konwojowych trasę i dopuszczalny czas podróży.

Rozważając tę kwestię, doszliśmy do zgodnego wniosku, że skoro ja płacę za żarcie, noclegi i transport, to sprawiedliwie będzie, jeśli samodzielnie ustalę marszrutę. Mój strażnik prosił tylko, żebyśmy po drodze zahaczyli o jego rodzinną wioskę - od półtora roku nie był w domu.

* * *

To była nadspodziewanie miła podróż. Tym bardziej że konwojent cały czas nosił za mnie plecak. Taki miał rozkaz - mój sprzęt fotograficzny, jako tymczasowo zarekwirowany, musiał przebywać pod stałą kontrolą władz. Został więc zdeponowany na barkach ich przedstawiciela.

Aby mu trochę ulżyć zaproponowałem, że w zamian poniosę jego karabin, pas z nabojami, wojskową maczetę, hełm i dwa granaty. No i w rezultacie on szedł przodem, zgarbiony pod moim plecakiem, ja zaś dwa kroki z tyłu z naładowanym M - 16 przerzuconym przez ramię. W ten sposób dotarliśmy do jego wioski.

Powitały nas dwie starsze kobiety, bardzo przestraszone.

- *Señor capitan* - zapytała wreszcie jedna z nich - co zrobił ten więzień?

Zwracała się wyraźnie do mnie, a mówiąc „więzień” wskazała głową na mojego konwojenta. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, jak my właściwie wyglądamy - on siedł przodem, zgięty pod moim bagażem, a ja z tyłu z bronią gotową do strzału. On w pełnym mundurze, ja po cywilnemu. To znaczyło, że jestem *capitan* żandarmerii wojskowej i eskortuję więźnia.

Spędziliśmy w tej wiosce tylko jeden dzień, ale było bardzo wesoło. Opowieść o tym, jak to więzień konwojował konwojenta obiegła okoliczne chałupy lotem błyskawicy i teraz do domostwa żołnierza schodzili się stopniowo wszyscy sąsiedzi, by nas sobie obejrzeć. Wieczorem zrobiło się z tego huczne przyjęcie. Każdy przyniósł coś do jedzenia lub picia i dzielił się z innymi. Rozpaliliśmy spore ognisko, rozsiedliśmy się dookoła i świętowaliśmy „Powrót taty”.

Mój konwojent miał młodą żonę i dziecko, których nie widział od bardzo dawna. Był szczęśliwy, bez najmniejszych zastrzeżeń, choć przecież przed nim jeszcze wiele miesięcy służby i żadnych widoków na przepustki do domu. Ja w jego sytuacji pewnie martwiłbym się, że jutro rano będę musiał odjechać. On jednak cieszył się chwilą bieżącą - tak, jak to potrafią robić tylko Latynosi. Jutro, złe czy dobre, będzie dopiero jutro - *mañana* - po cóż więc teraz mielibyśmy sobie jutrem zaprzątać głowy. Nie warto psuć dnia dzisiejszego! Na smutki będzie jeszcze czas *mañana*.

* * *

Następnego dnia po południu dotarliśmy do granicy.

- Co teraz? - zapytałem. - Będą mnie jakoś oficjalnie wydalać?

- Nie. Po prostu ja tu zostaję, a ty gringo, idziesz sobie dalej. Od tej chwili nie jesteś już aresztowany... i nigdy nie byłeś! - w tym momencie z szelmowskim uśmiechem podał papiery konwojowe. - Tak samo jak nigdy nie byłeś w Hondurasie. Rozumiemy się? *Capitan* bardzo o to prosił.

- Jasne jak słońce. NIGDY NIE BYŁEM W HONDURASIE. Obiecuję. Tylko jak w takim razie wytłumaczyć fakt, że dotarłem aż tutaj? Z Nikaragui inaczej się nie da, jak tylko przez Honduras.

- Gdyby cię ktoś o to pytał, zacznij coś mówić po polsku. Cokolwiek. Wizę do Salwadoru masz w porządku, więc nasi cię po prostu wypchną dalej.

I rzeczywiście - wypchnęli.

DO SALWADORU

W Salwadorze byłem tylko ten jeden raz.

Raz a dobrze. Kraj mały, pobyt krótki, ale intensywny. Mieli tam wtedy wojnę domową. Z resztą w tej czy innej formie mają ją do dzisiaj. I z powodu tej wojny czułem się bardzo bezpiecznie. Nigdzie i nigdy w całej Ameryce Łacińskiej nie czułem się tak bezpiecznie jak w czasie wojny w Salwadorze. To może brzmi szokująco, ale jest prawdą.

Na każdym najmniejszym nawet skrzyżowaniu wojsko pod bronią. Liczne patrole na wszystkich ulicach. W każdym przydrożnym rowie zrobiony okop i ustawiona broń maszynowa. W tych warunkach złodzieje, rzezimieszki ani żaden inny rodzaj bandytów nie miał możliwości działania.

Po najgorszej dzielnicy miasta można było maszerować wymachując garścią banknotów i nikt człowieka palcem nie tknął - tyle wszędzie było wojska. W każdym autobusie miejscowego PKS - u trzech żołnierzy pod bronią. Czasami jeszcze dwóch na dachu. Na każdym bazarze obok wozów zaprzęzonych w woły i osły także wozy pancerne. Tak uzbrojonego kraju nie widziałem na żadnym filmie wojennym.

Czy miało to jakieś wady? Z mojego punktu widzenia nie, ale wyobrażam sobie, że mieszkańcy Salwadoru mogli mieć w tej sprawie odmienne zdanie.

Ponieważ byłem rzadkością (biali turyści nie przyjeżdżają na wakacje do krajów, gdzie trwa wojna), traktowano mnie jak dawno nie widzianego gościa. Miłego gościa! Nikt nie sprawdzał dokumentów - tak samo, jak w Belize, wystarczała tu moja biała twarz. Wojskowi i policjanci starali się być usłużni - w zatłoczonych autobusach załatwiali mi miejsce obok kierowcy, wskazywali drogę do niedrogich, ale godziwych hoteli itp. Byłem zachwycony. To znaczy do wieczora, bo wieczorem rządy w kraju przejmowała *guerrilla*.

* * *

Po zmroku drzwi i okna godziwych hoteli barykadowano zakładając na nie grube drewniane okiennice i zasuwając żelazne sztaby. Na parapetach od wewnątrz kładziono worki z piaskiem, aby w przypadku strzelaniny zbłąkana kula nie trafiła komuś do łóżka. Miasta i wioski zamierały kompletnie, może z wyjątkiem stolicy kraju. Władzę do świtu przejmował FMLN - Front Wyzwolenia Narodowego im. Farabundo Marti (czyli inaczej Fidel Castro sp. z o.o.).

Ponieważ byłem rzadkością (biali turyści nie przyjeżdżają na wakacje do krajów, gdzie trwa wojna), traktowano mnie jak dawno nie widzianą okazję do porwania. Nikt nie

sprawdzał dokumentów - wystarczała blada twarz. *Guerrilla* była przekonana, że każdy Biały nadaje się do tego, by go porwać, a potem żądać okupu. Ci ludzie nie mieli pojęcia o tym, że najbliższa polska ambasada, do której mogliby się ewentualnie zwrócić w tej sprawie, leżała o tysiąc kilometrów stąd - w Kostaryce. A żeby się tam dostać, trzeba by po drodze minąć jeszcze dwa kraje, z których każdy miał z Salvadorem na pieńku. Nie wiedzieli też, że państwo polskie wyśmiałoby ich, gdyby mimo wszystko próbowali żądać za mnie jakichś pieniędzy.

W tej sytuacji było jasne, że jeżeli mnie porwą, to nikt się sprawą nie zainteresuje, a *guerrilla* po pewnym czasie uzna, że trzeba mnie zastrzelić.

* * *

Granicę przekroczyłem późnym popołudniem.

Z Hondurasu zostałem wypchnięty (dość mocno, w plecy, z wyraźnym zamiarem kopnięcia poniżej). Stało się to po tym, jak tamtejszy żołnierz przez dwadzieścia minut dopytywał się po hiszpańsku, dlaczego w moim paszporcie brak stempli wjazdowych, a ja mu odpowiadałem, po polsku, że tych stempli brak, ponieważ nigdy oficjalnie nie byłem w Hondurasie i teraz też mnie tu właściwie nie ma.

Ubaw miałem niezły, bo ja jego rozumiałem świetnie, a on na dźwięk języka polskiego najpierw robił zaskoczone miny, potem zaczynał się pocić, a w końcu trzęsły mu się ręce i nerwowo drżała górna warga.

Był gdzieś na styku furii i palpacji.

- Nikaragua - mówiłem po polsku.

- *Nicaragua*. Już słyszałem, że *Nicaragua* i widzę w paszporcie - odwrzasnął po hiszpańsku. - Stamtąd wyjechałeś, a teraz jesteś tutaj. Jakim sposobem, gringo?

- Salvador - odpowiedziałem z uśmiechem Giocondy. Równie dobrze mogłem powiedzieć „pomidor”, bo w gruncie rzeczy graliśmy właśnie w tę grę.

- *El Salvador*. Wiem! Jest parę metrów stąd...

- Pedro - zawołał ktoś z boku. - Daj mu spokój. Wyślij go w diabły do Salvadoru i niech oni się martwią co dalej. Tylko nic mu nie stempluj do paszportu, żeby go nie próbowali odesłać z powrotem do nas.

Wkrótce potem zostałem znacząco pchnięty w plecy. (I aż go but swędział, żeby na dokładkę kopnąć poniżej.) Dwa duże kroki i byłem za granicą.

HORROR

Kiedy dotarłem do posterunku w El Amatillo, właśnie zapadał zmrok. Zdążyłem w ostatniej chwili przed zamknięciem. Całe szczęście - w przeciwnym razie musiałbym czekać do rana, a nie bardzo było gdzie.

Amatillo to nie jest miejscowość, lecz wyłącznie strażnica. Dobrze obwarowana i na noc szczelnie zamykana. W jej sąsiedztwie tłoczy się kilkadziesiąt drewnianych budek. W ciągu dnia pootwierane, stanowią coś w rodzaju strefy wolnocłowej. Można tam kupić dosłownie wszystko, wymienić dowolnie wybraną walutę środkowoamerykańską na każdą inną, no i zjeść. Na noc cywile zwijają interes i wynoszą się do odległego o trzydzieści minut jazdy autobusem miasteczka Santa Rosa de Lima.

Powitalne uderzenie salwadorskiej pieczęci wjazdowej o mój paszport zginęło w ogólnym huku zasuwanym na noc drewnianych okiennic, żelaznych sztab przytrzymujących te okiennice od środka, zatraskiwanych w popłochu drzwi samochodów. Zapadał zmrok, więc wszyscy odjeżdżali. Nadchodziła godzina *guerrilli*.

- Zjeżdżaj stąd, gringo, do Santa Rosa, i to szybko - powiedział żołnierz oddając mi paszport. - Tu jest naprawdę niebezpiecznie. Pełno bandytów. Oni wiedzą, że niewiele im możemy zrobić. Wystarczy, że przeskoczą za granicę i już nam nie wolno strzelać. Weź taksówkę, bo ostatni autobus odjechał godzinę temu.

Był życzliwy i wyraźnie zaniepokojony moim losem. Ale jednak nie zaproponował bym przeczekał do rana w budynku wojskowym. Zresztą, kto wie czy to byłoby miejsce bezpieczne?

W zapadających (wyjątkowo szybko) ciemnościach ruszyłem w kierunku, który mi wskazał.

Po przeciwnej stronie drogi stały zaparkowane jeden za drugim trzy samochody osobowe. Pierwszy miał zdjęte wszystkie koła. Kilku mężczyzn właśnie starało się upchnąć je we wnętrzu drugiego auta. Mocowali się i stękali przy tym strasznie, bo sami też chcieli jakoś wleźć do środka. Z urywków ich rozmowy wynikało, że pierwszy samochód się zepsuł i właściciel postanowił zabrać koła na noc do domu, żeby się w ten sposób zabezpieczyć przed kradzieżą pojazdu.

W końcu upchnęli się jakoś - cztery koła i czterech chłopca - i odjechali z piskiem opon. Na drodze zostałem ja i ten trzeci - ostatni samochód. Na jego dachu siedział jogan.

Zrobiło się już ciemno, więc nie widziałem dokładnie, ale byłem pewien, że ten człowiek, nie siedzi normalnie tylko jest zaplątany w podwójny kwiat lotosu. A może nawet

w potrójny, choć to niemożliwe, bo musiałby mieć trzy nogi. I jeszcze robi coś dziwnego z rękami. Pewnie mantruje...

- Taxi gringo - ni to zapytał ni oświadczył w moim kierunku. Głos, a właściwie głosik, miał przeraźliwie piskliwy i dziwnie trzeszczący. Pomyślałem, że mógłby z powodzeniem grać czarownicy w radiowych horrorach.

- Tak. Potrzebuję szybko do Santa Rosa.

- Stąd nigdzie indziej nie można - zapiszczał jogin. - Szybko zresztą też nie można, bo straszne dziury w drodze. Ale proszę, możemy jechać.

- Za ile?

- Co łaska. - Jak to?

- I tak jadę w tamtą stronę, bo przecież nie będę nocował TUTAJ. Zabiorę cię, a kiedy dojedziemy, sam mi powiesz ile to dla ciebie było warte.

- Czemu tak?

- Jadąc po ciemku przez ten las obaj ryzykujemy życie. Zostając tutaj ryzykujemy jeszcze bardziej.

- To czemu pan nie odjechał wcześniej?

- Widziałem jak się odprawiasz, gringo, i nie mogłem cię zostawić bez transportu. Ja tu jestem ostatni, a u nas taki obyczaj, że ostatnia taksówka czeka na ostatniego pasażera. Nie zostawia się ludzi na drodze do Santa Rosa. Tak samo jak nie wsadza się głowy do młockarni.

- Ale czemu pan nie chce powiedzieć ile będzie kosztował kurs?

- Co mi po twoich pieniądzach teraz? Jak nas napadną albo zastrzelą to i tak wszystkie wyciągną, obojętnie czy z mojej, czy z twojej kieszeni. Ale ja wtedy przynajmniej będę miał zasługę w niebie, że cię wiozłem za darmo.

Dziwna to była logika i dziwny facet. No i czemu siedział na dachu swego auta?

- Nie wszystko trzeba wiedzieć, gringo - powiedział ni stąd ni zowąd, tak jakby usłyszał moje myśli. - Włóż plecak do bagażnika i jedziemy.

Kiedy byłem z tyłu samochodu, kątem oka spostrzegłem, jak zsuwa się z dachu i małpimi ruchami, przez okno, wciąga do wnętrza pojazdu. Nie zszedł na ziemię tylko jak orangutan wpadł wprost z dachu przez okno. Dziwny facet.

Ruszył jak rajdowiec. Żwir spod kół bryznął w powietrze, pisk opon, wycie silnika, chwilę buksowaliśmy w miejscu, a potem wyrwaliśmy z kopyta i popędziliśmy w ciemność z prędkością... najwyżej 25 kilometrów na godzinę.

Mimo to jechaliśmy zdecydowanie zbyt szybko. Nie lubię rajdowców i brawury, a on stanowczo przekraczał granice wyznaczone przez oba te słowa. On je mnożył do potęgi

zapierającej dech w piersiach.

Droga, po której jechaliśmy, nie nadawała się do tego. To znaczy do jazdy. Jakiegokolwiek jazdy, nie tylko rajdowej. Powiedzenie o niej „same dziury” byłoby komplementem. Tutaj dziur było więcej niż powierzchni drogi. Dziury w dziurach były na porządku dziennym. I on je wszystkie jakoś omijał, ...aał... ale zawsze kosztem tego, że jednocześnie wpadał w inne.

- Złap się czegoś, gringo, bo sobie rozbijesz głowę - krzyknął j - gin w kompletnej ciemności.

- Zapomniał pan zapalić światła - odkrzyknąłem, zastanawiając się jak on właściwie widzi cokolwiek przed nami.

- Nie zapomniałem. Ty zapomniałeś, gringo.

- Ze co?

- Weź latarkę i świeć. Jest pod twoim siedzeniem. Wymacałem duży plastikowy przedmiot z rączką, wyciągnąłem, potem odszukałem na nim włącznik i stała się jasność.

- Świeć na drogę, a nie na mnie!

- Przepraszani.

- A teraz wrzuć dwójkę, bo ja nie mam czym. Skonsternowany tym oświadczeniem znowu poświeciłem na niego i poczułem, jak ogarnia mnie przerażenie.

POŁOWY TEGO FACETA NIE BYŁO.

Jakaś choroba, a właściwie chyba cała ich seria uczyniła z tego człowieka przerażające monstrum. Jego prawa ręka była kawałkiem kikuta sterczącego z barku. Lewa dziwnie wykręcona i „uschnięta”. (Nie mam na to innego określenia poza tym potocznym.) Sylwetka z wyraźnymi objawami choroby Heine - Medina...

- TERAZ! Zmieniaj bieg, gringo - przywołał mnie do rzeczywistości.

Zmieniłem.

Przy okazji bezwiednie rzuciłem mu kolejne spojrzenie. Lewa ręka - ta, którą trzymał kierownicę - zamiast palców miała coś w rodzaju wydłużonego szpona, którym zahaczał za poprzeczki kierownicy i w ten sposób skręcał. Jego nogi...

Nie chciałem dalej patrzeć. Odwróciłem wzrok i w tym momencie kątem oka spostrzegłem, że na tylnym siedzeniu leży rozwalona wygodnie wielka kosmata panika. Rozparta, uśmiechnięta szyderczo, demonstracyjnie oglądała sobie paznokcie. Gwizdała przy tym przez szparę w przednich zębach. Od naszego ostatniego spotkania przytyła jeszcze bardziej, ale jakoś tym razem nie wydało mi się to śmieszne. Wcale. Gdyby na mnie teraz skoczyła, z całą tą swoją tuszą...

- ZMIENIAJ! - wrzasnął jogin - redukcja na jedynekę...

* * *

Wspomnienie tamtego kierowcy stało mi przed oczami przez wiele lat. Nie potrafiłem zrozumieć dlaczego on zamiast siedzieć w domu, czy w szpitalu, jeździł taksówką? W jego stanie???

Dzisiaj już wiem dlaczego.

Posłuchajcie...

GDZIEŚ W DŻUNGLI

Jechałem dwa dni błotnistą drogą. Dla kilku tysięcy mieszkańców odległych wiosek to była jedyna droga łącząca ich ze światem... hm, nazwijmy go cywilizowanym. Musieli nią jeździć, mimo trudów i błota, bo innej drogi nie było. Ta, jedyna, powstała dzięki poszerzeniu ścieżki, którą dawniej Indianie chodzili pieszo. Teraz tym szlakiem kursują samochody terenowe oraz ciężarówki z demobilu.

Po każdym deszczu wiele odcinków drogi staje się nieprzejezdnych - maziste błoto, głębokie koleiny, a do tego bajora stojącej wody.

W takich miejscach pojawiają się zawsze ludzie z łopatami. Nie wzywani przez nikogo przychodzą z okolicznych domostw i godzinami wyrównują koleiny, odprowadzają wodę, a każdy kolejny pojazd niweczy ich robotę. Nie jest to jednak praca syzyfowa. Kierowcy chętnie płacą po kilka groszy za to, że nie grzęzną w błocie. Albo za to, że kiedy już ugrzęźli, ktoś ich sprawnie wyciąga.

Biedni, bezrobotni ludzie mieszkający wzdłuż tej drogi, po każdym deszczu biorą łopaty i sami sobie organizują roboty publiczne.

Dlaczego?

Słuchajcie dalej...

GDZIEŚ W GÓRACH

Porwały mi się sandały.

Naprawił mi je przydrożny szewc. Zrobił to tanio, szybko (na oczekaniu) i wyjątkowo sprawnie, chociaż nawet nie miał warsztatu tylko skrzynkę z narzędziami i dwa krzeselka ustawione w cleniu rozłożystego fikusa. A ponadto nie miał lewej ręki!

Mimo to pracował i był bardzo sprawnym szewcem. Pomagał sobie kolanami, brodą,

zębami, kilka razy poprosił mnie, żebym mu coś przytrzymał - zawsze z pogodnym uśmiechem.

W kraju cywilizowanym, europejskim, tam, gdzie są Fundusze dla niepełnosprawnych, zasiłki i państwowe programy opieki, ów człowiek całe życie wegetowałby na marginesie społeczeństwa. Czułby się ciężarem, pobierając rentę (zawsze za niską), byłby sfrustrowany, zgorzkniały i nieszczęśliwy ze swoim inwalidztwem.

W Republice Bananowej, nie miał na to wszystko czasu, bo tak jak inni, pełnosprawni, musiał pracować, by zarobić na chleb. W jego kraju, kto nie pracuje, ten nie je! Bieda wyzwala tam w ludziach nadzwyczajną aktywność - kiedy człowiek musi sobie znaleźć robotę, wówczas nie czeka beczynnie, nie wybrzydza, tylko podejmuje się k a ż d e g o zajęcia, jakie mu się trafi.

Posłuchajcie jeszcze tego...

W STOLICY KRAJU

Wszędzie zamiast pojemników na śmiecie widziałem zbieraczy odpadków z czarnymi workami z plastiku. Większość z nich nie była opłacana przez miasto, tylko pracowała na własny rachunek, zbierając surowce wtórne i sprzedając je potem w punktach skupu. Dzięki nim z ulic zniknęło szkło (nawet potłuczone), plastikowe odpadki, puszki i papiery. Całą resztę, raz dziennie, uprzątały służby miejskie. Tyle że tej reszty prawie nie było.

Z okien mojego pokoju obserwowałem porzucony wrak samochodu z umieszczoną na nim kartką „Na złom” - został rozmontowany i wyniesiony w ciągu kilku godzin! Na ulicy pozostała jedynie zawartość popielniczki, którą wkrótce porwał wiatr.

Gdyby tym wszystkim śmieciarzom ktoś przyznał zasiłki dla bezrobotnych, usiedliby przed telewizorem popijając piwo, a po ulicach ich miasta walałyby się sterty śmieci. Brak zasiłków zmusił ich do aktywności.

MORAŁ:

To okrutne, powiecie?

Nie jestem pewien. Wydaje mi się,
że dzięki pracy ich życie nabiera sensu.

HONDURAS TRZECI RAZ

Minęło kilka miesięcy i znów stanąłem na granicy Hondurasu. Bez wizy. Władze tego

kraju najwyraźniej uparli się widzieć we mnie wroga. Ponadto całkowicie zignorowały fakt, że na moim nowym paszporcie nie było już słówka „Ludowa”, a orzeł odzyskał koronę.

Byłem prosić ich ambasadę w Paryżu - nic. Perswadowałem w Wiedniu - nic. W Waszyngtonie - nic. Zezłony tym biurokratycznym bezsensem postanowiłem z nich zadrwić. Okpić dziadów, tak jak jeszcze ich przedtem nie okpił nikt. Posłuchajcie...

Pojechałem na to samo przejście graniczne, co za pierwszym razem. Sceneria bez zmian: błoto, zardzewiały łańcuch w poprzek drogi i przechylona budka strażnicza. Tylko resztki flag narodowych Gwatemali i Hondurasu zmieniły się w resztki resztek.

Podąłem żołnierzowi dokumenty. A konkretnie - przywiezioną z Polski specjalnie na tę okazję - książeczkę zdrowia.

(Wyglądała zupełnie jak paszport: twarde okładki z wytłoczonym napisem, w środku moje zdjęcie, pieczęć ZUS - u, seria, numer, dane osobowe i 32 strony pokryte rubrykami.)

Honduraski wojskowy zastukał palcem w napis „Legitymacja Ubezpieczeniowa” i zapytał:

- Co to za kraj?

- *Republica de Ubezpieczalnia* - odpowiadam bez chwili wahania, a on wyciąga spod stołu grubą księgę w tekturowej oprawie.

Na pierwszych stronach był, znany mi już, spis państw świata. Wojskowy palec, tak jak poprzednio, zaczął wolno sunąć w dół listy. Mężczyzna mamrotał kolejne nazwy. Mozolnie, jakby je lepiał w ustach pełnych gęstego kitu. Miałem więc mnóstwo czasu, by się do syta nacieszyć zemstą.

Kiedy wreszcie dojechał do końca listy, stwierdził z niepokojem, że *Ubezpieczalnia* na niej nie figuruje. W suplemencie: „Kraje wrogie - komunistyczne i terrorystyczne” też jej nie było.

- Czy to państwo występuje może pod jakąś inną nazwą? - zapytał wreszcie.

- Czasami, ale rzadko. *Ubezpieczalnia* to *Ubezpieczalnia* - bawiłem się setnie. - Ale niech pan może jeszcze sprawdzi pod *Suomi*.

Oczywiście wkrótce znalazł to słowo w przypisach, jako wariantywną nazwę Finlandii. Wtedy już bez wahania wbił mi do książeczki zdrowia odpowiedni stempelek.

- Witamy w Hondurasie, gringo.

* * *

Przekroczenie granicy na książeczkę zdrowia uważani za swoisty rekord świata - godny Księgi rekordów Guinnessa. W każdym razie jest to mój największy osobisty wyczyn

w kategorii pokonywania barier biurokratycznych.

HONDURAS CZWARTY RAZ

Legalnie wjechałem tam dopiero w roku 1994. Wprawdzie w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych zapewniono mnie, że wiz już nie trzeba, bo podpisaliśmy odpowiednią umowę, ale ja postanowiłem się zabezpieczyć na wypadek, gdyby w Hondurasie nikt o tej umowie nie słyszał.

. Wizę odebrałem w Paryżu (tym razem obsłużono mnie w białych rękawiczkach, a cała procedura trwała zaledwie kilka godzin) i bardzo z siebie zadowolony udałem się w moją czwartą podróż do Hondurasu.

Po przylocie na miejsce przeżyłem ogromne rozczarowanie: nikt mi nie chciał sprawdzić paszportu! Nawet pobieżnie. Kompletnie nic! Machali od niechcenia ręką, żeby przechodzić BEZ KONTROLI! A ja przecież mogłem być terrorystą z Albanii albo z Kuby.

Tyle zachodu poszło na marne!? Tyle kolejnych prób, forteli, wizyty we wszystkich możliwych konsulatach, a kiedy wreszcie mam wizę nikt jej nie chce oglądać? Byłem zdruzgotany.

Uspokoilem się dopiero przy wyjeździe.

Urzędnik kontroli granicznej wyrzeszczał mi w twarz, że przez miesiąc przebywałem w Hondurasie nielegalnie! Mam wprawdzie wizę, ale brak stempli wjazdowych.

Natychmiast uruchomiono odpowiednią procedurę, w wyniku której zostałem aresztowany, a pięć minut potem DEPORTOWANY! [Przypis: Do samolotu, którym i rak miałem odlecieć]

- I żebym cię tu więcej nie widział, gringo!

NOTA OD WYDAWCY:

Zgodnie z informacjami, które dotarły do nas w chwili składania tej książki do druku, Wojciech Cejrowski znowu przebywa w Hondurasie, Nie jest co jednak oficjalna wersja zdarzeń.

Wyjechał z Polski, to prawda - istnieje na co dowód w postaci pieczęci w paszporcie - ale, od kilku tygodni, nigdzie oficjalnie nie wjechał. Tak więc, z formalnego punktu widzenia, cały czas przebywa na linii granicznej. Po lekturze kilku poprzednich rozdziałów, z pełnym spokojem czekamy na deportację.

/ - / Wydawca

CZEŚĆ 5

WYPRAWY DOKOŁA KARAIBÓW

Morze Karaibskie - najpiękniejsze na świecie. A dookoła niego bardzo ciekawe lądy: od zachodu Ameryka Środkowa i jej Republiki Bananowe; od północy Kuba, Jamajka i Haiti; od wschodu łańcuszek tropikalnych wysp - Małe Antyle; a od południa ujście Orinoko i porośnięte dżunglą wybrzeża Ameryki Południowej.

Woda na Karaibach ma niespotykany nigdzie indziej odcień turkus. Piasek bywa biały i miękki jak mąka, bywa też czarny - wulkaniczny - i szorstki jak pumeks, ale najczęściej jest złoty. Plaże ocieniają klasyczne palmy kokosowe, szeleszczące zielonymi pióropuszcami liści.

Tuż przy ziemi palmowe pnie skradają się wytrwale w stronę morza - w pogoni za słońcem. Wyżej zaś, bliżej korony, tropikalne wiatry odginają je z powrotem w stronę lądu. Taki kształt pozwala bardzo wygodnie zawiesić hamak - najbardziej popularny na Karaibach rodzaj łóżka.

(Dla wielu osób hamak pod palmą to jednocześnie ich jedyny dom, ale mało kto z tego powodu narzeka ponieważ zwykle jest to świadomy w y b ó r, a nie przymus ekonomiczny.)

Ludzie żyjący nad tym morzem nigdy się nie śpieszą.

W żadnej sprawie.

A już szczególnie nie uprawiają pogoni za pieniądzem.

I zawsze są pogodni.

Nawet bieda jest tutaj uśmiechnięta, bo kiedy na Karaibach nie masz zupełnie nic, to i tak masz sporo: klimat, który nie wymaga butów, ani ubrań; tropikalne owoce, które rosną same, więc nie ma konieczności ich uprawiać, ba, nie trzeba nawet mieć własnego ogrodu ni pola - wystarczy pójść do lasu i rwać; a na obiad zawsze znajdzie się jakaś ryba, którą można sobie upiec na patyku przy ognisku z wyschniętych łupin kokosa.

Bardzo często zamiast ryby pożywieniem codziennym tutejszego biedaka bywa langusta albo ostrygi - zależy co się udało złapać jako pierwsze. Jeszcze tylko kilka kropel limony albo dzikiej pomarańczy, układamy jedzenie na liściu bananowca i gotowe - romantyczna kolacja, w romantycznym miejscu, za którą biedak nie płaci nic, a zagraniczny turysta chętnie odda bardzo wiele (i jeszcze dołoży napiwek).

Dlatego właśnie lata emerytury planuję spędzić na Karaibach. Ale to dopiero za wiele lat, tymczasem dziś odwiedzam je regularnie. Tak organizuję wszystkie moje wyprawy, żeby

choć na kilka dni, zatrzymać się nad Morzem Karaibskim. Byłem tam już dziesiątki razy i zawsze wracałem szczęśliwy.

A poza tym, że pięknie, tam jest także... ciekawie.

Aha, i dobrze jest mieć ze sobą Tupet jak taran. [Przypis: Tupet jak taran, to rodzaj narzędzia psychicznego. Jego zastosowanie zostanie wkrótce zilustrowane kilkoma przykładami. Generalnie służy on do pokonywania niebezpieczeństw i biurokratycznych utrudnień w podróży.

Autor opisał wcześniej użycie w podobnym celu tupetu zwykłego (przekroczenie granicy na książeczkę zdrowia, poprawianie wizy długopisem itp.). Tupet zwykły różni się jednak bardzo od tupetu jak taran. W przybliżeniu tak bardzo, jak pukanie w drzwi za pomocą ołówka różni się od pukania klasycznym taranem obłączniczym. [przyp. tłumacza]]

Posłuchajcie...

LOT NA KUBĘ

Pewnego razu nad ciepłymi falami Morza Karaibskiego zepsuł się samolot. Nieświadomy niczego siedziałem w środku i podziwiałem pejzaż za owalnym okienkiem. Jak okiem sięgnąć woda, zachodzące słońce i kilka małych koralowych wysepek porośniętych palmami. A dookoła mnie wyje przeraźliwie i stęka rozklekotany II. Tego, że wyje ostatkiem sił, nie zauważałem. Robił to od chwili startu w Madrycie i wydawało mi się, że to po prostu normalny tryb pracy silnika.

Gdzieś tak w połowie drogi nad oceanem Atlantyckim spostrzegłem tylko, że pewna mała śrubka przytrzymująca płyty blachy na skrzydle wykręciła się lub obłuzowała i lata nerwowo na wietrze. Istniało niebezpieczeństwo, że się jej w końcu lepek oderwie, a potem...

- Potem ten kawał blachy na skrzydle odfrunie - tłumaczyłem Stewardesie, którą wezwałem w trybie pilnym z prośbą, żeby o całej sprawie zawiadomiła pilota.

- Śrubka?... - popatrzyła przez bulaj, ale wcale nie byłam pewna, czy szukała wzrokiem śrubki, czy tylko udawała dla świętego spokoju.

- O, tam - pokazałem palcem.

- Aha! O rany, widzę - teraz była zaniepokojona, ale tylko przez moment. - No więc, jeśli chodzi o TĘ konkretną śrubkę, a nie o inne sąsiednie, to to jest taka konstrukcja. Ona zawsze lata. C e l o w o! - ucięła rozmowę i odeszła.

Postanowiłem myśleć o czymś innym...

* * *

Maszynę, którą leciałem (a może spadałem, ale w końcu spadanie to też rodzaj lotu) skonstruowano na początku lat sześćdziesiątych XX wieku. Dwadzieścia lat później Rosjanie uznali, że jest już kompletnie wyeksploatowana i musi iść na złom. Co dalej? Nic nadzwyczajnego - przekazali ją w darze Ukraińcom.

Ukraińcy latali kolejne kilka lat i po ponownym kompletnym wyeksploatowaniu oddali samolot narodowi kubańskiemu, który latał nim do chwili, którą właśnie zacząłem opisywać, czyli do trzeciego już kompletnego wyeksploatowania.

Dla porządku dodam, że „kompletne wyeksploatowanie” za każdym razem oznaczało, że maszyna ABSOLUTNIE nie kwalifikuje się do remontu i musi być złomowana. NATYCHMIAST!

Sposób złomowania przyjęto dość specyficzny, ale jednocześnie typowy dla gospodarki socjalistycznej tamtego okresu - Rosjanie złomowali na Ukrainie, Ukraińcy na Kubie, a Kubańczycy najwyraźniej postanowili złomować tam, gdzie akurat spadną. To, że siedziałem w środku, nie miało dla nich znaczenia.

* * *

Lewy silnik przestał wyć, zaklekotał niepokojąco, a potem coś z niego wypadło. I ZGASŁ.

Awaria nastąpiła w chwili, gdy pilot uprzejmie zawiadamiał, żeby *zapiąć pasy i przygasić cygara* - , *bo właśnie podchodzimy do lądowania*. Jakoś nie wspomniał, że odbędzie się ono dziobem w dół. W ciepłych falach mojego ulubionego morza.

Znowu postanowiłem myśleć o czymś innym... [Przypis: Próbowałem też NIE myśleć o tym, kto siedzi za moimi plecami. I dlaczego pachnie stamtąd przemoczonym futrem. Mimo wyjącego silnika słyszałem wyraźnie, jak ten ktoś nonszalancko gwizdże przez szparę w przednich zębach.]

...ale o czym by tu? Może o cygarach, co to je mają poprzygaszać:

Najlepsze cygara na świecie są zwijane na spoconych udach kubańskich kobiet.

Wszyscy mówią, że to legenda.

A ja tę legendę widziałem na własne oczy. Mogę nawet pokazać, przy której uliczce w Hawanie. Ba, założę się, że jedna z postaci - pewna spocona Murzynka - do dnia dzisiejszego siedzi pod tym samym spłowiętym szyldem z napisem: „Cygara PRAWDZIWE” wymalowanym na kawałku dykty, i nadal skręca. Powiedzcie jej, że to, co właśnie robi to tylko bujda, a już ona wam wybije z głowy słowo „legenda”.

Prawdziwe cygaro to dzieło sztuki. Coś takiego zbrodnia gasić i wyrzucać w połowie długości - dlatego prawdziwe się jedynie przygasza, a potem zapala ponownie. [Przypis: Są jeszcze **półprawdziwe**, które zwija się spoconą dłonią na drewnianym stoliku, oraz zupełnie nieprawdziwe, czyli podrabiane - powstają w sterylnych warunkach produkcji masowej. Te ostatnie bywają bardzo... udatne. Ale dla znawcy są jak koncert na skrzypcach elektrycznych kontra stary dobry stradivarius.]

Nie jestem palaczem i nigdy nie byłem, a jednak cygar w moim życiu wypaliłem całe setki. To ze względu na specyficzne zasady obowiązujące na pokładach kubańskich linii lotniczych...

Zamiast posadzić palaczy z tyłu, a resztę ludzi z przodu i oddzielić te dwie grupy jakąś zasłonką, Kubańczycy stosowali (może jeszcze stosują, ale ja już ich liniami nie podróżuję) podział wzdłuż osi samolotu - lewa strona dla palących, prawa dla niepalących. A dym oczywiście miał to wszystko w nosie i leciał gdzie mu się żywnie podobało. Zresztą, on nie bardzo miał gdzie latać, bo było go tyle, że się raczej tłoczył w każdym dostępnym miejscu.

Jednej ze stewardes zadałem uszczypliwe pytanie: co będzie, gdy otworzę drzwi do toalety?

- Czy przypadkiem nie zostaną obsikany wodą przez automat przeciwpożarowy?
- Spokojnie, *compañero*, wszystkie detektory dymu zostały odłączone.
- A gdyby wybuchł prawdziwy pożar, to co?!
- Na naszych pokładach nie może wybuchnąć.
- Są całkowicie niepalne - dodała rzeczowo i oddaliła się bokiem, to znaczy odwrócona pupą do palaczy, a przodem do mnie.

Dlaczego szła bokiem?

Bo widzicie, Kubanki bywają grube i chude, piękne i brzydkie, białe i czarne, ale wszystkie mają bardzo szerokie kości miednicy. Tak szerokie, że nie mieszczą się w normalnym przejściu między fotelami samolotu. To znaczy może by się zmieściły w Boeingu, ale mają do dyspozycji wyłącznie ruskie Iły, a Iły projektowano bez uwzględnienia takiego parametru jak „komfort”.

(Fizyczny przymus poruszania się bokiem miał swoje konsekwencje przy serwowaniu posiłków: najpierw karmiono pasażerów siedzących po jednej stronie samolotu, bo dopiero gdy stewardesy doszły do ogona, mogły się odwrócić przodem do pozostałych. Zawsze, gdy podziwiałem te manewry, kusiło mnie, żeby im rozdać stroje do krakowiaka.)

* * *

Wkrótce po tym, jak jeden silnik zgasł, stewardesy z uśmiechami na twarzach zaczęły roznosić butelki rumu. (Te ich uśmiechy wydały mi się mocno podejrzone, bo pojawiły się po raz pierwszy odkąd wystartowaliśmy.)

Dziwne - myślę sobie - zazwyczaj, kiedy samolot podchodzi do lądowania z b i e r a się napoje. Zazwyczaj też rum ścibią człowiekowi po kropelce, a nie rozdają flaszkami.

Nagle zaczęło jakoś tak inaczej rzeźcić. I jakby trochę kiwać... Przypominało to desperackie próby unoszenia dziobu samolotu do góry, podczas gdy dziób zdecydowanie chce zacząć pikować.

Pasażerowie zaczęli się nerwowo wiercić. Tylko kilku zajęło się rumem, reszta była coraz bardziej...

- UWAGA - wrzasnęła jedna ze stewardes skupiając na sobie naszą uwagę. - Dzisiaj święto Fidela Castro, Wodza Naszej Rewolucji. Z tej okazji linie lotnicze Cubana de Aviación pragną wzniesć toast: VIVA FIDEL! y CUBA LIBRE!

- VIVA! - odpowiedział zgodny chór pasażerskich głosów. Butelki poszły w ruch i wszyscy zaczęli myśleć o czym innym... Ktoś siedzący za moimi plecami przysunął się nagle i szepnął mi prosto w ucho! lądowanie na dnie morza to też lądowanie.

LĄDOWANIE

Wylądowaliśmy.

Z łomotem i bardzo twardo. Aż nam wszystkim żołądki grzmotnęły o pięty. Najwyraźniej resory pod nami właśnie przeszły w stan wiecznego spoczynku.

Za to hamulce działały wyśmienicie - gdyby nie ciasno zapięte pasy, pasażerowie powylatywaliby przez kabinę pilotów.

Potem okazało się, że hamowaliśmy tak gwałtownie ze względu na przejeżdżający pociąg. (Za pierwszym razem to się każdemu wydaje niedorzecznością - tory kolejowe w poprzek pasa startowego, a do tego szlaban, który zatrzymuje samoloty... - unikat w skali światowej. Kubańczycy powinni na to sprzedawać bilety.) Czekaliśmy dobre dziesięć minut zanim ocieężała stalowa gaśienica złożona z przerdzewiałych cystern przetoczy się na drugą stronę lotniska.

Za oknem była typowa dla Karaibów styczniowa pogoda - silny wiatr, gęste chmury i około 30 stopni Celsjusza powyżej zera. Kilka reflektorów w oddali oświetlało gigantyczny napis wycięty z blachy:

AEROPUERTO INTERNACIONAL JOSE MARTI HAVANA CUBA

Poszczególne litery przyspawano do potężnej żelaznej konstrukcji, która pierwotnie miała chyba tworzyć most kolejowy albo horyzontalną wersję wieży Eiffla. Całość robiła wrażenie jakby ktoś planował tu co najmniej kosmodrom, ale potem się rozmyślił i zostawił tylko napis.

Pod napisem kulił się wstydliwie niepozorny, piętrowy baraczek - Budynek Portu Lotniczego - znany mi z kilku wcześniejszych wizyt. Podobno postawili go jeszcze Amerykanie w latach 50. - wtedy to było ich lotnisko - a używali najprawdopodobniej jako schowka na szczotki. Teraz mieścił salę odpraw i poczekalnię - na parterze, a na piętrze - salę tranzytową oraz sklepik - barek „Wyłącznie dla cudzoziemców”. (Na szczotki zabrakło miejsca, więc wszystko było niepozamiatane.)

Sklepik charakteryzował się tym, że choć towary oferowano tylko kubańskie, to pieniądze musiały być wyłącznie zagraniczne. Za głupią bułkę z serem kazali płacić dwa dolary, a za śniadanie lub kolację prawie dwadzieścia. Dzisiaj bym zapłacił, ale wtedy - w latach 80. - miesięczna pensja w moim kraju starczyłaby mi za ledwie na jedno takie śniadanie! Wozilem więc kanapki z Polski.

Wozilem też kieszeń pełną kompletnie bezużytecznych kubańskich pesos. Narodowy Bank Polski sprzedawał je turystom jadącym do Hawany. Były tanie, więc je kupowałem, choć nie miałem gdzie wydać. (Wtedy kupowało się wszystko co akurat można było kupić, bez względu na to czy było potrzebne.) Po kilku latach uskładałem w ten sposób niezłą fortunę.

KOŁOWANIE

Właśnie ogłosili przez megafon, że samolot, którym poleciałem z Madrytu, już nigdzie nie poleci. (A miał lecieć dalej na półwysep Yukatan w Meksyku, a konkretnie do miasta Merida.) W związku z tym zamiast zwyczajowych kilku godzin, na przesiadkę miałem czekać aż półtora dnia! Byłem zły, bo mi nie zapewniono ani hotelu, ani posiłków, a na dodatek nie pozwolono wyjść na miasto i zapewnić sobie tego wszystkiego w trybie indywidualnym. No cóż - to była Kuba Fidela Castro, a ja byłem przedstawicielem narodu, który zorganizował „Solidarność”.

W ten sposób koło absurdu się zamknęło - do Republik Bananowych nie wpuszczaly mnie dyktatury prawicowe, a na Kubę dyktatura lewicowa. Ci pierwsi dlatego, że byłem obywatelem kraju komunistycznego, a drudzy, bo antykomunistycznego. W obu przypadkach chodziło oczywiście o ten sam kraj - Polskę.

* * *

Podszedłem do barku „Wyłącznie dla cudzoziemców” i zamówiłem kolację.

Sprzedawca podsumował rachunek i mówi:

- Sześć pięćdziesiąt.

Na to ja mu bezczelnie wręczam siedem pesos i mówię:

- Reszty nie trzeba.

- A co to jest? - pyta głośno i niegrzecznie.

- Kubańskie pesos - odpowiadam słodko, ale zaczepnie. Dookoła nas było sporo ludzi czekających na samoloty. Wszyscy lekko znudzeni, więc z zainteresowaniem zaczęli się przysłuchiwać narastającej kłótni. A mnie właśnie o to chodziło - o publiczność.

- Ja tu tylko przyjmuję dolary! - warknął kelner. - Albo pan dajesz dolary, albo jedzenia nie będzie!

- A to ciekawe... na Kubie nie przyjmujecie kubańskiej waluty?... - Nie!

- No trudno... - w tym momencie teatralnym gestem wyciągnąłem z kieszeni banknot jednodolarowy - ...ale proszę popatrzeć...

Popatrzyli oczywiście wszyscy, nie tylko kelner. Parę osób nawet podeszło bliżej, a ja rozpocząłem przedstawienie:

- Proszę popatrzeć na tego dolara. Co my tu mamy?... Portret prezydenta Waszyngtona. A co jest na banknocie jednopesowym?

Tłumek dookoła nas zgęstniał. Ludzie zorientowali się, że będzie jakaś draka.

- Na banknocie jednopesowym - zacząłem odpowiadać sam sobie - widzimy portret kubańskiego bohatera Jose Marti, a na odwrocie dodatkowo portrety towarzysza Fidela Castro oraz jego brata Raula Castro, ministra spraw wewnętrznych!

Przy słowach „ministra spraw wewnętrznych” uniosłem banknot w górę, jak transparent, po czym tubalnym głosem natarłem na kelnera:

- Czy pan ośmiela się wmawiać wszystkim tu obecnym naoczny ś w i a d k o m, że na Kubie jeden amerykański prezydent jest więcej wart od trzech największych kubańskich rewolucjonistów: Jose Marti! Fidela Castro! i jego brata Raula Castro, Ministra Spraw Wewnętrznych i Służb Specjalnych!?

Po tych słowach wokoło zapadła kompletna cisza. (Syczało w niej tylko trochę powietrze, po tym jak znacząco przeciągnąłem słowa „sssłużb” i „ssspecjalnych”.)

Wszyscy spoglądali wyczekująco na kelnera.

Ja najbardziej, bo wcale nie byłem pewien czy mój sposób zadziała. Mogło się

zdarzyć, że za akcję wywrotową trafię do kubańskiego więzienia. I wtedy z całą pewnością nie wyciągnie mnie stamtąd polska ambasada, ponieważ były lata 80. i ta ambasada reprezentowała władzę dużo bliższą Fidelowi Castro niż mnie.

A jednak zadziałał. Tupet jak taran zawodzi baaardzo rzadko. (Jedynie w przypadkach, gdy trafia na stalowe nerwy.)

Kelner głośno przełknął ślinę. Sądząc po ruchach jego grdyki, mogło to być także jabłko w całości. Był blady jak ściana i mniej więcej tak stabilny jak galareta. Sztywnym ruchem sięgnął pod ladę i wyciągnął cennik.

W przeciwieństwie do wszystkich innych cenników, które już leżały na ladzie ten był napisany po hiszpańsku, a ceny podano w pesos. Popatrzyłem na nie i uśmiechnąłem się szeroko. Potem wyciągnąłem z kieszeni uciulany przez lata plik kubańskich pieniędzy i triumfalnie zwróciłem się do mojej publiczności:

- Szanowni Państwo, STAWIAM WSZYSTKIM!!!

Tylko raz w życiu byłem wstawiony - właśnie tego dnia - ale wtedy całe lotnisko było pijane. Nawet kelner. (A może on szczególnie.)

* * *

W pewnej chwili, jakoś tak nad ranem, wyrząłem przez okno, a tam:

- Rany! Mój samolot kołuje właśnie na pas startowy!!! Poznałem go od razu, bo jedno ze skrzydeł miał pomarańczowe - albo świeżo przyspawane z jakiegoś innego samolotu, albo nowe i go jeszcze nie zdążyli pomalować.

No więc zrywam się na ten widok, łapię plecak i pędzę w stronę drzwi. A strażnik zatrzymuje mnie i uspokaja:

- *Compañero*, spokojnie, dla was podstawią inny, ten już nigdzie nie polecą. Jest kompletnie wyeksploatowany.

- To po *co* kołuje?

- Odsyłamy go do bratniej Angoli.

TUPET JAK TARAN

Było to całkiem niedawno, ale za co daleko stąd: za górami, za lasami i za oceanem - w jednym z krajów karaibskich. (Dokładniej nie objaśnię, ponieważ chciałbym tam jeszcze kiedyś pojechać.)

W pewnym małym miasteczku usłyszałem plotki, że na pasie startowym pobliskiego lotniska wojskowego, ktoś bezczelnie uprawia marihuanę. Od lat!

Kiedy marihuana rośnie i dojrzewa, samoloty przez kilka miesięcy stoją uśpione pod plandekami. Łatwo wtedy zapomnieć, że jesteśmy na lotnisku - wszystko wygląda jak ogromna dzika łąka.

Pewnego dnia ktoś ją kosi i wówczas samoloty zaczynają latać - głównie na północ i głównie po północy - nerwowo i namiętnie, jakby przez kilka dni chciały nadrobić kilkumiesięczną bezczynność.

Potem znowu zapada cisza. I nowa marihuana rośnie sobie, dojrzewa, a samoloty nie latają.

Postanowiłem to sprawdzić. Niebezpieczeństwo było spore, ale pokusa jeszcze większa - gdyby udało mi się zrobić zdjęcia poligonu pełnego marychy, to zarobiłbym dość pieniędzy na tę i pewnie jeszcze na następną wyprawę.

Posłuchajcie...

Pół dnia maszerowałem wzdłuż pustej plaży. Co jakiś czas musiałem wchodzić do wody i opływać skały barykadujące drogę lądową. (Aparat miałem zapakowany w wodoszczelne pudełko.) W ten sposób, niezauważony przez nikogo wkroczyłem na poligon.

Pas startowy znalazłem bez kłopotu - jak wszystkie pasy startowe był płaski i duży. Długi na jakieś trzy kilometry i szeroki na mniej więcej 500 metrów. A obok niego drugi podobny!

- Nieźle poletko - pomyślałem patrząc na 300 hektarów marychy, która spokojnie falowała na wietrze.

Nikt jej nie pilnował, nikt jej nie poszukiwał, bo przecież tereny wojskowe były poza wszelkim podejrzeniem...

* * *

Wyciągnąłem aparat i zaczynam robić zdjęcia.

Zrobiłem niewiele, może ze dwie rolki, bo co tu właściwie fotografować - samoloty, ze zbliżeniami na godło państwowe i numery, łąny marychy w tle, panoramka, wszystko pięknie widać, czas się zwijać...

W tym momencie z boku wyskakuje na mnie żołnierz z karabinem w rękę.

- STACÍ!!! - wrzeszczy i repetuje broń. - Co ty tu robisz, gringo?!

To jedna z tych sytuacji, które mogą się dla człowieka skończyć tragicznie - wojsko uprawiające marihuanę na pewno nie życzy sobie rozgłosu; wojsko uprawiające marihuanę, na pewno potrafi tak zastrzelić, żeby nikt nie usłyszał huku i nigdy nie znalazł zwłok - od odpowiedzi, której udzielię na pytanie: „Co ty tu robisz, gringo?” zależy moje życie.

Jedyne jakie mam. Niepowtarzalne...

A kule od karabinu lecące w kierunku czyjegoś brzucha są nieodwracalne — szepnęło mi coś wprost do ucha. (Było kosmate.)

Więc co ja tutaj robię?... - myślałem gorączkowo.

- No właśnie żołnierzu, co ja właściwie tutaj robię? - powiedziałem na głos zaskakująco miękko i spokojnie. - Właśnie WAS żołnierzu chciałem o to zapytać. Noo? Może mi łaskawie odpowiecie, co ja tutaj robię, ha?! - spokój i miękkość powoli ustępowały miejsca dźwiękom przypominającym świderkę dentystyczny.

Żołnierza zatkało. A ja stopniowo zaczynałem mówić coraz głośniej i coraz groźniej mrużyłem oczy:

- No więc żołnierzu?... Gonzales, widzę na plakietce, że nazywacie się Gonzales. Zgadza się Gonzalessss, czy nie?! - huknąłem na niego po kaprałsku.

- Tajes - odbąknął Gonzalez wyraźnie zbity z tropu i wstępnie zaniepokojony.

- Powiedzcie mi, Gonzalesss - świderkę dentystyczny zwiększył obroty - jak to możliwe, żeby nieupoważniony gringo/ wtargnął tak głęboko na strzeżony przez was teren? Żeby wlał wam w sam środek poligonu i zaczął robić zdjęcia, ha?! - świderkę dowiercił się w pobliże nerwu - I dlaczego tam z tyłu nie ma żadnej warty, ha?! Pospaliście się, Gonzalessss?! SSSJESTY SIĘ WAM ZACHCIAŁO!!? HA?! Dlaczego ja tam nie widziałem żadnej tablicy ostrzegawczej, ha?! Proszę mnie stąd natychmiast wyprowadzić! A w ogóle to GDZIE JEST WASZ DOWÓDCA?!!!

* * *

Z dowódcą rozmawiałem już w tonie konsyliacyjno - konspiracyjnym. Robiąc porozumiewawcze gesty głową w kierunku 300 hektarów trefnej uprawy mówiłem:

- Przecież jakby to ktoś tu zobaczył, jakby tu wam wlał jakiś prawdziwy gringo, w dodatku dziennikarz, to by nam wszystkim tyłki usmażył.

Słowo „nam”, które bardzo misternie wplotłem do rozmowy, uczyniło ze mnie sojusznika, albo współnika z konspiracji, albo... Nie wiadomo dokładnie kogo, ale przecież podrzędny dowódca warty nie mógł samodzielnie zdecydować o obsianiu dwóch pasów startowych marihuaną. Na pewno decydował ktoś starszy stopniem, kogo tutaj nie było.

Bo nie mogło być - żaden oficer nie zaryzykowałby przebywania w pobliżu. Liczyłem więc na to, że wezmą mnie za osobę przyslaną „z góry”, która sprawdza, jak się sprawy mają.

Wszystko rozeszło się po kościach, a ja wiałem z tego poligonu jak huragan i potem przez tydzień zmieniałem autobusy, jeżdżąc zygzakiem po całym kraju, żeby zmylić ślad.

MORAŁ:

W dalekiej podróży dobrze jest mieć przy sobie tupet jak taran i refleks jak błyskawica. A w walce z przemysłem narkotykowym, dobrze jest uważnie patrzeć na ręce nawet najbliższym sojusznikom.

KARAIBSKA MODLITWA

Kiedy po raz pierwszy poszedłem do kościoła na Karaibach, byłem zszokowany. Aż musiałem wyjść przed budynek i przeczytać, czy jest na pewno katolicki - takie to wszystko było inne. Ale po swojemu wspaniałe.

Dzisiaj już się niczemu nie dziwię - po dwudziestu latach wypraw do Ameryki Łacińskiej widziałem już chyba wszystko co może szokować:

Nie dziwią mnie psy, które leżą w kościelnych ławkach, obok nóg swoich właścicieli. I nie chodzi tu o eleganckie pieski kanapowe, ale o wielkie i najczęściej brzydkie kundle, które asystują właścicielom zawsze i wszędzie, więc także w czasie mszy. Niektóre nawet przy komunii.

Nie szokują mnie rowery i motory zaparkowane wewnątrz kościoła - bo na zewnątrz kradną - przypięte łańcuchem do chrzcielnicy albo do konfesjonału.

Nie szokuje mnie konfesjonał skonstruowany tak, że spowiedź odbywa się twarzą w twarz, a nie - tak jak u nas - do ucha.

Nie szokuje mnie ksiądz z mikrofonem w ręku, który głosi kazanie przemieszczając się po całym kościele - podchodzi do ludzi, zwraca się do konkretnych osób po imieniu, nawołuje tych na zewnątrz, żeby weszli i się przyłączyli. Czasem w trakcie kazania używa niecenzuralnego języka, tłumacząc, że jego parafianie innego nie rozumieją. (Jak im mówię „ladacznicą” to nie wiedzą o co chodzi i się głośno dopytują. To ja wtedy próbuję „kobieta lekkich obyczajów”, a oni na to, czy znaczy, że bardzo chuda? W końcu zostaje człowiekowi tylko to jedno, jedyne słowo na „k”, które wszyscy świetnie znają.)

Nie szokuje mnie, kiedy kapłan w stroju liturgicznym zaczyna wymachiwać rękami i krzyżeć, albo śpiewać podrygując, jak artysta na estradzie...

Nie szokuje mnie już chyba nic.

Ale parę rzeczy mnie wzrusza. Wstrząsa mną do żywego.

Gdy w czasie mszy padają słowa: „przeznaczcie sobie znak pokoju” w kościele następuje pandemonium. Ludzie wychodzą z ławek, ksiądz schodzi z ołtarza, wszyscy zaczynają spacerować po kościele w poszukiwaniu znajomych osób, z którymi trzeba się

przeprosić, pogodzić, pojednać. Harmider jak na bazarze, atmosfera jak u cioci na imieninach... A trwa to tyle, ile trwać musi - aż się wszyscy ze wszystkimi pogodzą. Wszyscy!

Posłuchajcie...

Było to w malej murzyńskiej parafii na wybrzeżu karaibskim.

- Przekażcie sobie znak pokoju - powiedział ksiądz i zaraz potem nastąpiło zwyczajowe zamieszanie.

Po chwili ludzie powrócili do ławek, a kapłan do ołtarza. Ale nie podjął liturgii, tylko mówi:

- A teraz WY dwie! - tu pokazał palcem w kierunku konkretnych osób. - Teraz wy dwie także przekazcie sobie znak pokoju.

Kościół zamarł.

(Dowiedziałem się później, że wszyscy parafianie wiedzieli o starym konflikcie rodzinnym między dwiema siostrami, który trwał od wielu lat.)

Kościół zamarł... i nic.

- Nawołuję was po raz trzeci: PRZEKAŻCIE SOBIE ZNAK POKOJU!!! - ryknął ksiądz. - Będziemy tu czekać tak długo, aż przyjdzie Duch Święty i pokruszy wasze zatwardziałe serca.

Zapadła długa, baaardzo długa, chwila ciszy.

...

Nikt się nie poruszał.

... ..

Nawet muchy przestały brzęczeć.

... ..

W końcu jedna z kobiet ryknęła przeraźliwym szlochem.

Wtedy ta druga, biegiem, rzuciła się w jej kierunku. Przypadły do siebie i zwarły w gorącym uścisku - dwie potężne Murzynki. Łkały jak dzieci. Dzieci Boga.

A potem dołączyli do nich pozostali członkowie rodziny...

Wkrótce cały kościół trząś się od mieszaniny płaczu i śmiechu.

Trząśłem się razem z nimi. I co chwilę ocierałem oczy. Takie rzeczy się udzielają.

Znak pokoju.

U nas to pusta, często żenująca formalność. Kiwamy do siebie głowami, uśmiechamy się zdawkowo, mruczemy pod nosem: *pokój z tobą*", (Jakim „tobą”, kiedy to jest nieznaną mi starszą pani, do której mówienie per „ty” uważam za wysoce niekulturalne.)

Latynosi zrozumieli o co chodzi - my nie. Tam, obcy obcemu nie przekazuje znaku pokoju, bo nie ma powodu do pojednania z osobą, której się w niczym nie zawiniło. Oni się przepraszają nie pro forma, ale za konkretne winy, wobec konkretnych osób.

I jeszcze coś:

Na Karaibach, skoro już ktoś przyszedł do kościoła, to nie po to żeby pospać w ławce - wygodniej się śpi we własnym hamaku - nikt się więc nie ociąga. Wierni odpowiadają bardzo głośno, a śpiewają na całe gardła. Wszyscy!

Nikt nie mruczy pod nosem. Nikt nie milczy. Ba, odbywa się coś w rodzaju wyścigów - kto głośniej i kto szybciej.

Wspólne *Ojciec Nasz* i *Wierzę* odmawiają przekrzykując i wyprzedzając jeden drugiego. Powstaje z tego kompletny bałagan - nie mówią równo, tak jak my, lecz każdy po swojemu.

Ale czy wspólna modlitwa zawsze musi oznaczać wspólny rytm?

Dla nich „razem” oznacza mówić to samo w tym samym czasie i miejscu. Na tym koniec - równo być nie musi, bo wypowiedanie słów równo charakteryzuje wojsko, a nie lud boży zgromadzony dobrowolnie.

Latynosi bardzo często wchodzą księdzu w słowo - wyprzedzają go o pół kroku i odpowiadają jeszcze zanim ksiądz skończy swoją frazę. Wygląda to tak, jakby chcieli udowodnić, że wiedzą co powinno być za chwilę, że każdy z nich umie słowa kolejnych pacierzy - ksiądz jeszcze nie skończył, a oni już odpowiadają. Jak gromada szkolnych prymusów.

MORAŁ:

Na początku mnie to denerwowało, gubiłem się, złościłem, ale teraz, po latach, „ścigam się” tak jak oni, bo zrozumiałem, że to nie jest wyścig człowieka z człowiekiem, ale wyścig do Pana Boga.

KARAIBSKA PASTERKA

Wszystko zaczęło się w Acapulco - nad Pacyfikiem. A potem ktoś przeniósł tradycję przez góry i tak trafiła na Karaiby Tam zapuściła korzenie. I kwitnie. Raz w roku w wigilię Bożego Narodzenia. Postuchajcie...

Najbardziej rodzinne i radosne święta spędzałem sam. Bez najbliższych, bez choinki, bez śniegu - przeciwnie, dookoła palmy i tropikalny żar. Turkusowe fale morza, piach

bielusieńki jak mąka i tak samo miękki. Roześmiane twarze turystów z całego świata. Opalone, wesole, ale obce. A tu zbliża się pora Wieczery Wigilijnej.

Podzieliłem się opłatkiem sam ze sobą i poszedłem na spacer. Nie miałem żadnych konkretnych planów, ot, włóczyłem się bez celu. I doszedłem do odległej dzielnicy miasta, obcej i trochę groźnej - tu mieszkała biedota: Metysi oraz Indianie, wszyscy wiecznie poszukujący jakiegoś dorywczego zajęcia.

Ich domy to budki z desek wyrzuconych przez morze albo przez budowniczych luksusowych hoteli. Dachy - blaszane wprawdzie, ale też z odzysku - zrobione z porozwijanych beczek na ropę. Cała dzielnica skonstruowana z odpadków, a mimo to piękna w oczekiwaniu na narodziny Boga.

Wszędzie w tej biedzie widać było staranność świątecznych porządków. Dziko rosnące palmy ustrojono lampionami zrobionymi z kolorowych butelek. Ludzie paradowali w okropnie dziurawych ubraniach, ale czyści i uśmiechnięci promiennie. Jakby ich bieda miała się skończyć tej nocy. Wyszorowany brud. Bałagan ułożony w równiutkie kupki. Bogato zastawione żebracze stoły.

Zafascynowany zaglądałem w okna i przez drzwi otwarte na oścież dla przewiewu. Podpatrywałem...

Nagle usłyszałem dzwony.

Dzięki nim, wkrótce odnalazłem betonowy kościół. Był brzydki, jak wszystko dookoła, bo też jakby poskładany z odpadów.

Wierni schodzili się powoli ze wszystkich stron. Całymi rodzinami. Niektórzy bardzo biedni - nawet na Pasterkę nie znaleźli butów...

Wszyscy się znali i pozdrawiali hałaśliwie, jak to Latynosi.

Ktoś zaintonował pieśń i wtedy cały kościół huknął pełnym głosem.

Śpiewali wszyscy, bez najmniejszego wyjątku. Ale jak śpiewali! - jeszcze lepiej od naszych górali. Chmury na niebie się pruły od tego śpiewu.

Roześmiani od ucha do ucha, nabierali powietrza pełną pierśią a potem:

GLORYJA!! GLOOORYJA!!!

NAJŚWIĘTSZA ROODZINA!!!

W STAJENCE, W CHLEEEWIKU!!!

JAK MY TU W MEEEKSYKU!

W BIEDZIE, W ZAPOMNIENIU

W LUDZI POGARDZENIU

*NOWO ZRODZONEMU
ŚPIEWAMY GLOOORYJA!!!*

*NADZIEJA! NAAADZIEJA!!!
ZSTĄPIŁA Z NIEBIOŚA
BÓG ZESŁAŁ NAM SYNA
ZBAWCĘ, ZBAWICIELA*

*GLORYJA! GLOOORYJA!!!
UCIEKA ZŁO, BIEDA.
ANIOŁÓW PARADA
NA ŻŁOTYCH TRĄBACH GRA*

*CHLEB POWSZEDNI WYPCHAŁ BRZUCHY
SERCA PEŁNE ŻNÓW OTUCHY
URODZINY JEZUSA
GLORYJA! GLORYJA!*

Po tej pierwszej pieśni tłum zamilkł i w kompletnej ciszy rozstał się. Środkiem kościoła szła dziwna procesja: młoda kobieta w kolorowej chustce na głowie i ramionach, podtrzymywana z jednej strony przez księdza w ornacie, a z drugiej przez młodego mężczyznę.

Była wyraźnie słaba. Staniała się na nogach, a doprowadzona do stopni ołtarza siadła na nich ciężko, twarzą do nas. Dopiero wtedy zobaczyłem, że chusta, którą ma na sobie okrywa także jakieś zawiniątko.

To było dziecko! Narodzone zaledwie kilka godzin wcześniej.

* * *

Po mszy dowiedziałem się, że to tradycja tej biednej dzielnicy - na Pasterkę przynosi się noworodka (musi to być pierworodny i chłopiec). Bywa, że kilka kobiet konkuruje o ten przywilej i „ścigają się”, która zdąży urodzić i wydobrzeć na tyle, by iść do kościoła w tę jedną, szczególną noc narodzin Boga.

Takiego noworodka chrzci się potem hucznie, w styczniową niedzielę Chrztu Pańskiego, nadając mu oczywiście imię Jesus.

* * *

Msza trwała dużo dłużej niż zwykle - była wielokrotnie przerywana kwileniem nowo narodzonego dziecięcia. Wówczas kapłan odkładał liturgię, a wierni intonowali kolejną kołysankę.

Tak jak na wstępie huczeli pełnymi głosami, tak teraz śpiewali szeptem - *Lulajże Jezuniu... Oj Maluśki, Maluśki, Maluśki...* Matka kołysała dziecko albo karmiła je piersią, a oni śpiewali małemu do białego rana. [Przypis: Dla jaśniejszego obrazu, w miejsce hiszpańskich, daję tu polskie tytuły o charakterze kołysanek, [przyp. tłumacza]].

MORAŁ:

Czegoś takiego nie widziałem, nigdzie indziej na świecie. Najpiękniejsza Pasterka w moim życiu. Najpiękniejsze Jasełka. Najpiękniejsza szopka.

Niestety nie da się tego dobrze opowiedzieć - trzeba pojechać i zobaczyć, przeżyć na własnej skórze. A ona jest wtedy gęsia od wzruszenia.

TROPIKALNE NOCE

Wyprawa to wyprawa - nie można wybrzydzać - sypia się tam, gdzie można. Gdzie akurat człowieka zastanie noc. Sypiałem więc na dnie łodzi (co nad ranem zawsze oznacza, że w kałuży wody), sypiałem na plaży (co nad ranem oznacza, że robi się człowiekowi przeraźliwie zimno), w hamaku zawieszonym pod ciężarówką (zawsze skądś kapie olej, i zawsze trafia w oko), w wagonie towarowym (wszystko zależy od rodzaju towaru, ale w praktyce jedyne nieplombowane wagony wożą albo węgiel, rudę i boksyty, czyli kamienie, albo bydło - rogate i kopytne). Spałem też na ulicach Mexico City - największego miasta świata (tantejsza biedota, jako miejscowa, miała pierwszeństwo do ciepłych krtek metra, a mnie zostawał karton na betonie), spałem nawet w łóżku Sylwestra Stallone (bez Sylwestra!, było to w luksusowej restauracji Mauna Loa, w karaibskim kurorcie Cancun - Sylwek już wyjechał, Arnold (Schwarzenegger, jakbyście nie wiedzieli) przyjeżdżał dopiero za dwa dni, a kierowniczką była moja... koleżanka [Przypis: Zbieżność ze słowem leżanka występuje jedynie w języku polskim - w oryginale Autor napisał *amiga*. Ale zaraz, zaraz... *amiga* pochodzi od *amar*, no wiecie *amorozo* i te rzeczy... [przyp. tłumacza]* * Ha, ha, ha. Baaardzo śmieszne, [przyp. Autora]]).

Jednak najbardziej egzotycznym miejscem noclegowym był dom publiczny w porcie Colón, w Panamie.

Posłuchajcie...

Do portu przybiliśmy nocą. Jacht, którym płynąłem, nie mógł czekać do rana, więc mnie wysadził na brzeg i musiałem sobie poszukać jakiegoś noclegu. Mógłbym rzecz jasna spać na molo, ale Colón to miasto biedoty - bardzo niebezpieczne - i nie wiadomo, czy bym się jeszcze obudził.

Ponieważ w najbliższej okolicy nie było innych, normalnych hoteli, wynająłem pokój w domu z czerwonymi firankami, czerwonymi lampkami, czerwoną pościelą i damską obsługą mocno wy - szminkowaną na czerwono.

Ta obsługa miała na sobie więcej szminki niż ubrania. To przyciągało wzrok. Właściwie nie tylko wzrok - przykuwało całą uwagę. Szczególnie tę jej część, która mieści się w okolicy łędźwiów. Ale...

ale... ale w końcu jakoś się człowiek otrząsał, uświadamiał sobie, że to tylko szminka i trochę gołej skóry...

A potem obsługa bardzo się dziwiła, że stanowczo odmawiam wpuszczenia którejś panienki do pokoju.

Ostatecznie jednak uznano, że klient ma zawsze rację, nawet jeżeli zachowuje się jak wariat, więc skoro płacę za wszystko, choć z części usług nie korzystam, to już moja osobista sprawa. I tak byłem tu najlepszym klientem od niepamiętnych czasów - pozostali wynajmowali pokoje na godzinę, maksimum dwie, a ja zapłaciłem za całą noc z góry!

Następnego ranka wszystkie panie (z lekko rozmazaną szminką) dygały na mój widok grzecznie i zwracały się do *mnie proszę księdza*.

POKÓJ Z PRYSZNICEM

Kilka lat później wylądowałem w stolicy Gujany, Georgetown.

To też miasto portowe i raczej niebezpieczne. W najbardziej eleganckiej restauracji w centrum, wisiały na ścianach następujące tabliczki:

ZARZĄDZENIE DYREKCJI:

Za potłuczone butelki i szklanki pobiera się opłaty.

ZARZĄDZENIE DYREKCJI:

Zabrania się tańczyć po stołach.

ZARZĄDZENIE DYREKCJI:

Surowy zakaz bijatyk!

Przypominam: to wisiało w najbardziej eleganckiej restauracji! (O innych opowiem następnym razem, I na pewno nie przy dzieciach.)

Po przeczytaniu powyższych ogłoszeń, zrozumiałem, gdzie jestem: miasto - mordownia. A więc w trybie pilnym muszę poszukać noclegu - spanie w hamaku w parku odpada.

Pokoje do wynajęcia znalazłem w sympatycznym drewnianym domu, który zbudowano jeszcze w okresie kolonii brytyjskiej, w stylu znanym z Indii czasów Królowej Wiktorii. Miał liczne przewiewne werandy i balkony, fruwające firany itd.

Ściany i podłogi też były przewiewne - wszystkie deski tak rozeschnięte, że przez szpary można było bez większego trudu obserwować życie po drugiej stronie. (Na upartego przez taką ścianę można by pożyczyć gazetę od sąsiada.) Mimo to całość wyglądała przyjemnie - trochę jak klasyczny statek parowy na Missisipi.

Ale tylko od środka. Od zewnątrz hotelik wyglądał jak warownia - wszędzie solidne kraty, druty kolczaste, a nad recepcją informacja, że dookoła pełno złodziei, za co hotel nie ponosi żadnej odpowiedzialności, i że w mieście często nie ma prądu ani wody, za co hotel tym bardziej nie ponosi odpowiedzialności. Generalnie proszę się więc dobrze pilnować, co najłatwiej robić w ogóle nie wychodząc z hotelu.

Zapytano mnie, czy chcę mieszkać na pierwszym piętrze, czy na ostatnim, to znaczy drugim?

Wybrałem pierwsze. Drugie było wprawdzie bardziej przewiewne, ale leżało bezpośrednio pod rozgrzanym do czerwoności blaszanym dachem. (Ponadto na pierwsze łatwiej dojść - w Georgetown temperatura nie lubi spadać poniżej 30 stopni Celsjusza, a wilgotność zawsze trochę przypomina pralnię.)

Wchodzę do mojego pokoju i co widzę? Kolejne ogłoszenie:

Prosimy nie pluć na podłogę

- pod spodem też mieszkają ludzie,

/ - /DYREKCJA

Biegiem poleciałem z powrotem do recepcji z prośbą o przeniesienie pod sam dach.

- Tak żeby nade mną już nikt nie mieszkał. Bardzo proszę żadnych pomieszczeń w

stylu sypialenka dla kucharki, albo suszarnia na pościel. Nade mną ma być już tylko dach, a potem niebo.

Żadnych plujących po podłodze.

A oni - ci z recepcji - chyba się nawet ucieszyli, że zwolniłem pokój na niższym piętrze, bo w ramach rekompensaty za rozgrzaną blachę dostałem kluczyk do osobnej łazienki. (Pozostali goście mieli jedną łazienkę dla wszystkich i czasami czekali w kolejce.)

Wchodzę do tego mojego prywatnego prysznica, a tu na środku podłogi stoi wiadro z wodą oraz miseczka do polewania. Niespecjalnie mnie to zdziwiło, bo w całej Ameryce Łacińskiej jest to standard. Jedyne najlepsze hotele stać na własne zbiorniki i pompy - wtedy zawsze mają bieżącą wodę - w pozostałych napełnia się wszystkie dostępne wiadra, kiedy w miejskim kranie raczy na chwilę zaistnieć ciśnienie.

* * *

Inny standard to ciepła woda podgrzewana prądem tuż nad głową biorącego kąpiel. Na rurę sterczącą ze ściany nakręca się specjalne urządzenie z grzałką i podłącza napięcie. (Wysokie napięcie!

- nie żadne tam 12V tylko od razu 110 albo 240.) Sterczące druty, zawsze skręcone były jak, zaizolowane plastrem albo wcale, i człowiek już nie wie, czy to co czuje na plecach to gorące kropelki, czy też kropelki są zimne, ale przebicia gorące.

* * *

Patrzę na to wiadro i miseczką ale oprócz tego widzę, że ze ściany sterczy rura, a obok rury zawór. A więc jest szansa, że będę miał coś w rodzaju prysznica! („Coś w rodzaju” ponieważ na rurze nie było żadnej siateczki atomizującej, a więc chlustało z niej ordynarnie, jak z ogrodowego szlauchu.)

Zastanowiło mnie tylko, po co na zaworze ktoś powiesił pogrzebacz? Czy mam tu gdzie rozpalić piec, żeby podgrzać wodę?

Dowiedziałem się chwilę potem...

...kiedy odkręciłem kran, z rury wyprysnął na mnie zielony wąż ...aa!... długości około pół metra... podobno zupełnie niegroźny...

Ale o tym powiedzieli mi dopiero

dwa

piętra

nizej

- w recepcji - kiedy tam dobiegłem z wrzaskiem na ustach i pogrzebaczem w ręku.

Wąż został na górze, chyba zatłuczony, ale nie byłem pewien i...

- ...NA PEWNO NIE MAM ZAMIARU SPRAWDZAĆ TEGO OSOBIŚCIE!!!

Jasne?!

Kiedy już się trochę uspokoiłem, pani recepcjonistka niedbałym ruchem wyciągnęła spod lady hotelowy ręcznik i zapytała:

- Czy może miałby pan ochotę owinąć biodra, *Señor*? Miałem ochotę.

Miałem baaardzo wielką ochotę.

(Pogrzebacz był zdecydowanie zbyt wąski, a poza tym, przy pierwszej odruchowej próbie, puknąłem się nim ...a!... w kolano.)

Poza ręcznikiem, przydałby się jeszcze jakiś kubełek na głowę, bo moja twarz rozkwitła płomiennie i buchała gorącem, jak wspomniany wcześniej blaszany dach.

Taki czerwony jak wtedy nie byłem nigdy wcześniej ani nigdy potem.

CZEŚĆ 6

GRINGO WŚRÓD DZIKICH ZWIERZĄT

Nie napisałem tu jeszcze Opowieści o przyrodzie, prawda?

Dotkliwy brak zwierząt. W pobliżu nas, pośród drzew, nie przemknął nigdy cień jaguara. Nie wyskoczył nam pod nogi rozjuszony tapir. Ścieżki nie przeciął z sykiem jadowity zygzak żararaki. Ani na gałęzi nad głową nie pojawiła się oczekująca ze spokojem anakonda. Nie przypominam sobie nawet porządnego pająka czy małej drużyny czerwonych mrówek, które by nam wlażyły do hamaka... Ze zwierząt najwięcej tu było ludzi.

Poza tym - kompletny brak flory. Ani jednej ekstatycznej uwagi na temat roślin splątanych w bujnym ogrodzie tropikalnej puszczy. Brak gąszczy, pnączy, lian, dzikich ostępów, zielonych piekieł... Pojawiło się wprawdzie kilka skórzastych liści, których lepiej nie dotykać, bo mogą ...aał... uszczypnąć, aleśmy je szybko potraktowali maczetą i poszli dalej.

Nie przypominam też żadnych uniesień (i towarzyszących im zwykle egzaltowanych pisków) na temat ptaszków mieniących się tęczowo barwami kolorowych piór, kiedy biorą kąpiel w perlistej wodzie albo furkają w promieniach słonecznych. Ptaszków zdecydowanie nie było... No dobra - jeden. Ale on tylko robił truk - truk, a potem szybko odlatywał. (Zawsze jakoś tak tuż przed burzą.)

Ani razu nie pojawiło się zachwycone cudem natury pochylenie nad lepkiemi od nektaru kielichami egzotycznych kwiatów, które odurzają swoim słodkim zapachem tak, że...

... Głowa boli i tyle.

Nie było motyli wielkich jak patelnie...

Wielu rzeczy nie było.

To znaczy one były TAM - w miejscach, które opisuję - natomiast nie było ich TU - w miejscu gdzie je opisuję, czyli na kartach tej książki. Dlaczego?

Kiedy człowiek posiedzi miesiąc, dwa w dżungli, zaczyna się zachwycać zupełnie innymi rzeczami niż otaczająca go przyroda [Przypis: Z tym słowem mam kłopot - nie wiem, czy aby na pewno Autorowi chodziło o przyrodę „otaczającą”, czy może o „osaczającą”.

Tekst spisuję z rękopisu, a on jest miejscami niewyraźny. Dotarł do mnie w formie kilku szkolnych zeszytów w kratkę zapisanych (właściwie nagryzmołonych) naprzemiennie w trzech językach - po hiszpańsku, angielsku i trochę po polsku. Ponadto między kartki powtykano dodatkowe zapiski na luźnych serwetkach, odwrotnych stronach etykiet od

oranżady, wywiniętych papierowych torebkach (w których wcześniej były frytki) oraz na rozłożonych pudełeczkach po lekarstwie na malarię.

Kwestii „otaczająca” czy „osaczająca” nie sposób już dziś rozstrzygnąć, z dwóch powodów: Pierwszym jest to, że Autor nie pamięta, co wtedy miał na myśli. Drugim jest rozległa plama po keczupie, którym polano frytki, [przyp. tłumacza] . Na przykład prostą konstrukcją krzesła (najlepiej żeby było wyściełane); albo zasadą działania naczyń połączonych, na końcu których zainstalowano prysznic.

Przyrody jest w tropikach tyle, że najczęściej trzeba się od niej oganiać albo przez nią przedzierać i wtedy nie ma już czasu na zachwyty. W tych warunkach to, co określa się jako „zbliżenie z naturą” polega zwykle na tym, że albo my przed nią uciekamy, albo ona przed nami. [Przypis: Są oczywiście wyjątki. Na przykład dobrze uwędzony udziec tapira albo pieczeń z kapibary (będące bez wątplenia częściami natury). Wtedy nikt nikogo nie goni, nikt też nie ucieka - wszyscy gromadzą się wokół ogniska i uczestniczą we wspólnym posiłku - a zbliżenie jest... jakby to powiedzieć... doskonałe. Bo czy można być bliżej kogoś niż kiedy się go ma w żołądku?

W tym kontekście zwierzęciem, które najbardziej łaknie zbliżenia z człowiekiem, jest jaguar. I takie zbliżenia też się zdarzają. Są jednak mało romantyczne, choćby z tego powodu, że jaguary nigdy nie rozpalają ognisk, [przyp. Autora]].

Posłuchajcie...

INTRUZ

Biały człowiek w dżungli to zawsze intruz. Czasami zaledwie niegroźny przechodzień - gringo poszukujący dzikich plemion, pełen szacunku dla wspaniałości tropikalnej puszczy - najczęściej jednak biały w dżungli jest agresywnym pogromcą.

Wpycha się do cudzego świata i wrasta weń jak huba w pień. Obce, szkodliwe ciało. Wrzód. Rak planujący kolejne przerzuty.

Dżungla nie jest jego domem - to po prostu pole do eksploatacji. Przybył tu z zamiarem szybkiego zdobycia majątku. Potem planuje wyjechać. A co po sobie zostawi?

Poszukując cennych kruszców albo ropy naftowej używa buldożerów i dynamitu. Dla pozyskania kilku ton szlachetnego drewna unicestwia ogromne połacie lasu. Potem spławia zdobycz rzeką, a sam zwija obozowisko i przenosi się dalej w głąb puszczy, by kontynuować zniszczenie. Zwierzęta na jego drodze ratują życie ucieczką, a rośliny... Rośliny tego nie potrafią.

Bywa też, że biały sieje spustoszenie ciche i na pierwszy rzut oka niewidoczne - wyłapuje rzadkie gatunki motyli, odławia ryby akwariowe, okazy egzotycznych zwierząt... Robi to metodycznie, skutecznie, doszczętnie.

Biały to pogromca. Skupiony na własnych celach; na interesach, które leżą daleko poza obszarem puszczy. On przecież nie przyjechał dorobić się majątku TUTAJ - w miejscu które eksploatuje, tylko TAM - w miejscach cywilizowanych, gdzie mu zapłacą za to wszystko, co wyrwał z tropikalnego lasu.

Nawet jeżeli biały mieszka tu na stałe, nawet gdy szczerze kocha przyrodę i traktuje dziką puszcze jak swój dom, nawet jeżeli się w niej zakorzenił i nie ma zamiaru nigdzie wyprowadzać, to jednak - na zawsze - pozostaje ciałem obcym.

* * *

Żaden biały nie potrafi się zasymilować ze światem natury tak, jak to robią Dzicy. Tego nie można się nauczyć - to się ma z urodzenia. We krwi. Krwi indiańskiej - żadnej innej.

Indianie dostosowują się, dostrajają do harmonii natury.

Biali przestrajają otaczający świat tak, by grał w ich własnym rytmie.

Biały, nawet ten najbardziej zdomowiony w dżungli i jej przyjazny, zawsze krok po kroku zmienia środowisko - to zew jego krwi. Stale tworzy i powiększa wokół siebie bąbel cywilizacji, z której przybył:

Najpierw karczkuje hektar puszczy i stawia przyczółek - drewniany dom kryty blachą falistą. Bąbel ma w tym stadium rozwoju około trzydziestu metrów średnicy.

Następnie instaluje antenę i radio charczące muzyką na kilkaset metrów dokoła - w takim promieniu milkną wszystkie ptaki. Pakują swoje gniazda i wynoszą się tam, gdzie nikt ich nie będzie uczyć nowoczesnego śpiewu. Ani zagłuszać.

Kolejne spęcznienie bąbla wywołane jest pojawieniem się generatora prądu. Słychać go wprawdzie tylko wieczorami, ale za to na kilka kilometrów we wszystkie strony. Teraz - śladem ptaków - także małpy opuszczają swoje ulubione gałęzie i odchodzą. Ryk silnika wyklucza obecność nie tylko osobników płochliwych, cicho - lubnych - przeciwnie - w pierwszej kolejności znikają gatunki najbardziej hałaśliwej czyli wyjce.

Te małpy porozumiewają się między sobą donośnym rykiem. Samce przez całą noc wznoszą przerażające okrzyki, które mają odstraszyć intruzów, a jednocześnie poinformować śpiących w ciemności pobratymców, że stado się nie zwinęło i nigdzie nie odeszło, że chociaż się wzajemnie nie widzimy, bo jest ciemna noc, to jednak nadal jesteśmy bezpiecznie blisko siebie. Wyjce traktują warkot generatora prądu jak odgłosy konkurencyjnego stada i natych-

miast usuwają się poza zasięg hałasu.

Pozostałe zwierzęta przegania swąd spalin.

Robi się pusto. (Jeśli nie liczyć moskitów, które - wiedzione zapachem ludzkiego potu - przybywają ochoczo z bardzo odległych stron.)

To nie koniec - bąbel cywilizacyjny białego człowieka nigdy nie przestaje pęcznieć. Jest stale rozdymany przez dopływ przedmiotów z zewnątrz, które mają życie w dżungli uczynić znośniejszym. Żywność przybywa w opakowaniach, napoje w plastikowych butlach, baterie do latarek, puszki, żarówki, nylonowe linki, płachty przeciwdeszczowe, różne miski, garnki i talerze, czasami lodówki na gaz, a wraz z nimi pojemniki z tym gazem - słowem cała masa przedmiotów, z których spora część ma planowo krótki żywot, dosyć szybko przestaje być potrzebna i...

Pozostaje.

Przecież po opróżnieniu, zużyciu, zepsuciu nie wywozi się ich tam, skąd przyjechały, tylko porzuca gdzieś w lesie. Większość tych rzeczy oczywiście ma szansę ulec naturalnemu procesowi biodegradacji, tyle że rozkładać się będą długo. (Puste plastikowe torebki rozkładają się po kilka tysięcy lat. TYSIĘCY.)

W tym czasie przyroda podejmie wiele desperackich prób samo - oczyszczenia, ale przegra.

Posłuchajcie...

TRUK ...

Na dnie tropikalnego lasu odpoczywa grupka spoconych wycieczkowiczów. W biurze turystycznym na innym kontynencie wykupili bilety i przyjechali tu spędzić egzotyczne „Wakacje nad Amazonką”. Teraz gaszą pragnienie z plastikowej butelki z napojem gazowanym. Dźwigali go tyle godzin, bo smakuje lepiej niż woda z błotnistego strumienia. Butelka krąży z rąk do rąk - trzeba wypić wszystko, bo ktoś zapodział zakrętkę.

Ocierają lepkie karki i czoła. Uspokajają oddechy. Niedługo znów ruszą w drogę.

Ich agresywny perfumowany zapach skrzywi kilka zwierzęcych nosów, ale dosyć prędko utonie w gnijącym powietrzu dżungli. Ślady ich stóp wkrótce podejną wodą i rozplyną się w błocie. Taka wizyta obcych jest w skali dżungli niezauważalna...

Chyba, że ktoś wypatrzy zakrętkę...

* * *

Plastikowa zakrętka od butelki po pepsi - coli ma rozmiar i kolor identyczny jak

twarde owoce pewnego gatunku palmy. Z tego powodu zostaje połknięta przez tukana. Potem ptak zjada jeszcze to i owo, a następnie syty i zadowolony odlatuje na swoją ulubioną gałąź.

Tam, zamiast zwyczajnego trawienia, przeżywa kilka godzin straszliwych męczarni, kiedy zakrętka przedziera się przez jego wnętrze prując je na krwawe szmaty.

W końcu tukan odbywa swój ostatni lot - spada z gałęzi na gnijące dno dżungli. Uderza o nie miękko, wydając ostatnie tchnienie.

- Piiiigh...

Prawie natychmiast jego ciało opadają różnorakie ścierwojady, w przeważającej liczbie robaki i mrówki. W ciągu kilku dni zostaje objedzony do szkieletu. I zapomniany.

O tym, że żył tu kiedyś piękny tukan, świadczy już tylko ogromny wielobarwny dziób porzucony w kupce pomiętych piór.

Obok - pośrodku garstki białych kostek - leży nakrętka pepsa - coli w kolorze owocu pewnej palmy. Następne zwierzę, które ją znajdzie i pożre, wyznaczy swoim truchłem kolejny punkt, do którego dotarła cywilizacja plastikowych torebek....

BULB

W tym samym czasie, wiele kilometrów stąd... ..w turkusowych falach Morza Karaibskiego śliczny żółw szylkretowy pod pływa właśnie do plastikowej torebki którą ktoś bezmyślnie cisnął do wody. Dla żółwia półprzezroczysta torebka unoszona odpływem wygląda jak smakowita meduza. Szkoda, że żółw nie ma przyzwoitego zmysłu smaku, pożre bowiem tę torebkę, a potem leniwie popłynie szukać kolejnych meduz.

Na razie nic mu nie będzie, bo to bardzo odporne zwierzę, ale po tygodniach bezskutecznego trawienia folii, żółw w końcu zdechnie. Powolnymi zakosami opadnie na dno i uderzy o nie lekko, wznosząc chmurkę złotego piasku - coś jak ostatnie podwodne tchnienie.

Wkrótce potem kraby i małe rybki - ścierwojady wyjedzą mu ze skorupy wszystko co miękkie i organiczne. Zrobią to metodycznie, ale bezrefleksyjnie - nie zdziwi ich, skąd w trzewiach żółwia wziął się otorbiony czop z resztkami wymiętoszonej torebki. Tak jak kilka dni wcześniej nie były zaskoczone, gdy inny żółw się... utopił.

Człowiek pewnie by się zastanawiał, jak to możliwe, że żółw morski zostaje topielcem. Niestety, świadkami takich scen nigdy nie są ludzie, tylko różne bezmyślne małe stworzonka. A one nam nie opowiedzą, że można się tak zaplątać w plastikową torbę po zakupach, że już nie da się z niej wypłynąć, by zaczerpnąć powietrza.

- Bulb...

JAK JEST W DŻUNGLI

Arkady Fiedler pisał, że gdy do ziemi nad Amazonką wetknąć parasol, to po dwóch miesiącach zakwitnie. Nieprawda, Nie zakwitnie. Ale dość szybko tuż obok niego wyrośnie drugi.

Dżungla to najbardziej płodny las świata, który bije wszelkie rekordy obfitości - na powierzchni równej jednemu boisku piłkarskiemu wprawny botanik znajdzie tam więcej gatunków roślin niż w całej Polsce! Mimo to, w tropikalnej puszczy można umrzeć z głodu lub pragnienia równie łatwo, jak na pustyni. Posłuchajcie...

W dżungli jest zawsze bardzo wilgotno - jak pod prysznicem - ale jednocześnie bardzo trudno znaleźć tam wodę pitną.

Chyba, że ma się do pomocy indiańskiego przewodnika, który potrafi rozpoznać odpowiednią lianę. Wiele lian po przecięciu obficie tryska sokiem, ale tylko kilka gatunków zawiera płyn nadający się do picia. Na dodatek trzeba wiedzieć, w którym miejscu przeciąć, żeby nam się wszystko w jednej chwili nie wylało na ziemię.

A strumienie, rzeczki i źródła?

Są. Ale znaleźć je to jeszcze za mało, aby przeżyć. Tylko Indianin, stały mieszkaniec puszczy, wie, który strumień niesie wodę *potable* (do picia), a który *lavable* (do mycia). Spragnionemu gringo oczywiście wszystko jedno, *co* pije - może być „do mycia” - problem w tym, że pijąc wodę *lavable*, a więc taką, w której Indianie się kąpią i załatwiają potrzeby fizjologiczne, dostaje się natychmiastowej biegunki. Bardzo *często* jest to któraś z odmian cholery, a najgroźniejsza zabija w trzy godziny.

W tym czasie zupełnie zdrowy człowiek odwadnia się do tego stopnia, że nie ma już dla niego ratunku. Nie pomaga picie, nie pomaga polewanie wodą... Pomogłaby - być może - kroplówka i sole fizjologiczne ale tylko podane natychmiast, a do najbliższej kroplówki jest stąd... sześć dni łodzią motorową. Indiańską pirogą jakież...

Dla chorego jedno i drugie oznacza Wieczność.

Każdy nierozważny intruz, który napił się łapczywie z nieodpowiedniego strumienia, wysycha na śmierć w najbardziej wilgotnym zakątku świata.

* * *

Równie łatwo jest tam umrzeć z głodu.

W dżungli pełnej tych wszystkich dzikich owoców?

Owszem. Większość z nich rośnie wysoko nad głowami - żeby je zdobyć trzeba być

małą i poruszać się w koronach drzew.

A zwierzęta? Polowanie? Na pekari (miniaturki naszych dzików), kapibary (gigantyczne wersje nutrii), tapiry (smakowite skrzyżowanie świni z cielakiem) i na wszystkie inne ptaki i ssaki co skaczą i fruują, i których pełno dookoła?

Owszem pełno. Przechodzą kilka kroków od ciebie. Ale ich nie wypatrzysz w gęstwinie i nie upolujesz żadną strzelbą, bo to tak jakbyś chciał polować na polu dojrzewającej kukurydzy - widoczność sprowadza się tu do ciągłego odgarniania liści sprzed nosa.

* * *

Żeby cię dżungla nie zagłodziła na śmierć, musisz poprosić o pomoc Indianina, który jest częścią otaczającej przyrody. A on zapewne każe ci zostawić strzelbę, zdjąć ubranie, nasmarować ciało łojem z gruczołów tapira i iść tuż za sobą. Ślad w ślad. Nie wolno się rozglądać ani oglądać. Nie wolno się zatrzymać, zamyślić, rozmarzyć... W dżungli musisz być stale skupiony! Na przetrwaniu! Bo dżungla zabija ludzi nieuważnych na tysiące sposobów.

Słuchajcie uważnie...

W tropikalnej puszczy rosną drzewa, których kora zraniona maczetą wydziela białą żrącą żywicę. Kropla na skórze lekko szczypie, podrapiesz to miejsce, a potem nieopatrznie zatrzęsiesz oko, i pozbawi cię wzroku na zawsze.

Widzisz krzak porośnięty dziwacznymi kwiatami w kolorze zielonym; chcesz podejść i zrobić zdjęcie. Lepiej nie, bo od zapachu najpierw zakręci ci się w głowie, a potem zwymiotujesz w nagłym ataku choroby morskiej - pyłki tej rośliny atakują błędnik. Na pół dnia.

Patrz uważnie, jak twój indiański przewodnik przechodzi przez zwalone pnie - nigdy na nich nie staje. Pozornie nieistotny szczegół... Do czasu, gdy noga ci się zapadnie po kolano w próchnicę i zostaniesz pokąsany przez jadowite skolopendry albo mrówki wielkości jednego cala! [Przypis: Jeden cal co 2,54 cm.

O tych mrówkach mówi się czasem „calówki”, a po hiszpańsku *veinticuatro*, czyli „dwadzieścia cztery” - i tu nic ma zgodności, czy chodzi o milimetry długości, czy godziny cierpienia po ukąszeniu. [przyp. tłumacza]]

Ból, jakby ktoś ci przykładał rozżarzone żelazo. Noga puchnie od kostki po pachwinę; gdybyś szedł w długich spodniach, trzeba by je przecinać.

Od jadu skolopendry chorujesz kilka tygodni, rana się obiera i gnije. Po ukąszeniu

mrówki - giganta zwała cię gorączka, na szczęście tylko na 2 - 3 dni. Chyba że cię ugryzły dwie...

A jeżeli ugryzło cię pięć - twoje problemy zdrowotne zakończą się jeszcze tego samego dnia. Na zawsze. I nie zdążysz napisać testamentu - odpłyniesz szybko do krainy bredni, bełkotów, piany z ust, gorączki i snu...

* * *

Trzeba przejść przez wodę po pas.

Przeszliśmy.

A teraz krótki postój i odrywanie 20 - centymetrowych pijawek. Nogi wyglądają jak kowbojskie spodnie z frędzlami. Chyba że stanąłeś na raję - płaszczkę z jadowitym kolcem. Wtedy zamiast o spodniach, trzeba raczej mówić o balonach meteorologicznych.

Wielu ludzi w Amazonii opowiadało mi o swoich spotkaniach z płaszczką - są one dosyć pospolite, poza tym lubią leżeć w płytkiej wodzie blisko brzegu, dlatego prędzej czy później każdemu, kto chodzi po dżungli, zdarza się nadepnąć... W przeciwieństwie do wszystkich innych Opowieści, historie o rajach były całkowicie pozbawione żartów. Zero poczucia humoru, podczas gdy na co dzień opowiadając o różnych innych nieszczęśliwych przypadkach ci sami ludzie zaśmiewają się do łez. Mówiąc o rai nikt się nie śmieje. Nikt.

Raja nie zabija.

Ale boli tak, że chce się umrzeć!

Ludzie przez okrągłe 24 godziny wyją z bólu... Dorośli mężczyźni płaczą... I nie ma sposobu by im pomóc - musi się wyboleć.

* * *

Po całym dniu marszu, lepki od potu chcesz się wykąpać w rzece...

- Nie skacz do wody!!!

Lepiej podglądaj swego przewodnika i rób d o k ł a d n i e to, co on. Patrz - wchodzi tylko po kostki, bo krok dalej są piranie, jadowite kolce, elektryczne węgorze i najbardziej przerażające ryby świata: *canero*. [Przypis: Są też oczywiście kajmany, no i królowa wodnych niebezpieczeństw ANAKONDA. Owija ofiarę, dusi, topi, i połyka w całości. Jeśli ktoś miał akurat lornetkę zawieszoną na szyi, to z lornetką. (W muzeum miejskim w Iquitos wystawiono do oglądania odchody anakondy zawierające lornetkę, pasek, mundur, a nawet wojskowe buty z cholewami pewnego poszukiwacza przygód. Ekspонат pochodzi z XIX w. Nowszych nie udaje się zdobyć, ale nie dlatego, że anakondy przestały jeść - po prostu w dzisiejszych trudnych czasach wszystkie porzucone w lesie lornetki, zamiast do muzeum,

trafiają na bazar.))]

Maleńki złocisty sum, który na co dzień żeruje w skrzelach większych ryb. Wpływa tam, zahacza się specjalnym kolcem i powoli wyjada krwiste mięso.

Niestety *canero* żywi się nie tylko rybami. Mogą być ssaki - na przykład tapir pokonujący rzekę wplaw, Tapiry wprawdzie nie mają skrzeli, ale można w ich ciele *znaleźć* kilka małych ciasnych otworów wyłożonych dobrze ukrwioną śluzówką, przez które łatwo się wdrzeć do środka. Wdrzeć, by pożreć. Od wewnątrz. Tapir może się miotać w bolesnym szale ile tylko chce - i tak nie strząśnie krwiożerczej rybki. Nie da się jej nijak pozbyć.

Instynkt i węch każą *canero* wpływać także we wszystkie otwory ludzkiego ciała. Do wyboru jest więc kąpiel w wodzie po kostki albo bardzo obcisłe kąpielówki, ale to już bez gwarancji, że *canero* się nie przegryzie.

Usunąć tę rybkę można jedynie operacyjnie, oczywiście pod warunkiem, że w pobliżu jest jakiś szpital oraz chirurg wyspecjalizowany w narządach wstydlivych. Niestety, nawet po udanej operacji niewielu mężczyzn ma szansę na ojcostwo.

MORAŁ:

Tak to jest w dżungli. Mniej więcej, bo przecież nie opowiedziałem Warn wszystkiego. Zaledwie zarysowałem po wierzchu. Wskazałem palcem kilka najbardziej oczywistych miejsc, w których czyha sobie niebezpieczeństwo. A teraz - być może - chcecie zapytać, po co w ogóle tam jeżdżę? Dlaczego ktokolwiek - nieprzymuszony - mógłby chcieć spędzić tam choćby chwilę? To proste - jadę po przygody. Takie, których nie odda żadna książka, ani najlepszy nawet film w telewizji. Jest jeszcze jeden powód. Zdziwiający nawet dla mnie samego: Powoli... baaardzo powoli... ale nieuchronnie... dżungla staje się moim domem.

GLÓD

W moim starym domu - Polsce - widuję chleb porzucony na bruku. Może dlatego, że ludzie tam nie wiedzą już, co to głód? Zapomnieli albo nigdy nie doświadczyli.

W dżungli - moim nowym domu - głód jest dla wszystkich codziennością. Kiedy Indianie mówią *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*, nie myślą o posiłku do syta, nawet nie o całym bochenku - oni ten chleb przeliczają na pojedyncze cienkie kromki. Na ułomki. Oraz na kilka ostatnich okruszków, które trzeba starannie zgarnąć, zlepić w kulkę i zjeść dziękując Bogu, że tego dnia było co włożyć do ust.

Posłuchajcie...

Płyniemy w górę tropikalnej rzeki - szerokiej, pozbawionej fal i bystrzyn, ale bardzo silnej. Ośmiometrowa piroga wydłubana w pniu mahoniowca, a przy wiosłach ja i moi przewodnicy.

Głodujemy.

Do jedzenia została nam tylko *fariña*⁶¹ - suche krupy z utartego manioku wyprażone nad ogniem. Jest tego wprawdzie cały worek, ale my potrzebujemy energii, podczas gdy maniok odżywia mniej więcej tak, jak źródłana woda albo górskie powietrze.

[Przypis: *Fariña* - indiański chleb powszedni w formie suchych krup, czyli... w granulacie. Jest jeszcze Wersja niegranulowana - przypominająca placki - nazywa się co wtedy *cassava*. Surowiec wyjściowy jest w obu przypadkach identyczny - maniok i nic więcej - tylko forma podania inna. Jeżeli w trakcie prażenia wilgotny utarty maniok się stale miesza - powstaje *fariña*, jeżeli zaś uklepie się z niego placki, wychodzi *cassava*. Smakowo jedno od drugiego różni się tak jak bułka od bulki tartej. W podróż łatwiej zabrać worek granulatu, [przyp. tłumacza]]

Popijamy go wodą. Pęcznieje w żołądku i świetnie oszukuje głód, ale nie odżywia. Każdy z nas zdaje sobie sprawę, że coraz ciężiej jest mu unosić wiosło - opadamy z sił.

W oczy zagląda nam Głód.

Tuż za jego plecami czeka sobie spokojnie Śmierć.

Ona się nie śpieszy, najpierw przepuszcza przodem Klótnie, potem jakąś Chorobę. Bywa, że tuż przed nią, chichocząc jak hiena, kroczy Kanibalizm. Wyciąga do ludzi rękę i mówi:

- Chodź, ja ciebie przed Śmiercią uratuję. Niekiedy naprawdę ratuje.

* * *

W dżungli żywność psuje się bardzo szybko. Nawet zamknięta hermetycznie. Dlatego zabieranie zapasów na drogę dłuższą niż kilka dni nie ma sensu. Puszki z mięsem pęcznią, nadymają się, zaczynają stękać, a potem przy pierwszej próbie otwarcia sikają w twarz. Ich sfermentowana zawartość w niczym nie przypomina uśmiechniętego prosiaczka widniejącego na etykiecie.

Próżniowe torebki z plastiku powlekanego aluminium, zawierające ryż, makaron, kaszę itp. wbrew solennym zapewnieniom producenta nabierają powietrza albo wody, a po otwarciu znajdujemy w nich najczęściej stadko białych larw, niezadowolonych z tego, że ktoś nagle zapalił światło.

(Właśnie układały się do przepoczwarzeń, a do tego nie jest potrzebne ani światło, ani to wielkie ludzkie oko, które się na nie gapi z góry.

- Aaa! Dlaczego od razu w ognisko!? Nie można nas było wyrzucić w butwiejące liście?)

Tylko *fariña* przez wiele tygodni nie poddaje się ani robakom, ani pleśni, ani zgniliznie.

To dlatego, że zawiera śladowe ilości cyjanku.

To z jego powodu przed spożyciem surowy jeszcze maniok płucze się wielokrotnie w wodzie, potem osącza i odciska, ale mimo tych wszystkich zabiegów odrobina cyjanku zawsze pozostaje.

Dzięki niemu tubylcy nie zapadają na wiele chorób przewodu pokarmowego, które uśmiercają przybyszów spoza dżungli. Małe dawki cyjanku przyjmowane doustnie, codziennie, przez całe życie, chronią Indian przed atakami ameby, tasiemca, łagodniejszych odmian cholery, czerwonki itp.

Za to najłżejsze nawet choroby płuc - lekka grypa, angina, albo nawet zwykły katar - powalają ich od razu i często na zawsze.

* * *

Zamiast prowiantu na tę wyprawę, jak zwykle, zabrałem myśliwego - kosztuje to o wiele mniej niż kilku tragarzy niosących zapasy na plecach albo dodatkowa łódź i wiosłarze. Poza tym myśliwy poluje codziennie i w ten sposób zapewnia nam stale świeżą żywność.

Tym razem niestety nic mi po nim - od tygodni padają ulewne deszcze, a wtedy nie ma na co polować. Zwierzyna przestaje podchodzić do rzeki - pragnienie gasi gdzieś w głębi łądu, w przypadkowo napotkanych kałużach. Nie sposób przewidzieć gdzie, więc nie wiadomo, gdzie się na nią zasadzić.

W taki czas w Amazonii nawet ryby nie chcą brać. W Polsce deszcz to pogoda dla wędkarzy, a tutaj odwrotnie. Strugi wody spłukują do rzeki tyle mułu, że wszelkie wodne stworzenia tracą orientację - ani nic nie widzą, ani nie są w stanie wywachać. Stoją więc w szuwarach i czekają, aż błoto odpłynie i woda się trochę przejaśni.

A my w tym czasie głodujemy...

* * *

Dziewiątego dnia o zmroku, nagle, jak na komendę, zaczęły brać ryby.

W naszym czólnie euforia!...

...ale tylko przez chwilę...

Żadnej nie udaje nam się wyciągnąć z wody. Jeszcze pod powierzchnią zostają pożarte przez piranie.

W wodzie pod nami kłębi się ich spore stado. Są oszalałe. One też głodowały i teraz próbują to nadrobić.

Przypląnęły zwabione tą maleńką kropelką krwi, która pojawia się, kiedy haczyk przebija rybią wargę. A ponieważ rzucały się najpierw na tę krew odgryzały nam zdobycz z haczyków.

Czasami wyciągaliśmy którąś rybę ponad wodę - na moment - były całe oblepione piraniami. Wyglądały, jak turpistyczne winogrona z koszmarów szaleńca.

* * *

Indianie mówią, że piranie są głupie. Potrafią godzinami pływać głodne w pobliżu tłustej ryby, ale jej nie ruszą dopóki ta się nie skaleczy. Tak jakby wcześniej jej nie widziały. Za to kiedy poczują krew...

Z „aał” zostaje wtedy zaledwie: ...a!

... i można je wówczas łapać nie na haczyk z przynętą, lecz na zwykły kawałek grubego kija. Wystarczy jego koniec umoczyć we krwi i zanurzyć pod wodę. Piranie wgryzają się w drewno tak mocno, że sieje swobodnie wyciąga z wody. Trzeba tylko potem uważać na palce - pirania rzucona luzem na dno łodzi, potrafi jednym chlapnięciem odgryźć kawał pięty, albo palec u nogi. To są jedyne ryby, które zabija się natychmiast po złapaniu.

* * *

Wieczorem, tuż przed porą kolacji, prawie pozbawieni nadziei, znaleźliśmy na środku rzeki wielką spuchniętą rybę. Unosiła się na wodzie, widoczna z daleka. Była napoczęta przez piranie, ale z jakiegoś powodu niedokończona. Prawdopodobnie wyzarły z niej wszystko, co zdrowe, a resztę - nadpsutą padlinę - pozostawiły dla nas.

Po tylu dniach głodowania nikt nie wybrzydzał. Upiekliśmy ją na ogniu i jedliśmy niecierpliwie, półsurową, parząc sobie przy tym palce i podniebienia.

Do tego podałem ostatni „Gorący Kubek”, jaki uchował się przypadkiem na dnie bagaży. On też, tak jak ryba, był napoczęty - chyba przez mrówki, albo coś podobnego, co pozostawia po sobie małe białe larwy.

Popatrzyłem na nie z góry... a potem zalałem dwoma litrami wrzątku.

- „Gorący Kubek” z knorrkami - powiedziałem moim Indianom. [Przypis: A może co byty winiarki... One mają lepszy smak.]

Indianie nie powiedzieli nic. Siedzieli w kucki i mlaskali. Każdy starał się wyssać z ości to, czego tam nie było.

Sypnąłem jeszcze do garnka ze cztery garście manioku i to była najwspanialsza uczta, jaką pamiętam.

MORAŁ:

Bieda bywa błogosławieństwem. Niedostatek szkołą mądrości. Indianie - w Brazylii, w Peru, w Kolumbii - gdziekolwiek ich spotykam, są moimi najlepszymi „profesorami”.

MOTYL ŚMIERCI

Motyl - bardzo delikatne słowo. Zwiewne; zupełnie jak... motyl. Po angielsku też jest delikatne - *butterfly*. Na piśmie niekoniecznie to widać ale proszę mi uwierzyć - ono brzmi jak aksamit. Jest takie... maślane.

Po francusku, z kolei, śliczne, drobniutkie - *papillon*.

Po hiszpańsku, urocze - *mariposa*.

Po rosyjsku, kochane - *babočka*.

A po niemiecku SCHMETTERLING! No cóż.

[Przypis: Mam wrażenie, że język może wpływać na zachowania osób, które się nim posługują.

Niemiecki i japoński w swoim brzmieniu przypominają komendy wojskowe - może więc wojny światowe miały swoją przyczynę lingwistyczną. Z kolei w czasach pokoju takie wojskowe języki sprzyjają dyscyplinie pracy i ogólnemu porządkowi na ulicach.

Języki arabskie przypominają chrapliwe obelgi rzucane interlokutorom - no i nie od dzisiaj wiadomo, że plemiona Arabów stale ze sobą wojują, przy czym większość tych wojen to jakieś starożytne wendety, rodowe konflikty dziedziczone z dziada pradziada.

Język wioski przypomina rausz - stan umysłu już nie trzeźwy, choć jeszcze nie pijany - to nie jest nastrój do pracy, raczej do zabawy albo głośniejszej sprzeczki o byle co, prawda?

Chiński - *ping - pong ciang mong sing* - hm... brzęczy, dźwięczy, grosz do grosza, ziarnko do ziarnka, i w ten sposób Chińczycy opanowali światowy handel.

Francuski - buzia często ściągnięta w ciup - wyniosły i trochę niezadowolony.

Rosyjski... Mnie się zawsze przypomina tylko jedno słowo: UURRAAAA.

Polski - *rższcz, śćrw* - zawistny i złośliwy. Świetny do narzekania i obmowy. (Pewnie

dlatego, kiedy z moją żoną mamy do omówienia jakiś trudny problem, wymagający rozwagi i umiejętności negocjacyjnych, wówczas rozmawiamy po angielsku. A szczęście i radość najłatwiej nam wyrazić po hiszpańsku - *karnawał, balanga, maniana, samba, rumba i tango, copacabana i tropicana, bajobongo, bonanza, ananas, babnanas i Viva Las Vegas!*)]

* * *

Motyle w Amazonii są tak piękne, że zapierają dech w piersiach.

Trudno sobie wyobrazić, by mogły kogoś skrzywdzić. Czym? Bezgłośnym trzepotem skrzydeł?

A jednak - bywają groźne. Przerazające. Do tego stopnia, że zapierają dech w piersiach - tym razem dosłownie. I definitywnie. Raz na zawsze...

Leci sobie *babočka*, leci *papillon*, leci *mariposa*,... i nagle okazuje się, że to jednak !!!SCHMETTERLING!!!

Posłuchajcie...

WYPRAWA NA ŁOWY

Kilka dni przez dżunglę. Mroczno. Duszno. Gorąco.

To było prawdziwe indiańskie polowanie. Z dmuchawkami. A także z codziennym rytuałem zabijania ludzkiego zapachu przez dokładne smarowanie ciała zwierzęcym łajnem.

- Na całym ciele, gringo. Razem z włosami i twarzą! Koło nosa i ust nakładaj najgrubiej, bo tu się będziesz mocno pocić.

- Yhm?

- Tak. Teraz jest dobrze... Oddychaj, gringo, bo się udusisz. Kiedyś w małym sklepie myśliwskim w USA zaproponowano mi specjalne „perfumy” - domowej roboty - które dają ten sam efekt, co zwierzęce łajno. Nazywały się „Swąd do wieczności”, albo „Swąd ostateczny” - dokładnie nie pamiętam, ale na pewno coś w tym guście.

Powąchałem je i szybko opuściłem sklep, w przekonaniu, że właściciel jest niebezpieczny dla otoczenia. Jedna fiołka „Swądu” wrzucona do systemów wentylacyjnych Pentagonu i trzeba by zbudować nowy. (Pentagon.) Ta sama fiołka upuszczona z niezdarnej łapy na podłogę w prywatnym garażu albo w kuchni, i trzeba by przewietrzyć cały powiat.

Teraz, w dżungli, pożałowałem tamtej decyzji - ach, gdybym miał przy sobie „Swąd”...

Jego zapach, podawany w higienicznych kropelkach, punktowo - na przykład na skórę za uszami lub na kołnierzyk - to byłoby ciacho z kremem waniliowym w porównaniu z

obowiązującą mnie obecnie Indiańską Procedurą Maskującą (IPM).

Polegała ona na zanurzaniu dłoni w burozielonych plackach pozostawionych przez dzikie zwierzęta (moim zdaniem cierpiące na żołądek); a potem się człowiek dokładnie nacierał i w ten sposób stawał niewidzialny dla zwierząt.

Czasami, kiedy nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego placka, stosowaliśmy zastępczo suche bobki.

Były wielkości małych pączków. Pochodziły z tego samego... źródła, co placki, ale miały tę wadę (poza wszystkimi wadami o.c.z.y.w.i.s.t.y.m.i), że były twarde i trzeba je było wstępnie namaczać.

Potem i tak szorowały skórę, jak pumeks, za to pachniały zdecydowanie bardziej. Bardziej niż pumeks potrafi pachnieć wszystko, a one pachniały bardziej niż cokolwiek kiedykolwiek gdziekolwiek. Jasne?!

Moich Indian to bardzo cieszyło, a ja, ku własnemu zdziwieniu, powoli przestawałem mieć zdanie.

Kilka dni przez wilgotną dżungłę...

...monotonny marsz od świtu do nocy...

...codziennie dwanaście godzin...

...z plecakiem...

Mroczno...

Duszno...

Gorąco...

...Taki drobiazg jak zapach tracił znaczenie.

* * *

Szliśmy we trójkę. Dwóch czerwonoskórych i jeden biały. A jednak - gdyby ktoś na nas popatrzył z boku - nie różniliśmy się kolorem - wszyscy jednakowo sraczkowaci (IPM), pardon, w barwie gnijącego podłoża pod naszymi stopami.

Ponieważ zwierzynę najłatwiej spotkać przy wodopoju, wybraliśmy trasę wzdłuż małej rzeki bez nazwy...

* * *

Właściwie to ona miała nawet dwie nazwy, ale tylko w miejscowych narzeczach, więc się nie liczy.

Pierwsza - łatwiejsza w wymowie - brzmiała mniej więcej tak, jak robi człowiek, któremu w gardle stanęła ość. W poprzek.

A na tej ości zawiesiło się kilka nitek spaghetti.

I zupełnie niechcący, wciągnęliśmy je w nie tę dziurkę, w wyniku czego jego końce furkoczą nam właśnie wewnątrz płuc. Chłuszcząc je od środka...

A teraz spróbujcie to jakoś sensownie zapisać i nanieść na mapę.

Ha! Mówiłem, że ta nazwa się nie liczy.

W języku sąsiedniego plemienia nazwa rzeczki przedstawiała się jeszcze gorzej - wybrano bowiem jedno z tych indiańskich słów, które dla białego człowieka są w normalnych warunkach niewykonalne - żeby je wymówić musiałbym mieć dodatkowy nos. I katar.

W zapisie trzeba by używać wyłącznie liter m, n i b wraz z dołączoną instrukcją obsługi, jak to czytać. Poszczególne m, n, b zostałyby uzbrojone w całe chmary akcentów, apostrofów i innych drobnych kreseczek oznaczających miejsca, gdzie w danym słowie pojawiają się dźwięki, których nie słychać.

Po co je w takim razie zaznaczać, skoro potem i tak nie słychać?

Bo są!

Indiańskie języki zawierają mnóstwo dźwięków, o których powiedzielibyśmy, że ich w ogóle nie ma. Jednak - mimo że niesłyszalne - istnieją. Ba, je się w y p o w i a d a: bezgłośnym ułożeniem ust, bezdźwięcznym ruchem języka, niesłyszalnym skurczem krtani. Bez tych... bezgłośnych głosek i... bezdźwięcznych dźwięków, wyszłoby nam zupełnie inne słowo.

Wprawdzie w białym uchu brzmiałoby ono dokładnie tak samo, ale Indianie natychmiast wychwytyją różnicę. Taka różnica, jakkolwiek subtelna, okazuje się zwykle kluczowa.

(Uderzenie młotem w kowadło pozostaje uderzeniem młota w kowadło - ot zwyczajne DZYNŃŃŃ - subtelna i kluczowa różnica pojawia się wtedy, gdy ktoś przy okazji trafi w koniuszek palca. Albo inaczej: Uderzyliście się kiedyś w mały palec u nogi? Wtedy najczęściej zapada cisza, a jednak jest to cisza bardzo hałaśliwa - wypełnia ją pozbawione słów podskakiwanie na jednej nodze - jakże wymowne.)

Oto przykład:

W języku pewnego plemienia z dorzecza Rio Negro, różnica między „Chcesz jeść?“, a „Chcesz w zęby?“ polega tylko na tym czy te same słowa mówi się wypuszczając powietrze z płuc normalnie - czy na wdechu.

Z tego powodu pewien kościół misyjny, który specjalizuje się w tłumaczeniu Biblii na języki indiańskie, miał poważny dylemat, czy tłumaczyć ją także na język wspomnianego plemienia - taka Biblia odczytana na wdechu stałaby się automatycznie swoją odwrotnością -

biblią szatana - miejsce miłości i chleba zajęłoby nienawiść i kamienie. Zamiast „głodnego nakarmić”, pojawiłoby się - „lej w zęby darmożjada”. Te same słowa - tylko tchnienie „do się”, zamiast „do bliźniego”.

* * *

Tak czy owak szliśmy wzdłuż tej rzeczki we trójkę. I gęsiego.

Ja na końcu, z instrukcją, żeby robić dokładnie to, co moi przewodnicy. Miałem nawet stawiać stopy na ich śladach, żeby nie podeptać czegoś co kąsa albo kłuje i ma jad.

Taki sposób maszerowania jest irytujący, ale w pewnych okolicznościach jedyny. Wokół nas była dżungla podmokła. Najgroźniejsza. Ścieżki wycięte maczetą zablizniały się po kilku godzinach. Ślady odcisnięte w grząskim gruncie natychmiast podchodziły wodą i znikwały, jak topniejący воск. Gdybym się tu zgubił, nie miałem szans. Nikt nie miał. Nawet Indianie. Po tej części puszczy chodzili zawsze parami, albo w większych grupach - nigdy samotnie.

Na terenach bardziej suchych nie ma takich problemów. Jeszcze wiele dni po przejściu daną trasą, doświadczony myśliwy potrafił odnaleźć własne ślady. Tutaj nie. O tamtej dżungli Indianie mówili „las”, albo „dom”. O podmokłej - w której byliśmy teraz - mówili „dzicz”. Nawet oni.

Wyraźnie czuli przed nią respekt. Niekiedy nawet strach.

W ogóle się nie odzywali.

A jeżeli, to pojedynczymi słowami.

I tylko szeptem.

W pewnej chwili obaj padli plackiem na ziemię i ukryli twarze w dłoniach. Potem w popłochu zaczęli się cofać w moją stronę. Głowy trzymali tuż przy gruncie. Ryli nimi w błocie i liściach, jakby się chcieli zakopać.

Zgodnie z ogólną instrukcją zrobiłem to samo. To znaczy padłem na ziemię, osłoniłem twarz rękami i po omacku zacząłem się czołgać do tyłu. Tylko po co to wszystko?

- Nie oddychaj, gringo, bo się udusisz - krzyknął w moją stronę jeden z Indian.

Nie oddychałem. Bo nie da się oddychać błotem.

- I nie patrz! - dodał drugi.

W ten sposób uratował mi życie, bo właśnie chciałem uchylić jedno oko i sprawdzić przed czym uciekamy.

* * *

Motyl zabójca.

Brzmi to jak fikcja wyjęta z horroru Stephen Kinga. Tyle że takie motyle istnieją naprawdę.

Są bardziej jadowite niż węże.

Wydzielają truciznę, która krystalizuje, tworząc na ich ciele maleńkie igiełki - coś jak wata szklana albo ostre pyłki azbestu. Kiedy taki motyl czuje się zagrożony, gwałtownym ruchem strzepuje skrzydła. Wtedy kruche drobinki jadu odłamują się i zaczynają, unosić w powietrzu.

Obłoczek śmierci...

...prawie niewidoczny...

...coś się lekko skrzy... migocze...

Potem migocze serce, i to już.

Koniec. Zapadła wieczna ciemność. Albo jasność. (W tej kwestii nie ma zgody, więc pewnie zapadają obie naraz.) Małpa zdycha w okamgnieniu. Człowiek tylko odrobinę dłużej. Jeden wdech i wydaje ostatnie tchnienie. Bramą śmierci jest w tym przypadku śluzówka nosa, krtani, oskrzeli, albo półotwarte oko. Mówią, że krew tężeje jak smoła. Bzdury. Do tej pory nikt nie miał szansy opowiedzieć, czy mu coś stężało.

* * *

- To był [...] - w tym miejscu Indianin wypowiedział słowo, do którego biali potrzebują trzech nosów.

- *Mariposa de Muerte* - przetłumaczył drugi.

- Motyl Zabójca? Jak wyglądał? - zapytałem wypluwając błoto.

- Nieciekawie. Jest zupełnie zwyczajny, w kolorze [...] - teraz Indianin użył słowa, którego odpowiednikiem byłoby: „barwagijnącegopodłożapodnaszymistopami”.

- Wredny szmeterling - zakląłem pod nosem patrząc na moją połamaną dmuchawkę.

Indianie nie powiedzieli już nic więcej. Patrzyli tylko... w y m o w n i e. Tak, jak to potrafią robić wyłącznie Dzicy. I koty.

Kilka dni wcześniej proponowali mi za tę dmuchawkę kilka innych, obiektywnie lepszych, ale ja nie chciałem się wymienić - byłem bardzo przywiązany akurat do tej. Pochodziła z plemienia, którego już nie ma. Powiedziałem nawet, że dałbym się za nią zabić. (A, jak już wiecie, Indianie traktują wszystko nadzwyczaj dosłownie.)

Człowiek przez całe swoje życie papie. I wygaduje tyle różnych bzdur... Muszę wziąć przykład z Indian - mniej słów, a więcej znaczących dźwięków, których nie słyhać. Więcej ciszy... która mówi.

MORAŁ:

Słuchajcie ciszy... Usłyszycie Mądrość. Odnajdziecie Spokój. Właściwy dystans do spraw, ludzi i przedmiotów. Znajdziecie czas, którego Wam brakowało. Słuchajcie ciszy I mówcie ciszej. Ciii... Sza!

ŁOWCY MOTYLI

Znawcy tematu twierdzą - wyjątkowo zgodnie - że najpiękniejsze motyle żyją w Puszczy Amazońskiej. Chyba mają rację - widziałem ich już tyle (motyli, nie znawców), a zawsze jestem na nowo zachwycony. Tubylcy zresztą też - wielokrotnie byłem świadkiem, jak Indianie zatrzymywali czółno, żeby popatrzeć na taniec motyli nad wodą. I trwali tak, oczarowani, dobre kilka minut. Ich twarze, o dzikich rysach i kolorze ciemnej miedzi, przybierały wtedy ten sam wyraz, który maluje się na twarzach osób zwiedzających ekspozycje motyli w Muzeach na całym świecie - rodzaj oniemiałego niedowierzania, że to wszystko prawdziwe, że naturalne, że nikt nie podmalował skrzydełek...

W Europie i Stanach Zjednoczonych są kolekcjonerzy gotowi płacić ciężkie pieniądze za odpowiednio spreparowane rzadkie okazy. To niezły zarobek, więc zawsze mnie ciekawiło, w jaki sposób motyle z dżungli trafiają potem do wystawienniczych gablotek? Kto je łapie? I jak to robi?

Posłuchajcie...

POLOWANIE Z SIATKĄ

Jeśli chodzi o gatunki nocne, nie stanowi to większego problemu: Na kawałku otwartej przestrzeni - a więc nad brzegiem rzeki albo na środku indiańskiej wioski lub karczowiska - rozpiną się pionowo gęstą siatkę. Za siatką umieszcza się mocne źródło światła (wystarczy porządna latarka) i czeka - owady przylatują same. Wybiera się je na bieżąco, robiąc przy tym pierwszą selekcję. Każdy okaz można dokładnie obejrzyć jeszcze przed złapaniem, więc jest okazja powybrzydzać.

Bardzo pięknie, ale jak złapać motyle, które w nocy śpią?

Tradycyjna siatka na kiju raczej odpada, bo większość interesujących nas gatunków żyje wysoko w koronach drzew. Cały dzień przebywają pośród słońca, kwiatów i świeżego powietrza, czyli wiele metrów nad ziemią. Wleźć tam jest bardzo trudno.

Oczywiście robi się takie rzeczy (na przykład po to, by filmować małpy), ale do tego

potrzebny jest sprzęt wspinaczkowy. No a potem co? Kamera ma teleobiektyw, więc można się za jego pomocą do małpy „przybliżyć”, ale siatka na motyle ma tylko kij. Trzeba by godzinami czatować w jednym miejscu, aż coś zechce do nas podlecieć, bo przecież człowiek nie małpa i skakać za motylem z drzewa na drzewo nie potrafi.

W tej sytuacji można by machnąć ręką na gatunki wysokościowe i skupić się na tych przyziemnych, ale przy ziemi wcale nie jest łatwiej. Dżungla to nie park miejski - jest gęsta. Za pierwszym razem człowiek ma wrażenie, że spaceruje wewnątrz żywoplotu. A jeżeli ma przy sobie siatkę na motyle, to dość szybko przestaje spacerować i tkwi zablokowany w chaszczach.

Jak więc oni je łapią? Bo przecież jakoś łapią, prawda?

Robią to w sposób... naukowy:

Najpierw trzeba zbadać (czyli np. zaobserwować przez lornetkę), co dany motyl (może być wysokościowy - obojętne) lubi. Co jada na śniadanie, czym się interesuje i jak to p a c h n i e. Bo motyle myślą powonieniem.

Następnie trzeba to wszystko odtworzyć, w postaci silnie pachnącego koncentratu. Powstaje „donośna” iluzja, którą mają zwęszyć motyle unoszące się wysoko nad naszymi głowami.

Odbierają sygnał, że gdzieś tam na dole, w piekle dżungli, otwarto motyli odpowiednik rajy na ziemi. Przybywają więc, z całej okolicy. Zwiedzone zapachową fatamorganą, otumanione wizjami niebywałej uczty czy orgii. Wbrew instynktowi sfruwają na mroczne dno lasu.....a my wtedy... podchodzimy po cichutku... na paluszkach... A potem... niespodziewanie... CAP JE W SIATKĘ!

Do tego miejsca, była to znana wszystkim łowcom motyli t e o r i a. Którą, mało kto potrafi zastosować w praktyce, bo praktyka jest - oględnie mówiąc - zniechęcająca:

- Najpierw godzinami... dniami... tygodniami... wisimy na linie, podwieszeni na szczycie najwyższego drzewa w okolicy, skąd, za pomocą lornetki, śledzimy ruchy interesującego nas gatunku motyla.

- Potem wspinamy się na wszystkie sąsiednie drzewa, aby pozrywać te kwiatki, lub owoce, na których delikwent siadał najczęściej.

- Następnie poddajemy nasze zbiory analizie chemicznej i zapachowej, co w warunkach dżungli nie jest łatwe.

- I wreszcie syntetyzujemy eliksir, który ma imitować wszystko, o czym motyl marzy, ale boi się do tego przyznać. Większość łowców rejteruje właśnie w tym punkcie - nie udaje im się odpowiednia synteza i całe miesiące ich żmudnej pracy idą na marne.

Problem w tym, że nie wystarczy zgromadzić w jednym miejscu przyzmy ulubionych przez danego motyla kwiatków - on przecież takie same kwiatki ma tam na górze, więc po cóż miałby się fatygować do nas? W tej sytuacji, nasze kwiatki muszą być w jakiś sposób lepsze od tych na górze. Muszą pachnieć mocniej, słodziej, bardziej smakowicie. To musi być kwintesencja pokusy. Nieodparta. [Przypis: Coś jak zaproszenie od dziewiętnastoletniej studentki AWF - u, która pragnie nas uszczęśliwić za wszelką cenę i bez zobowiązań, a ponadto na samym wstępie wręcza nam liścik od naszej własnej żony z życzeniami: „Baw się dobrze, kochanie.”]

Kto potrafi wyprodukować coś takiego, ten zostaje królem polowania.

KRÓL POLOWANIA

Kilka lat temu spotkałem Polaka, który zaopatruje w motyle największe światowe kolekcje - a to Sorbonę, a to British Museum - wszystko za odpowiednią cenę. [Przypis: Czytaj: horrendalną! (przyp. główna księgową* British Museum)]

* Poprzednio - przez całe lata - funkcję tę piastował mężczyzna. Pewnego dnia, niespodziewanie dla wszystkich, odszedł na przedterminową emeryturę. Chwilę wcześniej trzasnął drzwiami i powiedział, że nie godzi się wypłacać TAKICH! sum za tekturowe pudełka pełne robaków i szpilek. Dla podreperowania nerwów lekarze zalecili mu dłuższy pobyt w Szkocji]. Płaczą, ale płacą, ponieważ on jeden nigdy nie wybrzydza, nie mówi, że się nie da - zawsze dostarcza, czego tylko sobie zażyczą, a oni - zadowoleni i wściekli jednocześnie - zamawiają u niego coraz rzadsze gatunki. Albo nawet takie, o których się mówi, że już wyginęły. [Przypis: Ostatnimi laty motyle zdychają jak muchy. To od morowego powietrza, które wysyłamy im z Europy i Ameryki Północnej. Jedna kropla kwaśnego deszczu na skrzydełka i po ptokach. Na szczęście większość tych deszczów do Amazonii nie dolatuje. W ramach swoistej wymiany międzynarodowej wracają do nadawców: czeskie spadają w Polsce, polskie w Szwecji, szwedzkie w Niemczech, niemieckie w Czechach, czeskie w Polsce... i tak dalej...]. Potem zaś nie mogą wyjść z podziwu, że facet łapie to, co inni jedynie oglądają na starych rycinach albo przez bardzo długie lornetki.

A najbardziej dziwią się wtedy, gdy on przywozi to, czego jeszcze nikt nigdy nie miał okazji oglądać.

Chłop ma do tych rzeczy nadzwyczajną smykałkę i w trakcie każdej wyprawy łapie kilka motyli nieznanymi nauce, W dodatku w ilościach, które pozwalają opisać i

zarejestrować nowy gatunek. A odkrywca, jak wiadomo, ma prawo nadać odkrytemu przez siebie gatunkowi imię...

Pierwszym kilku nadał swoje własne.

Imię, potem nazwisko, drugie imię, imię od bierzmowania, ksywkę ze szkoły... - *Co by tu jeszcze?* - ...imię żony, dziecka, kumpla, z którym chodzi na ryby... - *A teraz, eee... już wiem!* - ...imię kota, psa, ulubionej drużyny piłkarskiej, gatunku piwa...

- *Co mówisz, kochanie?* - ...TEŚCIOWEJ... - *Ależ oczywiście, Żabciu. Ja po prostu planowałem, że w przypadku Mamusi to będzie jakiś... bardziej dostojny motylek, ale jeżeli trzeba już teraz, natychmiast, to naturalnie, nie ma sprawy.* - ...a potem, jak się pewnie Państwo domyślają, twórca stracił kontrolę nad swoim dziełem.

Już nie odkrywał nowych gatunków, lecz realizował konkretne zamówienia.

Bo o „swoje” motyle przymawiali się wszyscy, którym jakoś nie wypadało odmówić. Fala roszczeń rosła i nabrzmiewała nieprzyjemnie. Ale nie zdołała przerwać tam - przeciwnie - pewnego dnia cofnęła się w popłochu. I znikła.

A było to tak, posłuchajcie...

Najpierw, w najnowszym internetowym wydaniu Katalogu motyli pojawiła się rażąca oko niekonsekwencja: niewinny i płocho z natury amator kwietnego nektaru otrzymał imię *Barbara* (na cześć teściowej).

Po polsku niekonsekwencji nie widać, ale przecież motyle mają nazwy łacińskie, a w łacinie *Barbara* pasuje bardziej do gladiatora niż do rusałki. Kojarzy się z kimś, kto z drewnianą maczugą gania po parku w poszukiwaniu marmurowych posągów. Potem utracą im wszystkie wystające członki i leci dalej. Oczywiście nie po to, by wachać kwiatki, ale w celu czynienia dalszego barbarzyństwa.

Rok później, w kolejnej edycji Katalogu motyli, pierwotną, prostą nazwę *Barbara* rozbudowano.

Stało się to konieczne, ponieważ ktoś [Przypis: Czytaj: *zięć*. Czytaj, ale bardzo proszę, dla dobra nauki, pod żadnym pozorem nie powtarzaj Mamusi, [przyp. Anonim]] pochwyił bliskich krewniaków motylka teściowej. Były to - mówiąc językiem przystępnym - inne wersje karoserii z tym samym silnikiem.

W konsekwencji pojawiły się nazwy pochodne: *Barbara barbarus* i *Barbara barabara* (miało być oczywiście *Barbara barabara*, ale ktoś zrobił błąd w przepisywaniu). Najgorsze było co, że skoro motylek teściowej przestał być jedynym znanym przedstawicielem swego

rzędu, modyfikacji musiała ulec także i jego nazwa...

Uzupełniono ją o zwyczajowy w takich przypadkach człon *vulgaris* i wyszła z tego: *Barbara vulgaris*. (Bardzo adekwatne do tego, co powiedziała t., kiedy się o tym dowiedziała.)

Po tym niefortunnym wydarzeniu prośby o nadawanie motydom imion konkretnych osób ustały jak ręką odjął, a ich łowca mógł powrócić do dżungli. Tam łapie, czego inni złapać nie potrafią.

ŁOWCA ZAWODOWY

A czym nasz mistrz wabi motyle?

Zdradził mi tylko jeden ze swoich sekretów, co zrozumiałe, bo nie znaliśmy się wtedy prawie wcale.

On widywał moje programy w telewizji, a ja jego zobaczyłem po raz pierwszy też w TV, w jednej z porannych audycji dla nierobów (normalny człowiek o 8 rano pracuje albo się śpieszy, ale na pewno nie patrzy w ekran). Opowiadał wtedy o swojej niedawno zakończonej wyprawie do Ekwadoru i o tym, jak łapie motyle. Niestety nie skończył. Przerwano mu bowiem brutalnie - jak to zwykle bywa - w najciekawszym miejscu, bo...

...czas nas goni, ale może wrócimy jeszcze do tego tematu - jasne, jasne - a tymczasem zapraszamy Państwa na interesującą relację z otwarcia nowego wysypiska śmieci...

Odnalazłem go w ciągu kilku dni za pośrednictwem redakcji. Poprosiłem, by mi dokończył opowiadać to, co mu przerwano. Tak właśnie doszło do naszego pierwszego spotkania - u niego w domu, pod miastem.

Najpierw było gadu - gadu i ple, ple, ple, na temat tego, kto gdzie był, że on się zajmuje głównie motylami, a ja Indianami, że obaj od lat, i że żyjemy od wyprawy do wyprawy. Pokazywał mi swoje trofea, między innymi skórę ocelota (ja mu na to, że też taką mam), potem indiańskie pióropusze i inne gadżety Dzikich, aż wreszcie przeszliśmy do motyli.

* * *

Miał ich tysiące.

Zgromadzone były w specjalnym pokoju z antresolą, który wyglądał jak gabinet przyrodnika z epoki wiktoriańskiej. Cały w drewnie, ściany obudowane szafami robionymi na miarę, część szaf przeszklona - te zawierały książki, inne zaś składały się z płytkich szuflad, których były setki. Każda zawierała specjalną kasetę, w której pod szkłem siedziały

motyle na szpilkach.

Ułożono je inaczej niż to się widuje w sklepach dla amatorów - tam gablotkę wypełnia nieusystematyzowany galimatias. Każdy owad pochodzi z innej parafii. Jest kolorowo i zmiennokształtnie, bo ma się sprzedać jako ozdoba na ścianę mieszkania.

Natomiast gablotki naukowca są nudne. Pełne monotonicznych powtórzeń - ten sam gatunek w kilkudziesięciu egzemplarzach, żeby dało się prześledzić wszelkie zmienności i podobieństwa. No i nie zestawia się ze sobą motyli z żukami i pajakami. Poza tym wszystko ułożone jest w równych szeregach, a nie komponowane w ciekawe układy geometryczne.

* * *

- No więc jak pan je wabi na dno dżungli? - zapytałem w końcu. Wydawało mi się, że temat może być trochę drażliwy, ze względu na tajemnicę zawodową, ale przecież po to tu dziś przyszedłem.

- A, to różnie... - zaczął trochę niechętnie. - Najczęściej wystawiam im kuetę z gnijącymi owocami. Muszą być jak najbardziej słodkie. Przejrzałe.

- Przecież w dżungli nie ma owoców.

- To trzeba przytargać z zewnątrz. Ja zwykle biorę ananasy. Dostają się do środka bez lodówki, a poza tym dla moich potrzeb to one powinny się zacząć psuć od środka. Najlepsze są, kiedy już ciekną, bo dostają wtedy fajnego zapachu. Buch takiego zgnilaka - - fermentująca do kuetę, trzeba go jeszcze poszatkować albo rozdeptać, dla większego efektu, potem dorzuca się kilka dodatków i już.

- Jakich dodatków?

- Nooo, tu właśnie cały sekret. Sam patent z ananasem jest powszechnie znany i opisany w literaturze fachowej, ale wszystko co poza tym, to już prywatna inwencja twórcy - przy tych słowach wypiął pierś i puknął się w nią palcem.

- Inwencja? - zdziwiłem się. - Myślałem, że to się jakoś bada naukowo i ustala wymagany skład chemiczny, a potem leci według spisu.

- Jak pan chce złapać zupełnie nowego motyla, gatunek nieznaną nauce, to przecież nie ma jeszcze żadnego spisu, prawda? Polujemy na coś, czego do tej pory nikt nie miał w rękach; wtedy trzeba kombinować z sufitem. Jedni mają nosa, inni wyczucie, ale większość ludzi na zawsze pozostaje na etapie bielinka kapustnika, bo jego jest w stanie upolować każdy przeciętny motocyklista.

- Wystarczy, że ziewnie w czasie jazdy.

- No a bardziej konkretnie? Czym pan zwabił któregoś z odkrytych przez siebie

motyli?

- Tajemnica.

- Przecież nie ukradnę patentu, bo się na tym nie znam. Poza składem wabika musiałbym jeszcze wiedzieć, gdzie i jak go wyłożyć, a potem umieć rozpoznać właściwego motyla, złapać go i spreparować...

- OK. Ma pan rację, to nie jest zajęcie dla amatora. Proszę słuchać... Pewnego dnia łapałem właśnie na zgniłego ananasa i w ogóle mi nie szło. Ciągłe przylatywały tylko takie sztuki, których już miałem całe stosy. Trzeba było zmienić domieszki. Ale zużyłem już cały mój zapas. To była końcówka wyprawy, drugi czy trzeci miesiąc. Pogoda fantastyczna, owady się roją jak oszalałe, a ja tu nie mam czym wabić. Wszystko mi się pokończyło, zostałem bez przynęt i bez pomysłu co robić. A pogoda, jak już mówiłem wspaniała i czuję przez skórę, że w taki dzień złapałbym jakiś nieznaną okaz. Miotłem się w bezsilnej złości i w końcu, właściwie bezmyślnie, na to wszystko nasikałem. I to było to!

- ??? - zapytałem brwiami.

- Mocznik! - odpowiedział tak, jakby to mogło coś wyjaśnić. - Ludzkie siuski zawierają mocznik. Genialne - pochwalił sam siebie, chyba słusznie, skoro ja się jakoś nie kwapiłem. - Posunięcie na miarę Kasparowa! Całkowita zmiana bukietu: nagłe z owocową słodyczą miesza się cierpkość soli fizjologicznych, lekka zgnilizna, odcienie kwaskowate... po prostu чудо! - robił miny jak kiper win, kiedy dostanie w swoje ręce wyjątkowo dobry rocznik. - Cierpiałem wtedy na odwodnienie, więc to wszystko, co ze mnie wyszło, było mocno skoncentrowane, aż piekło. Sam pan wie, jak to jest w dżungli, kiedy nie ma co pić...

- Zadziałało? - pchnąłem go z powrotem w kierunku głównego wątku.

- GENIALNIE! Połapałem całe chmary. I do dziś najchętniej stosuję ananasa z siuszkami. Taki, można powiedzieć, polski sznyt. Motyle na to idą, Sorbona płaci... Gdyby oni wiedzieli, za co konkretnie...

POŻERACZ OWADÓW

Reszta wieczoru upłynęła nam na kolacji, w czasie której opowiadaliśmy sobie różne egzotyczne historie związane z owadami. Z moich Opowieści entomologicznych najbardziej interesowało go, co jak smakuje, ponieważ on, jak do tej pory, żadnego robactwa nie jadał, a ja owszem. Nawet często. Niestety.

Relacjonowałem więc, że smażona szarańcza, którą można kupić na wielu bazarach w północnym Meksyku, smakuje jak skwarki polane karmelem (oni ją smażą tak jak frytki - na

głębokim oleju - a następnie dosypują cukru albo dodają miodu), pieczone mrówki smakują starą patelnią, natomiast żywe chrupią w zębach i pieką w język, a najgorsze ze wszystkiego są świeże pędraki - ulubiona potrawa niektórych Indian. Są podobno bardzo bogate w witaminy, ale kiedy je przegryźć, to tak, jakby się człowiekowi odbiło żółcią, fuj.

* * *

Kończymy kolację. Jest już późny wieczór, więc zbieram się do wyjścia, a facet nagle mówi, a właściwie zaczyna dukać:

- Panie Wojtku... niech się pan nie obrazi, wie pan... nie mam śmiałości, ale chciałem pana prosić o pewną przysługę.

- Ależ oczywiście, w czym problem?

- Jakoś tak mi trochę głupio - facet wije się, jak piskorz, a z zażenowania jest czerwony jak burak.

- Proszę mówić bez ogródek - zachęcam - najwyżej odmówię, ale obiecuję, że się nie obrażę.

- No dobrze. To czy w takim razie mógłby pan u mnie w łazience zrobić... no wie pan... tego, i nie spuszczać wody.

Zamurowało mnie na chwilę.

- Co mani zrobić u pana w łazience?

- No... - tu zrobił minę, która miała mi odpowiedzieć na pytanie, ale nie odpowiedziała, a potem dodał - I nie spuszczać wody.

- Mam zrobić siusiu, tak? - zaczynałem się czuć dziwnie.

Nie znałem go wcześniej, widzieliśmy się po raz pierwszy w życiu, a w dzisiejszych czasach spotyka się różne zбочzenia.

- Nie siusiu - bąka mój gospodarz, wyraźnie zawstydzony - tylko... to drugie.

- A PO CO TO PANU???

- Do kolekcji.

- Myślałem, że pan zbiera motyle.

- Nie tylko.

Chwilę to trwało, ale w końcu jakoś wyszedłem z szoku. Nie miałem zamiaru nic robić, ale mnie facet nieźle zaciekał, więc pytam:

- A jak już zrobię to, o co Pan prosi, co potem?

- Wypreparuję i do gablotki. A ewentualny nadmiar może się uda spieniężyć na giełdzie. Chociaż na takie rzeczy jest bardzo mało amatorów. Trzeba trafić konesera. Wie

pan, ludzie zbierają żuczki, ale takie, które widać.

- Jakie żuczki? - nagle odniosłem wrażenie, że każdy z nas mówi o czymś innym.

- No te, które pan teraz ma w jelitach - powiedział to tak, jakby żuczki w brzuchu, występowały równie powszechnie, co soki żołądkowe. - Jadł pan te pędraki, prawda?

- Ale dokładnie pogryzłem, na pewno żaden nie przeżył.

- Nie musiał, to nie one. Większość z nich, z tych dużych pędraków, ma w środku pasożyty. Takie maleńkie żuczki, które wyjadają pędraka od środka, coś jak owadzie *canero*. Zna pan *canero*? Taki mały sumik, co wpływa w otwory...

- Znam. Proszę mówić dalej o żuczkach.

- Jest spora szansa, że kilka upolujemy. Tylko niech pan pamięta i nie spuszcza wody.

Reszta wieczoru była odrobinę krępująca. Ale mój gospodarz czekał cierpliwie. I doczekał się.

Niestety (albo raczej na szczęście, a właściwie jedno i drugie naraz) wszystkie pędraki, które jadłem nad Amazonką, były zdrowe - trafiliśmy więc... Jak by to zgrabnie ująć?...same puste losy.

Pan entomolog ujął to bardziej syntetycznie. Kiedy podniósł głowę znad mikroskopu, a ja go zapytałem, co tam znalazł, odpowiedział krótko:

- G...

ŁOWCA AMATOR

Osobiście nie jestem szczególnym pasjonatem motyli.

Owszem lubię je... pooglądać w gablotkach, poczytać, jak się na ich temat rozpisuje Arkady Fiedler, ale wszystko to w umiarkowanych ilościach. Nigdy też nie ganiałem po łąkach z siatką na motyle. I tylko raz w życiu udało mi się motyla złapać. Niestety, nawet nie potrafię powiedzieć, czy był piękny. Wiem natomiast z całą pewnością, że trafił mi się gatunek mięsożerny - Motyl Krwio pijca... Właściwie nie, dokładnie rzecz ujmując - Motyl *Canero*. Posłuchajcie...

Było to nad brzegami Orinoko.

Pewnego razu coś mnie boleśnie ugryzło w palec u nogi. (Gdyby to była dłoń, powiedzielibyśmy, że w palec serdeczny.)

Ugryzło, to ugryzło - jakby się człowiek przejmował takimi sprawami, to by nie jeździł do dżungli. W czasie wyprawy, przez wiele tygodni nie ma szans na spotkanie lekarza, więc po pierwsze - trzeba uważać, po drugie - nie przejmować się, a po trzecie - radzić sobie

samemu, kiedy trzeba.

Z krwawiącym paluchem podszedłem do wody. Wycisnąłem ranę, przepłukałem, a następnie zanurzyłem stopę w gorącym wyprażonym przez słońce piachu - żeby się wszystko dokładnie zakłajstrowało.

Piasek na ogół nie jest godnym polecenia środkiem opatrunkowym, ale w tym przypadku nie miałem pod ręką (nogą?) nic lepszego. Poza tym to nie był zwyczajny piasek...

W swoim górnym biegu, Orinoko płynie przez kompletne odludzie. W promieniu kilkuset kilometrów nie ma śladu cywilizacji, więc jest tam czysto. Ponadto tamtejszy piasek jest bielusieńki jak sproszkowany kryształ - sam kwarc, bez domieszek, paprochów itp. Przez wiele godzin każdego dnia, wystawiony na bakteriobójcze działanie promieni słonecznych i temperatury - nagrzewa się jak piec hutniczy i po prostu MUSI być wysterylizowany.

Nie ma o czym gadać - zakłajstrowało się pięknie i wygoiło w ciągu kilku dni, tak że o całej sprawie szybko zapomniałem.

Po miesiącu, w samolocie powrotnym z Caracas do Miami, poczułem się nieswojo - zabolął mnie ten palec. Ale jakoś tak... dziwacznie, bo raz - przez jedną krótką chwilę - a potem spokój. Z a b o l a ł, a nie r o z b o l a ł.

Potem już nie działo się nic, więc znowu o całej sprawie zapomniałem.

* * *

Pierwsza noc po powrocie do Polski:

Budzę się, wyrwany ze snu gwałtownym atakiem bólu. Po chwili uderzył następny. I jeszcze jeden. Jakby mi ktoś grzebał igłą w palcu - w otwartej ranie. A rana przecież dawno zagojona. Ba, nie byłem już nawet pewien, czy to ten sam palec.

Następnego dnia pobiegłem do znajomego specjalisty od chorób tropikalnych. Obejrzał stopę i mówi, że nic nie widzi. Tylko niewielki, dawno zagojony ślad po ukąszeniu.

- Ugryzło cię coś? - pyta.

- Nie jestem pewien, chyba ugryzło, ale równie dobrze mogłem wdepnąć na jakiś ostry badył.

- Na moje oko to masz w palcu pasażera.

- ???

- Tam coś siedzi. Żywe.

- Obcy, ósmy, Nostromo?

- Raczej motyl - albo ćma. Teraz się przepoczwarzają i przy okazji trochę wierci. Wtedy cię boli. Poza tym leży, ssie krew i rośnie. Nie wiem na pewno, bo to mój pierwszy przypadek

tego rodzaju, ale czytałem o takich, które zamiast ssać, wyżerają mięso od środka i mogą się przemieszczać... A może to chodziło o rybki... Nieważne. Przemieścił ci się?

- Nie!...

- To dobrze, bo one wszystkie jak jedzą, to muszą także wydalać, i wtedy trują. Lepiej, jak trucizna zostaje w jednym miejscu, bo łatwiej wyczyścić.

Po tych słowach podszedł do przeszklonej szafki i wyciągnął z niej zestaw metalowych narzędzi. Słowo „wyczyścić” nabrało charakteru akcji zbrojnej - zaciski, szczytce, nieprzyjemnie wyglądający haczyk i przerażające skrzyżowanie łyżeczki ze skrobaczką. Odbezpieczył jednorazowy skalpel...

- Ooo nie! - zaprotestowałem.

- No dobrze - odpowiedział łagodnie (znałem ten ton z horrorów o zboczonych doktorkach) - w takim razie nie będziemy nic robili - zdecydowanym ruchem capnął mnie za kostkę (uścisk miał żelazny) - i poczekamy jeszcze ze dwa tygodnie, aż ci z palca wyfrunie paż królowej. Tyle że do tego czasu cała stopa szernieje, zacznie się obierać, i wtedy ją obetniemy pod narkozą.

Puścił mi prosto w oko zajączka skalpelem. W odpowiedzi tylko głośno przełknąłem ślinę. (Tak jak się połyka jabłko w całości. Znacie to uczucie?)

- To co? - uśmiechnął się jak nietoperz (głównie zębami). - Trochę bólu dzisiaj, czy motylek za dwa tygodnie?... Na pewno będzie piękny. Podobny do tatusia. Jak mu dasz na imię? *Papillon* dla chłopca, a *Mariposa* dla dziewczynki? Czy może raczej *coś* bardziej polskiego...

Te kpiny go zdekoncentrowały, więc skorzystałem z okazji, wyrwałem się i uciekłem do łazienki.

Tam oparłem stopę na umywalce, złapałem za palec i ścisnąłem go serdecznie (z całej siły) nie zważając na ból...

Dookoła zrobiło się białe...

Potem szaro i kołowato...

Otrząsnąłem się, schyliłem głowę do podłogi, żeby nie zemdleć, a kiedy już krew powróciła pod skronie spojrzałem w lustro. Na środku tkwił przyklejony do szkła niedokończony motyl. Jeszcze nawet nie poczwarka, ot, zwykła larwa, w kształcie małej glisty. A właściwie glutka, bo była lekko rozmaślona i na pewno nie nadawała się do życia.

- Wredny szmeterling - wysyczałem przez zęby.

* * *

To był pierwszy i jedyny motyl, jakiego kiedykolwiek złapałem. Niestety nie w siatkę, tylko w palec. Zamiast w gablotce za szkłem, skończył jako glut na szkle.

Było to dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Od tamtej pory na wszystkie, nawet najbardziej niewinne zwierzątka w dżungli patrzę, jak na coś co może człowiekowi zrobić krzywdę - Może, nie musi.

Po prostu nie dajcie się zwieść pięknym kolorowym żabkom, pachnącym kwiatkom, motylkom i bławatkom - one wszystkie starają się... przeżyć.

W dżungli piękny wygląd częściej oznacza ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem niż zaproszenie do wspólnej zabawy. Pięknie ubarwione żabki - takie, które widać z daleka - starają się nas poinformować, że ich skóra dotkliwie parzy, albo że potrafią bardzo celnie splunąć komuś w oko żrącym zajązajerem. Mieniające się tęczowo motyle zawiadamiają w ten sposób, żeby ich nie zjadać, bo są bardzo niesmaczne i wywołują (głównie u ptaków i nietoperzy) bóle brzucha i silną niestrawność. Ociekające miodowym nektarem kwiaty, które wabią swoim zapachem z odległości wielu kilometrów, są owadożerne... Rozumiecie o co chodzi? To taki kod.

MORAŁ:

Dżungla jest jak ciemna uliczka w niebezpiecznej dzielnicy - jeżeli spotkamy tani kogoś, kto idzie środkiem jezdni, ubrany w kurtkę z wężowej skóry i czerwone kowbojki z aligatora, na szyi ma wiązkę złotych łańcuchów, a na każdym palcu pierścień z drogocennym kamieniem, wtedy lepiej zejść mu z drogi, skryć się w pierwszej dostępnej bramie i poczekać, aż sobie pójdzie. Natomiast nigdy, ale to nigdy w podobnej sytuacji nie wolno wpadać w panikę. Od paniki dużo lepszy jest chłodny dystans.

CZEŚĆ 7

WYPRAWA NA BIEGUN DŻUNGLI

Biegun w dżungli?

Owszem. Nawet dwa - wschodni i zachodni.

O tych polarnych - północnym i południowym - wiedzą wszyscy, a o tropikalnych źródła milczą. Nie uczy się o nich w szkołach, nie wspomina w encyklopediach. Tylko wąska grupa specjalistów i zapaleńców wie gdzie ich szukać. To dlatego że bieguny tropikalne są mało oczywiste - nie da się ich zaznaczyć wbijając w ziemię słupek z flagą narodową pierwszego zdobywcy i pamiątkową tabliczką. Nie sposób tego zrobić z tej przyczyny, że biegun tropikalny to nie jakiś jeden, konkretny, precyzyjnie wytyczalny punkt na mapie, lecz pewien rejon. Obszar.

* * *

Żeby można było mówić o biegunie, muszą być spełnione dwa warunki:

- 1) biegun zawsze leży na końcu świata,
- 2) dookoła niego rozciąga się pustkowie o ekstremalnym klimacie.

Pustkowie w dżungli? Przecież w dżungli jest bardzo gęsto; raczej natłok niż pustka.

A kto powiedziały że na pustkowie ma być pusto? Przeciwnie. Pustkowie nigdy nie są puste - tam jest pełno różnych rzeczy. Brak tylko ludzi, a kiedy gdzieś nie ma ludzi, to ludzie zaraz mówią „pustkowie”. Powinni raczej mówić „bezludzie”.

Antarktyka, Grenlandia., Australia, Atacama, Sahara, Gobi... - to wszystko pustkowie. Ale zapytajcie stałych mieszkańców dalekiej północy - Eskimosów - czy oni uważają, że u nich jest pusto? Najpierw opowiedzą wam o kilkudziesięciu gatunkach śniegu, a potem godzinami będą rozprawiać o polowaniu. Polowaniu na co? Na pustkę? Otóż nie - chodzi o setki różnorodnych gatunków zwierząt, ptaków i ryb.

Zapytajcie Beduinów z Sahary lub australijskich Aborygenów - oni z kolei opowiedzą wam o licznych odmianach piasku, rodzajach wydm i bogactwie roślinności na pustyni. Aha, i godzinami będą gadać o różnych rodzajach herbatek, które się u nich popija i na co która pomaga - a wszystkie zaparzone z miejscowych ziółek, których jest taka mnogość, że trzeba być baaardzo starą Indianką, żeby je umieć odróżnić. (I nie zaparzyć komuś omyłkowo Łysicy zamiast Porosta. Albo Porosta zamiast Pokurczu. Ewentualnie łodygi Twardziaka w miejsce pędów Mięksizki. [Przypis: Najbardziej tragiczny w skutkach był przypadek, gdy

pewien nieporadny pustynny zielarz - uczeń szamana, ale dopiero początkujący - zaserwował całej wiosce wywar z kielichów Pijanicy zamiast z kielków Piwonii. (Mogło też chodzić o korzeń Rozpusta zamiast pąków Wstydnika* - nie bardzo pamiętam, w każdym razie bal trwał do rana, a potem nikt już nic nie pamiętał, za to wszyscy szukali swoich ubrań.) [przyp. Autora] * Tłumaczenia nazw ziół dosłowne, przybliżone lub przypuszczalne - nigdzie w oryginale (hiszpańskim), nie występują uczciwe nazwy botaniczne, wszędzie tylko ludowe. Mięksiszkę można więc równie dobrze przetłumaczyć na: Rozlazła, Breja albo Papka itp. [przyp. tłumacza]].

* * *

Splątana dżungla, choć pełna roślin i zwierząt, jest pustkowiem.

Po dżungli można chodzić tygodniami i nie spotkać żywej duszy. Choć człowiek stale przedziera się przez różne gąszcze i stale słyszy wokół siebie odgłosy tropikalnego lasu, wycia małp, skrzeczenia papug, jazgot cykad, to jednak już po krótkim czasie ma wrażenie kompletnej samotności. Identyczne jak na pustyni. Identyczne jak w wysokich górach. I jak na lodowych równinach Antarktydy.

Dżungla tylko z pozoru wydaje się zatłoczona. Kto ją poznał od środka, wie jakie to przerażające pustkowie.

* * *

Ale żeby można mówić o biegunie dżungli, owo pustkowie musi być położone na końcu świata.

A gdzie on właściwie jest?

Na biegunie północnym? Bez wątpienia: tak!

Na południowym? Też.

A na szczycie Himalajów? Tak. Tam również, z całą pewnością, jest koniec świata. Świat to przecież - z grubsza rzecz ujmując - kula, ma więc wiele końców. Z lekcji geometrii wynika nawet, że nieskończenie wiele.

A z lekcji geografii? Jak rozpoznać, że się właśnie dotarło na jeden z nich?

To proste - koniec świata jest punktem, z którego nie sposób pójść nigdzie dalej. Kiedy staniesz na biegunie lub na szczycie Everestu i rozejrzysz się wokoło, stwierdzisz, że droga TAM skończyła się i zniknęła, i że od tej chwili wszystkie drogi prowadzą już tylko z powrotem.

Dlatego właśnie wyprawę do bieguna dżungli zostawiłem sobie na koniec tej książki. [Przypis: Wcale nie twierdzę, że czas już wracać do domu, po prostu czasami

milo jest wrócić, żeby ruszyć w kolejną wyprawę.].

* * *

Znawcy zagadnienia twierdzą, że dwa najtrudniejsze do przejścia obszary porośnięte tropikalną puszcza to Borneo (na półkuli wschodniej) i Darien (na zachodniej). Mówią, że kto tam dotrze i przeżyje - kto je pokona - ten zdobył biegun dżungli.

Z Polaków, na biegunie wschodnim był Jacek Pałkiewicz - o nikim innym nie słyszałem. Na biegunie zachodnim było nas dwoje - ja, gringo, i ona, Blondynka.

Posłuchajcie...

PRZESMYK DARIEN

Przesmyk Darien (Darien Gap) leży tam, gdzie Panama graniczy z Kolumbią. To ten cieniutki pasek lądu (w formie frywolnego wyrostka lub - jak twierdzą inni - pępowiny), który sterczy z górnego czubka Ameryki Południowej. Tamtędy Ameryka Południowa łączy się ze Środkową, a potem, trochę niepostrzeżenie, przechodzi w Amerykę Północną. Na mapach Darien wygląda mizernie i z tej przyczyny, kiedy to tylko możliwe, kartografowie go nie rysują - żeby nie psuł zgrabnego obrysu kontynentu.

Jednak w rzeczywistości jest to bardzo solidny kawał lądu pofałdowany w niewysokie, ale wyjątkowo strome góry, porośnięty tropikalną puszcza (jeden z ostatnich na kuli ziemskiej obszarów dżungli nietkniętych siekierą cywilizacji) i na dodatek - od strony kolumbijskiej - zatarasowany bagnami. Z powyższych powodów, Darien uchodzi za *nieprzebyty*. [Przypis: Oczywiście grupy miejscowych Indian od tysięcy lat przemierzają Darien w tę i z powrotem praktycznie codziennie, ale oni nie są ani podróżnikami, ani odkrywcami, więc się nie liczą.]

To przekonanie potwierdza choćby historia budowy Panamericany, czyli systemu dróg asfaltowych, który miał połączyć Ziemię Ognistą z Alaską.

Dobrowolne siły konstruktorskie z całego świata, ogromne buldożery i miliony dolarów pokonały Andy - góry wysokie, Amazonię - lasy szerokie i pustynie długie - jak Atacama - ale utknęły w Darien. Próbowwały się przezeń przegryźć na kilka sposobów, lecz go nie zmogły. Wciąż trwa *nieprzebyty*. [Przypis: Oczywiście od wielu lat przemierzają go, praktycznie codziennie, karawany przemytników kokainy, które z Kolumbii kierują się nad Kanał Panamski, by tam zrzucić towar na jakiś statek, a samemu już bez bagażu, za to z solidnym rulonem dolarów w kieszeni, powrócić do domu samolotem. Ponieważ jednak te karawany składają się z Indian, a nie z podróżników i odkrywców, więc też się nie liczą.]

PANAMERICANA

W kilku miejscowościach po obu stronach Przesmyku do dziś sterczą z błota porzewiałe wraki wielkich spychaczy z resztkami charakterystycznej żółtej farby do metalu. (Jest sprzedawana w puszkach z napisem: *Maluj ostrożnie!!! Jak zaschnie, zdrapać trudno, a sama NIGDY się nie złuszczy.*) Te wraki, to ślady międzynarodowej maszyny, która połamano sobie w Darien zębiska, a następnie ze skamleniem wycofała się ryc gdzie indziej.

Zamorscy konstruktorzy zwijali manatki w poczuciu wstydu i klęski. Zrezygnowali wszyscy - budowę podejmowało, a potem porzucało, kilka kolejnych Międzynarodowych Koncernów Drogowych.

Po każdej takiej ucieczce pozostawały pisemne usprawiedliwienia w postaci szczegółowych wyliczeń mających dowiedzieć, że bardziej sensowne będzie utrzymywanie stałych przepraw promowych przewożących ludzi i towary dookoła Przesmyku niż stawianie autostrady na betonowych palach w poprzek tropikalnych bagien, dżungli i gór.

Poza wrakami żółtych maszyn, zamorscy konstruktorzy zostawili także pewne charakterystyczne ślady w lokalnej kulturze. Okoliczna ludność do dziś żywi przekonanie, że wszystkich przybyszów o białym kolorze skóry należy tytułować *panie inżynierze* (zamiast tradycyjnego gringo) oraz że praca inżyniera polega na drapaniu się w głowę, robieniu coraz bardziej strapiionych min oraz nerwowym żuciu końcówek własnych wąsów.

Ponadto kilka razy na dzień w *panach inżynierach* coś narasta... wzbiera... dojrzewa... a w końcu wybucha. Wtedy zaczynają ciskać o ziemię drobnymi przedmiotami (czapka, okulary, fajka, rulony papieru) oraz przeklinać wszystko dookoła. Niektórzy przy tym mocno tupią nogami, wgniatając w błoto prywatne czapki, okulary i fajki oraz służbowe rulony papieru. (Wówczas lepiej się odsunąć, jeżeli nie chce się być ochlapanym.)

Żeby jakoś zakamuflować swoją wstydliwą porażkę, Biali uknuli międzynarodowy spiszek kartograficzny, polegający na tym, że na większości map wyrysowuje się Autostradę Panamerykańską jako dumną czerwoną linię, która biegnie, i tu uwaga, n.i.e.p.r.z.e.r.w.a.n.i.e z Alaski aż na Ziemię Ognistą.

Owo „nieprzerwanie” istnieje jednak tylko na papierze. W rzeczywistości Panamericana nigdy nie została ukończona!

W samym jej środku brakuje sporego kawałka. Optymiści mówią o 200 kilometrach, a z moich doświadczeń wynika, że to raczej 500. Asfalt urywa się jakiegoś 60 kilometrów na południe od Panama City. Dalej biegnie stopniowo zanikająca żwirówka, potem droga polna, którą rozklekotane autobusy i ciężarówki terenowe starają się jakoś dobrać do osady Yaviza.

(W porze obfitych deszczów na ostatnim odcinku autobusu zastępuje traktor albo muły)

Za Yavizą nie ma już nic. Nic co mogłoby przypominać drogę. Jakakolwiek drogę, nie wspominając o Autostradzie.

Ale n.ie.p.r.z.e.r.w.a.n.a czerwona linia się tym nie zraża i biegnie sobie dalej - po mapie. Przecina nieprzebyte gąszcze, góry i bagna, czasami trafia (choć sama o tym nie wie) w leśne ścieżki wydeptane bosymi stopami Indian albo w strumienie którymi poruszają się wąskie czółna plemienia Chocó, i wreszcie dociera do miasta Medellin.

Umiejętne wykorzystanie tych ścieżek i strumieni może człowieka pieszego zaprowadzić na drugą stronę Darien - do Kolumbii - tam z kolei, kierując się do Medellin, natrafi on na dalszy ciąg Panamericany (tym razem prawdziwej - zrobionej z asfaltu, a nie z farby drukarskiej), ale zanim się to stanie, trzeba jeszcze przekroczyć biegun dżungli.

Autostradą na pewno się nie da bo jej tam NIE MA!

Byłem, widziałem - wiem! Veni, vidi, vici.

[Przypis: Przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem - słowa Juliusza Cezara zawiadamiającego senat o swym zwycięstwie nad królem Pontu Farnacesem w 47 r. p.n.e. [przyp. tłumacza]]

OD ASFALTU DO ASFALTU

Kilkanaście lat temu, gdy Polska jeszcze nie była Polską, wymarzyłem sobie, że zostanę pierwszym Polakiem, który pokona Darien na piechotę. Wyprawa miała się nazywać „Od asfaltu do asfaltu”.

Pomysł był prosty: Pewnego dnia stoję piętami na ostatnim skrawku asfaltu w Panamie i ruszam przed siebie. Po jakimś czasie kończę wyprawę, stając palcami na pierwszym kawałku asfaltu w Kolumbii.

Marzyłem o tym 10 lat i w końcu się udało. Z małą poprawką: nie byłem sam - razem ze mną szła Blondynka. Ja niosłem większość jej ekwipunku, a ona podpierała plecak, żebym się nie przewrócił. Gdyby nie Blondynka, nie pokonałbym Darien - on pokonałby mnie. Gdyby nie ja, Blondynka prawdopodobnie nigdy nie wpadłaby na tak idiotyczny pomysł, jak przeprawa przez terytorium plemienia Kuna, które zabija każdego, do kogo pasuje określenie gringo.

Posłuchajcie...

INDIANIE KUNA

Kuna nie lubią intruzów. Żadnych. A szczególnie białych oraz wojskowych. Władze państwowe Panamy i Kolumbii niechętnie się do tego przyznają, jednak w Darien faktyczne rządy sprawują Indianie - od zawsze - w dodatku są to rządy wyłączne i suwerenne. [Przypis: W źródłach anglojęzycznych i zależnych, zamiast pisowni *Kuna* często pojawia się *Cuna* - prawdopodobnie dla ułatwienia prawidłowej wymowy. My pozostajemy przy transkrypcji tradycyjnej - *Kuna*. W języku polskim ona właśnie ułatwi prawidłową wymowę. [przyp. tłumacza]]

W związku z tym na mapach rysuje się kolejna fikcja: w poprzek czerwonej kreski nieistniejącego kawałka Panamery biegnie czarna kreska nieistniejącej granicy panamsko - kolumbijskiej. W rzeczywistości te kraje ze sobą nie sąsiadują - oddziela je kilkusetkilometrowy pas „ziemi niczyjej”, nieformalna strefa buforowa, a mówiąc w uproszczeniu: Niezależne Państwo Kuna.

Jest to stowarzyszenie obronne kilkudziesięciu wiosek, zarządzane na wzór korporacji przez Zgromadzenie Kacyków. Zgromadzenia zwoływane są tylko w razie konkretnej potrzeby. W okresach między Zgromadzeniami, każdy kacyk włada kawałkiem terytorium Kuna na własny rachunek.

Kuna tolerują na swoim terenie tylko kilka samotnych posterunków panamskiej straży granicznej (zaopatrywanych z helikoptera, bo Indianie nie życzą sobie, by przez ich ziemie ktoś przechodził). Na tym kończy się cała władza z zewnątrz.

Posterunki założono za wiedzą i zgodą kacyków, w miejscach przez nich wskazanych. Wyglądają one zawsze tak: garstka zastrachanych wojaków stacjonuje w pobliżu kilkuset dobrze uzbrojonych Indian. Zgadnijcie, kto tu kogo pilnuje? I kto rządzi?

Układ z wojskiem jest prosty:

- Wy tu sobie siedzicie i pozorujecie władzę państwową, a my wam nie robimy krzywdy.

- Co jakiś czas nieznani sprawcy (w raportach napiszecie: *najprawdopodobniej kolumbijska partyzantka*) napadają na was i odbierają zapasy broni, lekarstw oraz środki łączności.

- Wy nigdy nie oskarżacie wojowników Kuna o napaść i rabunek, i dlatego wojownicy Kuna was nie zabijają za pomocą waszych własnych karabinów.

- Broń przejęta przez *najprawdopodobniej kolumbijską partyzantkę* zostaje w rękach plemienia Kuna, a wam Armia przysyła nową. *Over.*

* * *

Wyobraźcie sobie czterech żołnierzy na niewielkiej polance wykarczowanej pośrodku dżungli.

Mieszkają w jednoizbowym baraczkach z pustaków, krytym blachą falistą. W słoneczny dzień pod tą blachą robi się gorąco jak w piekarniku. Kiedy pada ulewny deszcz, trzeba zatykać uszy - taki jest huk.

Na drewnianym kołku przed baraczką przyczepiono deskę z wymalowanym ręcznie napisem: „BAZA SIŁ OCHRONY POGRANICZA - PUESTO PAYA - REPUBLICA de PANAMA”. Obok, na wysokim giętym kiju z bambusa, wisi podarta flaga. Na gałęziach pobliskich drzew rozciągnięto drut, który ma robić za antenę do wojskowego radia. Drut służy dobrze, a i radio jest niezłej jakości - zasilane z małej baterii słonecznej - niestety słychać w nim najczęściej trzaski. Z jakichś tajemniczych powodów fale radiowe nie lubią tego miejsca. Obrazu dopełnia typowa wojskowa wygódka sklecona z trzech rozwiniętych i wyklepanych na płasko beczek po ropie. Ustawiono ją tyłem do baraczkach. Drzwi nie są potrzebne - nikt nikogo nie zaskoczy ze spuszczonego spodniami, ponieważ żołnierze zawsze dokładnie wiedzą, gdzie w danej chwili przebywa reszta oddziału. Tu nigdy nie odchodzi się dalej niż na odległość głosu. A najlepiej, żeby się wszyscy zawsze mieli nawzajem na oku. Z wyjątkiem sytuacji, gdy jeden idzie do wygódki.

Rzecz charakterystyczna: nawet tam żołnierz nie rozstaje się z karabinem. Dlatego właśnie nie instalowano drzwiczek - lepiej mieć teren pod stałą obserwacją.

Setka rozwścieczonych Indian jest tu w stanie dotrzeć w ciągu kwadransu od chwili, gdy padnie rozkaz kacyka, z kolei odsiecz w postaci jednego helikoptera z pilotem, jednego sierżanta i sześciu niechętnych ginących rekrutów, jest tu w stanie dotrzeć najwcześniej po kilku godzinach od chwili, gdy napadnięci wezwą pomoc przez radio. Zazwyczaj jednak - tak na wszelki wypadek - odsiecz dociera dopiero następnego dnia, jak już się wszystko uspokoi, a nieznani sprawcy, czyli *najprawdopodobniej kolumbijska partyzantka*, wyszumią się i sobie pójdą.

Po wylądowaniu i krótkim rozpoznaniu, odsiecz - zwana oficjalnie Oddziałem Szturmowym - przegrupowuje się w Oddział Transportowy Zwłok i zawraca do bazy.

Na pokładzie helikoptera, u stóp załogi, leżą niedawni koledzy z wojska. Są starannie zapakowani w czarne foliowe worki.

Przy okazji, tym samym helikopterem, lecą do szpitala najciężej ranni przedstawiciele plemienia Kuna. Są starannie pozawijani białymi bandażami, które otrzymali w prezencie od

Armii.

Wszyscy pasażerowie i pilot wiedzą, że żołnierze (w workach) postradali życie w potyczce z Indianami (w bandażach). Ale wszyscy grzecznie udają, że wierzą w historyjkę o kolejnym napadzie *najprawdopodobniej kolumbijskiej partyzantki*. Udają, bo tak jest wygodniej. I bezpieczniej.

Gdybym o tym wszystkim wiedział przed wyprawą do Darien, pewnie bym tam nie pojechał. A może: tym bardziej...

NIEPOKONANY

Zbierając materiały na temat Przesmyku wciąż natykałem się na różne nieprzyjemne doniesienia prasy, ale jakoś żadne z nich mnie nie zatrzymało w domu. A przecież wszystkie były, delikatnie rzecz ujmując, zniechęcające. Darien mnie wyraźnie ostrzegał. Groził palcem.

I pochłaniał kolejne ofiary...

Większość pożerał jednym kłapnięciem, inne porządnie gryzł, a potem wypluwał, ale nikomu nie przepuścił. Nie wyglądał na kogoś, kto pozwoli sobie wejść w paszczę, przemaszerować przez kiszki, a następnie spokojnie wyjść z drugiej strony.

Darien mnie ostrzegał:

Tajemnicze zaginięcie amerykańskiego antropologa - wybitnego specjalisty od dzikich plemion (do dziś go nie odnaleziono).

Miesiąc później równie tajemnicze zaginięcie japońskiego kolekcjonera orchidei (odnaleziono tylko jego zielnik, parę zwęglonych sandałów i dwanaście pustych butelek po *aguardiente*).

Darien groził mi palcem:

Krótką notatką o kilku amatorach przygody, którzy opuszczali Yawizę z uśmiechami na ustach, a wracali z płaczem i solennymi zapewnieniami, że NIGDY WIĘCEJ.

... i najwyraźniej mnie prowokował:

Innym razem gazety szeroko pisały o losie niemieckiego turysty, który postanowił przejść Darien i podobno wyszedł z tego żywy, ale dopiero po pół roku, nie całkiem świadom tego, gdzie jest i co robi, a na dodatek oskubany ze wszystkiego, co miał przy sobie. Oskubany doszczętnie... Jak by to inaczej powiedzieć... do gołej skóry.

Kolumbijski patrol zainteresował się nim, kiedy kompletnie nagi paradował przez poletko manioku, a hałastra dzieciarni biegła za nim z wrzaskiem pokazując sobie palcami, co on tam ma. (Miał tatuaż przedstawiający smoka, który ział z pyska nie ogniem, ale czymś

zupełnie niestosownym do oglądania przez małe dzieci.)

W pierwszym, zdrowym odruchu patrol chciał spałować zboczeńca, ale dość szybko okazało się, że delikwent przeżywa dokumentne pomieszanie zmysłów i naprawdę nie wie, że jest nagi. Nawet żołdacy potrafią znaleźć w sobie litość dla wariata, więc osłonięty wojskową czapką dotarł do najbliższego posterunku, a stamtąd, w biurokratycznie zawiły sposób, powrócił na ojczyzny łono.

* * *

A propos łona: Mimo niepamięci co do własnych personaliów, golas został bardzo szybko zidentyfikowany.

Za pomocą kserografu, faksu, skanera i Internetu, fotografia ziejącego smoka (w języku oficjalnym mówiono o nim „znaki szczególne”) obiegła kilka konsulatów, ambasad i urzędów, w sumie połowę kuli ziemskiej, została rozpoznana przez osoby bliskie, uradowane widokiem zaginionego, i odesłana do Kolumbii z adnotacją, do kogo ów ziejący smok należy. Tak to, po nitce globalnych łączy elektronicznych, udało się dojść do kłębka nerwów, jakim był w chwili odnalezienia nagi Jorgen Krol.

Po kilku miesiącach spędzonych w pewnym dyskretnym zakładzie, zwanym „sanatorium”, Krol doszedł do siebie - mniej więcej - ale nadal nie potrafił opowiedzieć, co się z nim działo przez te sześć miesięcy spędzonych w dżungli.

[Przypis: To jeden z niewielu ludzi, którzy naprawdę spóźnili się na własny pogrzeb. Było tak: Kiedy Jorgen tkwił piąty miesiąc w Darien, najbliższa rodzina w Niemczech straciła nadzieję na jego powrót i wyprawiła mu symboliczny pogrzeb. Po tym wydarzeniu pozostała bardzo niesymboliczna pamiątka - niewielka parcela (metr na dwa) przykryta płytą z czarnego granitu z wrytym imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia oraz krótką informacją, że *Nasz ukochany syn i brat zaginął w Darien (Panama)*.

Osobiście jestem zdania, że ktoś - dla porządku - powinien tam teraz dopisać: *Nasz ukochany syn i brat się jednak odnalazł, a kolejne informacje na temat jego losów zostaną wryte w tym miejscu za kilkadziesiąt lat, bo Jorgen prowadzi obecnie wyjątkowo zdrowy tryb życia (pod nadzorem lekarzy) i już raczej nigdzie nic będzie wyjeżdżał. Ubiera się ciepło, tak by nikomu nie przyszło do głowy wytykać go palcami i krzyczeć: Król jest nagi!*

* * *

Darien mnie ostrzegał. Groził palcem... i w ten sposób także prowokował. Zupełnie jakby mnie wyzywał na pojedynek...

* * *

Najbardziej głośna była sprawa z początku lat 90.:

Pewien śmiałek, sponsorowany przez telewizję, wymyślił sobie, że przejedzie na motorze z Alaski na Ziemię Ognistą. Popatrzył na mapę i stwierdził, że zrobi to bez większego kłopotu, podążając cały czas Autostradą Panamerykańską.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że ani on, ani telewizja, która miała wszystko filmować, nie byli zainteresowani zwiedzaniem krajów i kultur dostępnych na poboczach Panamericany - jedyne, co ich obchodziło, to ustanowienie rekordu prędkości. W tym celu można by oczywiście przez kilka miesięcy jeździć dookoła jakiegoś stadionu (byle tylko odległość się zgadzała), ale to oczywiście dużo mniej spektakularne niż łamanie ograniczeń prędkości w kilkunastu kolejnych państwach transmitowane do kilkudziesięciu innych państw na całym świecie przez kanał tematyczny dla młodzieży.

Z towarzyszeniem zachęcających wrzasków i gwizdów oraz obowiązkowego dymu spod opon, nasz śmiałek wystartował z Anchorage na dalekiej Północy Stanów Zjednoczonych. Kanada przemknęła mu na granicy pola widzenia, prawie niepostrzeżenie. W Kalifornii musiał znacznie zwolnić ze względu na tamtejszą policję, która nie zna się ani na żartach, ani na biciu rekordów (co najwyżej na biciu Murzynów pod okiem amatorskiej kamery wideo), więc na dobre rozpędził się dopiero w Meksyku. Ale za to jak!

W Acapulco czekali na niego z tequilą i solą już na dwa dni przed przyjazdem, a potem okazało się, że niepotrzebnie, bo przejechał trzy dni wcześniej, niż sam planował.

Kilka następnych krajów Ameryki Środkowej potraktował jak rodzaj szybkiego slalomu między słupkami granicznymi i wreszcie z pełnym impetem runął w gęstwinę Darien.

Trzeba przyznać, że wbił się dość głęboko...

I utknął. W dżungli i błocie.

Kompletnie zaskoczony i nieprzygotowany, bo do ostatniej chwili wierzył, że tam jednak jest jakiś asfalt. A przynajmniej szutrówka. No dobra, dukt. Cokolwiek!

Targał podobno ten swój motor przez kilka dni na plecach licząc na to, że błoto po kolana oraz strome góry wkrótce się skończą, ale się przeliczył. Wreszcie zawrócił. (Już bez motoru który wzięli Indianie jako część zapłaty za uratowanie [Przypis: Źródła mniej życzliwe plemieniu Kuna używają w tym miejscu słowa „darowanie”] życia.

W dwa tygodnie później kontynuował swoją wyprawę - na innym motorze - rozpoczynając jej drugi etap z Medellin. Sceny wsiadania na prom i omijania Przesmyku potraktowano nader pobieżnie. Miałem nawet wrażenie, że wstydliwie. A to przecież żaden

wstyd utknąć w Darien.

To nie wstyd - to normalka.

BLONDYNKA I GRINGO

Myśmy utknęli baardzo, baardzo głęboko - w Paya, czyli indiańskiej wiosce - warowni położonej nad rzeką o tej samej nazwie. Zostaliśmy tam zatrzymani i uwięzieni.

Uwięziono nas dlatego, że stanowiliśmy zagadkę - Biali nigdy nie docierają tak daleko, a w każdym razie nie docierają tak daleko bez eskorty wojowników Kuna, i to w dodatku niepostrzeżenie. A nikt się nas w Paya nie spodziewał, bo nie pojawiliśmy się wcześniej w żadnej z wiosek Kuna leżących po drodze. Prawdę powiedziawszy celowo je omijaliśmy w obawie, że Indianie nas zawrócą z drogi. Chcieliśmy wdrzeć się po kryjomu jak najdalej w głąb ich terytorium. Tak daleko, żeby nasza ewentualna ekstradycja odbyła się nie z powrotem do Panamy, lecz na stronę kolumbijską.

Pomagał nam w tym pewien myśliwy zaprawiony w dyskretnym podchodzeniu zwierzyny. To on umiejętnie powymijał wszystkie warty ustawione po drodze, ale do wioski Kuna weszliśmy już bez niego. Uciekł, kiedy tylko zobaczył pierwsze szałas i spacerujących między nimi wojowników.

Ten człowiek nie był tchórzem. Nie był też wariatem, i właśnie dlatego uciekł. W dżungli ucieczka rzadko bywa dowodem tchórzostwa - najczęściej jest przejawem mądrości odziedziczonej po przodkach.

* * *

Myśliwy pochodził z sąsiedniego plemienia o nazwie Chocó, które szczerze nienawidzi, a zarazem śmiertelnie boi się Kuna. Całą drogę opowiadał nam mrozące krew w żyłach historie na ich temat i serdecznie odradzał dalszą wędrówkę.

Chocó są ludem nadzwyczaj spokojnym, Kuna zaś - wyjątkowo wojowniczym. Oba plemiona od stuleci zamieszkują tę samą ziemię, a stosunki między nimi są na tyle normalne, na ile w tych warunkach mogą być. Przy czym normę wyznacza tu *Pachamama* - Matka Natura: Chocó czują wobec Kuna mniej więcej to, co wielki roślinożerny gatunek dinozaura czuł wobec ryczącego mu w twarz Tyranozaurusa. Z kolei Kuna na widok Chocó zwykle się uśmiechają. (Wyrazem twarzy przypominają wtedy nietoperza.)

Z podobnym uśmiechem zwracali się także do nas. Ale to było dużo później, a najpierw wynajęliśmy myśliwego.

Posłuchajcie...

KOŁO... PODBIEGUNOWE

Znaleźliśmy go w okolicach Yavizy. Miał porządną łódź wydłubaną z solidnego pnia, do tego motor, który bez przerwy się krztusił i gasł, ale ogólnie pomagał w wiosłowaniu, oraz beczkę paliwa. Przede wszystkim jednak był zawodowym tropicielem - a więc musiał dobrze znać okoliczne lasy i rzeki. Poznaliśmy to od razu po... kolorze jego skóry.

Indiańscy myśliwi korzystają powszechnie z soku pewnej dzikiej rośliny, którym smarują twarz oraz wszystkie odsłonięte części ciała. Ów sok daje efekt jak atrament, a więc świetnie maskuje pod względem optycznym. Ponadto, swoim zapachem zagłusza naturalną woń człowieka (oczywiście daleeeko mu do IPM). A na dodatek odstrasza insekty (jeśli się w to mocno uwierzy). Coś takiego, to dla myśliwych idealny kamuflaż.

Tyle że sok pozostawia wyjątkowo trwałe ślady - w kilka godzin po posmarowaniu skóra robi się czarna i pozostaje taka przez wiele następnych dni. Nie pomaga mydło, szorowanie piaskiem, żadne rozpuszczalniki ani detergenty - musi się złuszczyć. Myśliwi amatorzy nigdy nie stosują tej substancji - tylko zawodowcom nie przeszkadza, że tak długo będą czarni.

* * *

Po wypłynięciu z Yavizy, ruszyliśmy w górę rzeki oznaczonej na mapach jako Tuirá.

Przez pierwsze kilka dni i ostatnie posterunki wojskowe, towarzyszył nam lekarz - oficjalny wysłannik rządu Panamy na te tereny. Był czymś w rodzaju naszej przepustki [Przypis: Władze, nauczone przykrymi doświadczeniami z przeszłości, starają się nie dopuszczać białych intruzów w głąb Darien] - on pokazywał wojskowym swoje dokumenty i paplał zmyślane głupstwa na temat międzynarodowej pomocy medycznej przybyłej właśnie z Europy, a myśmy płacili za jego transport i jedzenie.

Lekarz udawał się na trzy miesiące do osady Union, która jest umowną stolicą plemienia Chocó, a jednocześnie ostatnim miejscem, dokąd sięga władza państwowa. Zbudowano tam Ośrodek Zdrowia, czyli dwuizbowy domek kryty blachą falistą - w jednej izbie pan doktor mieszka, w drugiej trzyma lekarstwa, a leczy najczęściej na przyzbie, bo w słoneczny dzień robi się pod tą blachą gorąco jak w piekarniku.

Po odstawieniu go na miejsce, ogłosiliśmy wszem i wobec, żeśmy się już Darien naoglądali po dziurki w nosie i zawracamy. Mieliśmy nadzieję, że uwierzą.

Potem ruszyliśmy w dalszą drogę.

* * *

Przez wiele dni kluczyliśmy, kierując się w głąb dżungli. Korzystaliśmy z rzeczek i strumieni, czasem tak płytkich, że silnik trzeba było wyciągać z wody i odpychać się kijami. Kiedy indziej musieliśmy wysiadać z łodzi i ciągnąć ją za sobą na linie.

Kilka kolejnych nocy spędziliśmy w coraz mniejszych i rzadszych osadach plemienia Chocó. Zawsze przyplływając po zmroku i odpływając przed świtem. W końcu przyjazny i życzliwy przybyszom lud Chocó został za nami - wpłynęliśmy do wrogiej krainy Kuna.

WROGA KRAINA

Nie chciała nas przyjąć - nagle skończyły się ryby w rzece, a potem nawet woda. Coraz dłuższe odcinki pokonywaliśmy ciągnąc pirogę po dnie.

Wtedy nasz przewodnik zarządził wędrówkę na piechotę. Porzuciliśmy łódź, wzięliśmy cały dobytek na plecy i ruszyliśmy w górę strumienia.

W powietrzu wokół nas było coś takiego... nieprzyjemnego. Miało się wrażenie, że tuż za plecami czai się ktoś wielki, szary i kosmaty. Lecz kiedy człowiek spoglądał przez ramię, widział tylko bardzo zmęczone, ale wciąż uśmiechnięte, oczy Blondynki.

Po kilku dniach, brodząc po kostki w wodzie, dotarliśmy do miejsca, w którym Indianin zatrzymał się, oznajmił stanowczo, że dalej nie pójdzie i upomniał o swoją zapłatę.

Rozejrzałem się dookoła i powiedziałem, że przecież miał nas doprowadzić do wioski, a ja żadnej wioski nie widzę. Wtedy zgrzytnął zębami, ale ponieważ, jak każdy Chocó, był człowiekiem dobrym i uczciwym, podprowadził nas jeszcze kilkaset kroków stronią, prawie niewidoczną ścieżynką w górę błotnistej stoku. Aż do wielkiego zwałonego pnia, po którym przeszliśmy nad głębokim parowem i nagle... stanęliśmy na obrzeżach wioski. W oddali, między szałasami, przechadzali się wojownicy.

Zapłaciłem mu, a potem, kiedy chciałem uścisnąć na pożegnanie, stwierdziłem, że zniknął jak kamfora. W tej sytuacji między domostwa Kuna wkroczyliśmy już bez eskorty.

* * *

Powitanie zgotowano nam bardzo niechętnie. Kobiety gwałtownie porzucały swoje przydomowe zajęcia i w pośpiechu umykały w ciemne czeluście szałasów. Po drodze zgarniały drobniejsze dzieci, a starsze wysyłały gdzieś w głąb wioski... jakby po pomoc. Za każdym razem towarzyszyła temu seria krótkich okrzyków. Potem zapadała nienaturalna cisza, która oblepiała nas nieprzyjemnie.

Za naszymi plecami sześciu podrostków utworzyło półkolistą tyralierę i wyraźnie zaganiało nas w określonym kierunku. Zachowywali przy tym dystans kilkunastu kroków. Na

wszystkie nasze słowa reagowali tak samo - z głupawymi minami pokazywali, że mamy iść dalej.

W ten sposób dotarliśmy do placu pośrodku wsi, gdzie zastaliśmy pół setki mężczyzn i kilka bardzo starych kobiet.

- Dzień dobry - powiedziałem po hiszpańsku, zwracając się mniej więcej do wszystkich.

Jednocześnie lustrowałem najbliższe twarze w poszukiwaniu sygnałów zrozumienia.

Z tłumu wystąpił jakiś młody Indianin i odpowiedział:

- Dzień dobry. Czego szukacie?

Odetchnąłem z ulgą - mówił po hiszpańsku! W dodatku sądząc po reakcji innych, nie tylko on.

- Szukamy kacyka.

- JA JESTEM - odrzekł dumnie i bez chwili wahania. Zadarł przy tym głowę tak bardzo, że mimo jego niskiego wzrostu mogłem bez trudu obejrzeć, co ma w nosie.

Byłem pewien, że skłaniał - spośród zebranych na placu był zdecydowanie zbyt młody, żeby piastować tak ważną funkcję. Wówczas nawet mi przez myśl nie przeszło, że wszyscy w tym tłumie są kacykami. Wszyscy, co do jednego, ze starymi kobietami włącznie; a więc on także.

Zeszli się tu z odległych okolic na Tajne Zgromadzenie Plemienne - mieli radzić o wojnie. Wojnie przeciw białym rządóm, w odległych krajach, które postanowiły „uporządkować” sprawę nielegalnego przerzutu kokainy przez Darien. W tym celu, tu i ówdzie na terytorium Kuna zaczęto karczować dziewiczą dżunglę i budować lądowiska dla amerykańskich helikopterów. Wbrew woli Indian! Kacykowie mieli się teraz porozumieć w sprawie sposobu ich likwidacji. Póki co, każdy działał na własną rękę, a metody stosowali różne - spontaniczne i nieskoordynowane. Za to efekty osiągali nadzwyczaj podobne; czarne foliowe worki wypakowane przedstawicielami Armii.

Wodzowie obecni na Zgromadzeniu reprezentowali bardzo różne wioski. Jedne z nich to stare, powoli wymierające, siedliska tradycji. Wciąż pełne przepasek biodrowych i łuków oraz strzał zatrutych kurarą. Inne założono niedawno siłami indiańskiej młodzieży, która woli nosić dzinsy i strzelać seriami z karabinów.

Człowiek, z którym rozmawialiśmy, miał na szyi wisior, którego centralną część stanowił ząb jaguara oprawiony w łuskę po naboju - nie musiałem pytać, z jakiej wioski pochodzi.

Tam, gdzie mieszkał, był najstarszy - dlatego wybrano go kacykiem - ale pośród

wszystkich kacyków Kuna był najmłodszy... i najbardziej wojowniczy. Pełen nienawiści do obcych. Szczególnie zawzięty wobec białych intruzów wdzierających się na ziemię będące odwiecznym terytorium jego plemienia.

Ponieważ to on wystąpił w imieniu reszty, a nikt z pozostałych nie zakwestionował jego pozycji, musieliśmy traktować go jak przywódcę Zgromadzenia.

Powoli i spokojnie zacząłem wyluszczać, kim jesteśmy.

Mówiłem na tyle głośno, by moje słowa docierały do wszystkich. Także do uszu „prawdziwego” wodza, którego wciąż poszukiwałem wzrokiem.

Niestety zacząłem niedobrze - od gorących zapewnień, że my tu jesteśmy tylko w celach badawczych, jako para antropologów, i że chcielibyśmy wynająć jakiegoś przewodnika i pójść sobie dalej... jaaak naajdaaaalej... do Kolumbii.

Mówiłem szczerą prawdę, a mimo to Indianie słuchali tego coraz bardziej nieufnie. Nie mogli uwierzyć w tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności, jak przypadkowe nadejście dwojga Białych intruzów dokładnie w dniu rozpoczęcia Narady Wojennej. Prawdę powiedziawszy, na ich miejscu ja też bym nie uwierzył.

UWIĘZIENI

Po godzinie odesłano nas - pod eskortą - do samotnej, rozwalającej się chaty położonej pośrodku wioski. Mogliśmy z niej wychodzić tylko na posiłki i za potrzebą - taka była tymczasowa decyzja (wyrok?) Zgromadzenia.

Zastanawialiśmy się, co nam zrobią ostatecznie. A mogli przecież zrobić wszystko: zabić (to akurat najłatwiej, dlatego zabijanie odbywa się na końcu - z tym zawsze się zdąży), sprzedać, wymienić, albo trzymać tu tak długo, aż się na coś będziemy mogli przydać.

Byliśmy zdani całkowicie na łaskę Indian. Bez szans na ucieczkę czy jakąkolwiek interwencję z zewnątrz - wioska była najważniejszą warownią plemienia Kuna, stanowiła świetny punkt do obrony (gdyby ktokolwiek chciał atakować) i była niemożliwa do zdobycia - istna forteca:

Strome wzgórze z płaskim wierzchołkiem, na którym mieściło się około setki szałasów, z trzech stron otoczone wodą. Z czwartej dostępu bronił głęboki parów nad którym przerzucono jeden jedyny chybrotliwy mostek w postaci sprężystego pnia, po którym tu weszliśmy. Pień został z wierzchu ociosany na płasko, dzięki czemu można było wygodnie postawić stopę, lecz jednocześnie stał się przez to bardzo śliski (szczególnie, kiedy go ktoś celowo polewał wodą). W sytuacjach ostatecznych pień można było zepchnąć w głąb parowu,

odcinając jedyną drogę. Kuna mogli się tu bronić w nieskończoność.

Dodatkowym atutem wioski było jej centralne położenie pośrodku indiańskiego terytorium. Na lewo i prawo oceany odległe o wiele dni marszu ciemną dżunglą. Za plecami Panama, którą opuściliśmy ponad tydzień temu, a przed nami Kolumbia, od której dzielił nas najdzikszy kawałek Darien.

Ze względu na dogodne usytuowanie, właśnie tutaj odbywały się wszystkie sekretne Zgromadzenia Kacyków. Pech sprawił, że kiedy wkroczyliśmy do wioski, akurat trwało jedno z nich - do niedawna ściśle tajne, a obecnie bardzo zaniepokojone. Powody niepokoju były dwa: Blondynka i gringo.

* * *

Rano i wieczorem przychodził po nas indiański chłopiec i prowadził do domostwa odległego o jakieś czterysta kroków. Tam serwowano nam prostą stawę: rybę ugotowaną bez patroszenia i soli oraz kilka bulw manioku pieczonych w ognisku. Po drodze nie wolno było zbaczać z wyznaczonej ścieżki! W celach higienicznych.

mogliśmy wychodzić z naszej chaty bez dziecięcej eskorty, ale tylko w ściśle oznaczone miejsce nad rzeką.

W tej sytuacji całe dni spędzaliśmy zawieszeni w hamakach albo siedząc na przyzbie. Bezczyinnie - powiedziano nam bowiem wyraźnie: żadnych zdjęć, żadnych spacerów, żadnych kontaktów z mieszkańcami wioski, chyba że sami przyjdą.

Niekiedy przychodzili - mężczyźni popatrzeć, a kobiety coś sprzedać - i wszyscy żywili irytujące przekonanie, że ponieważ jesteśmy biali, to należy się do nas zwracać *per panie inżynierze*. Nie robiło im różnicy czy mówią do mnie, czy do Blondynki - zawsze to był „p a n inżynier”.

Na razie postanowiliśmy niczego nie kupować. Mówiliśmy im, że najpierw chcemy się dowiedzieć, ile pieniędzy zażąda przewodnik za wyprowadzenie nas do Kolumbii - w ten sposób wysyłaliśmy w lud jednoznaczny ofertę handlową, na którą niestety wciąż nie było żadnej odpowiedzi.

* * *

Czuliśmy się jak w matni.

Chwilami coś w nas narastało i wtedy zaczynaliśmy ciskać o ziemię drobnymi przedmiotami (czapka, okulary, latarka, zrolowane płaszcze od deszczu) oraz przeklinać wszystko dookoła. Jednak większość czasu spędzaliśmy na drapaniu się w głowę, robieniu coraz bardziej strapionych min i nerwowym ogryzaniu paznokci (żadne z nas nie miało

wąsów).

A wokół nas z każdym dniem gęstniała lepka atmosfera terroru. Gęstniała... kondensowała się... i nabierała znajomego kształtu - stawała się wielka i kosmata.

* * *

Nocami przez ażurowe ścianki naszego więzienia słyszeliśmy jakieś tajemne śpiewy. Głosy zawodziły coś na kształt litanii. Wielogodzinne inwokacje do indiańskich bogów; najpierw ktoś podawał ton i wyśpiewywał kilka niezrozumiałych dla nas słów, potem pozostali powtarzali po nim. Przeciagle i płaczkliwie. Im dalej w noc, tym śpiew stawał się bardziej agresywny. Wreszcie ustępował rytmicznym wrzaskom. Słysząc w nich było wyraźnie: złość, nienawiść, chęć czynu i żądę zemsty. Indianie wprowadzali się w trans. Zła energia narastała w nich i w każdej chwili mogła wystrzelić w naszą stronę.

W przyływie ciekawości i odwagi Blondynka wykradła się z naszego więzienia w pobliże miejsca, skąd dochodziły nocne śpiewy. Chciała je nagrać. Kiedy już rozłożyła cały sprzęt, ktoś ją spłoszył i musiała umykać okreśną drogą. To, co zdołała podejrzeć przez szpary domu, z którego dochodził śpiew, nie napawało optymizmem. Indianie byli nadzy, mieli dzikie spocone twarze, a w oczach odbicie innego świata. Był on dla nas obcy i groźny.

RADA STARSZYCH

Po kilku dniach, zupełnie niespodziewanie, zostałem wezwany przed Radę Starszych. Powiedziano mi wyraźnie, że nie będzie to Zgromadzenie Kacyków, przed którym występowałem wcześniej, lecz Rada Starszych. Nie mogłem być pewien, o kogo chodzi, domyślałem się tylko, że Starsi są plemiennymi mędrkami lub szamanami, a ich Rada może mieć dla Zgromadzenia głos decydujący - coś jak wyrocznia w starożytnej Grecji, której słuchali nawet władcy.

Poprowadzono mnie środkiem wioski do niepozornej, rozklekotanej chałupy. Tam, w małym półkolistym pomieszczeniu, siedzieli ośmiu mężczyzn w różnym wieku.

Z radością stwierdziłem, że nie ma pośród nich młodego nienawistnika, który z nami rozmawiał pierwszego dnia. Pojawił się za to podejrzanie wyglądający osobnik o kościach powykrzywianych artretyzmem, z połówką drucianych okularów na nosie. Właściwie połówką oprawek, bo szkła już dawno wypadły.

Jako jedyny stał, a nie siedział. Cały czas trzymał się z boku. W takim miejscu, że on mnie widział doskonale i mógł obserwować każdy mój ruch, a ja miałem go niewygodnie na wprost prawego ucha. Wkrótce przekonałem się, że to czarownik - doradca Rady Starszych,

więc w duchu zacząłem o nim mówić „Wezyr”.

Człowiek ten wspierał się na czarnym kiju długości około półtora metra, z wyrzeźbioną na czubku gałką wielkości śliwki.

* * *

O ile mogłem się zorientować ów kij to była obrosła licznymi legendami Drzewna Dusza - rzecz, o której się czyta, ale nigdy, nigdy się jej nie ogląda na własne oczy.

Jest to naturalna szpila, która czasami - bardzo bardzo bardzo rzadko - powstaje w samym środku starego pnia. To zjawisko tysiącrotnie rzadsze od występowania czarnych pereł.

Taka Dusza stanowi osobne ciało wewnątrz drzewa. Rośnie wraz z nim, czerpie z tych samych soków, ale nie jest pasożytem - jest... No właśnie, nikt nie wie dokładnie, czym jest. Tajemnicą i Legendą - tylko tyle wiemy na pewno.

Odrębny układ słoików, pozwijanych inaczej i bardziej ciasno niż wszystkie dookoła powoduje, że po rozłupaniu pnia Dusza wypada - jak sęk z deski. Jest gładka jak szkło, twarda jak stal i ciężka jak ołów - tak przynajmniej twierdzą Indianie. Przekonać się doświadczalnie nie miałem szans, bo kij, o którym mowa, stanowił berło/różdżkę, a takich rzeczy nie daje się obcym do potrzymania. Poza tym Indianie wierzą, że Drzewna Dusza ma w sobie Moc - Moc magiczną - i dotykanie jej przez osoby niepowołane grozi nieszczęściem.

Jest jeszcze coś - nigdy do tej pory nie udało się żadnej Duszy wywieźć z dżungli. Przeniesiona do klimatu choćby odrobinę mniej wilgotnego, dość prędko rozsycha się i rozpada. Podobno w pewnej chwili po prostu pęka z traskiem. Tych kilku podróżników, którzy wykradli Dusze z rąk Indian i wieźli je do Europy, znajdowało potem na dnie swoich kufrów jedynie garstkę czarnych pokruszonych drzazg.

* * *

Ośmiu Starszych wprawdzie rozumiało wszystko, co do nich mówię, ale miało kłopoty z odpowiadaniem - mówili wyłącznie w języku Kuna. Wezyr tłumaczył mi to na hiszpański, a ja cały czas odnosiłem wrażenie, że przy okazji połowę przerabia na moją niekorzyść.

Przez pierwszą godzinę wymienialiśmy szczerze i nieszczerze kurtuazje - Indianie ze zrozumieniem przyjmowali moje wyjaśnienia dotyczące celu podróży i charakteru naszej misji - a potem trochę niespodziewanie jeden z nich zapytał:

- Co tu robicie w czasie naszej tajnej narady wojennej?

Aż mnie zatkało, a jednocześnie nagle wszystko stało się jasne...

Gdybym od początku wiedział o tej naradzie, to ani przez chwilę nie upierałbym się

przy swojej wersji zdarzeń. Cechą wszystkich konspiratorów świata jest to, że absolutnie nie są w stanie uwierzyć w przypadkowe zbiegi okoliczności. Konspirator musi otrzymać swoją porcję spiskowej teorii dziejów. A jak nie otrzyma, to ją sobie sam wymyśli. Uznałem więc, że będzie bezpieczniej, jeżeli to ja coś wymyślę. Coś takiego, w co oni uwierzą i w konsekwencji puszczą nas wolno.

Zacząłem moją Opowieść, która w największym skrócie wyglądała tak,..
Posłuchajcie...

Ja i Blondynka jesteśmy wysłannikami rządu Rzeczypospolitej. Nasz kraj, tak jak inne kraje europejskie, jest świadom wartości ekologicznej i kulturowej, jaką przedstawia Darien. Polska, odkąd odzyskała niepodległość, rokrocznie wysyła do Panamy pewne kwoty z przeznaczeniem na ochronę przyrody Darien oraz kultury plemienia Kuna.

Ponieważ Polacy nie są idiotami, zorientowali się, że pieniądze giną gdzieś po drodze. Dlatego wysłano naszą Tajną Misję, która miała za zadanie ominąć oficjalne władze Panamy, dotrzeć wprost do serca Darien i zapytać kacyków Kuna, czy pomoc z Polski do nich dociera?

I oto jesteśmy w samym sercu Darien, przed obliczem Najwyższych Wodzów Kuna i pytamy, czy biurokraci w Panama City to podłe złodzieje przeżarte korupcją?

Ta historyjka nie była specjalnie wyszukana ani elegancka, ale trafiła na swój czas i na podatny grunt spiskowej teorii dziejów. W efekcie ocaliła nam życie.

* * *

Następnego dnia Wezyr w obecności starszyny plemiennej podyktował mi krótki list plemienia Kuna do rządu Rzeczypospolitej, w którym zawiadamiano, że *rząd w Panamie to banda złodziei, którym nie należy ufać! I pod żadnym pozorem posyłać pieniędzy!!!*

Potem przez godzinę wymienialiśmy szczerze kurtuazje, a na koniec Blondynka i ja dostaliśmy Indiańskie atrybuty władzy i szlachectwa - drewniane berła, zwane po hiszpańsku *bastónami*. Nie były wprawdzie wykonane z Drzewnych Dusz, a tylko z najszlachetniejszego gatunku mahoniu, ale i tak wyglądały pięknie: proste pałki po około pół metra wysokości, zwieńczone rzeźbami.

Dla Blondynki wyrzeźbiono postać ludzką niosącą na plecach inną postać ludzką. Dla mnie zaś - postać ludzką z wielką jaszczurką siedzącą jej na ramionach. (Wyjaśniono mi, że jaszczurka to indiański symbol przebiegłości i sprytu.)

Powiedziano nam, że taki *bastón* stanowi dla ludu Kuna odpowiednik piernacza - listu żelaznego - kiedykolwiek postanowimy wrócić na te tereny, wystarczy, że w dowolnej wiosce pokażemy jeden z nich, a wszystkie drzwi staną przed nami otworem.

Na koniec przydzielono nam dwóch przewodników na dalszą drogę do Kolumbii. (Dla wszystkich było oczywiste, że z tym trefnym listem do rządu RP nie powinniśmy wracać przez Panamę.) Wkrótce potem ruszyliśmy w drogę.

- Problemy zostały za plecami. Teraz już będzie z górki - tak sobie myślałem. No ale skąd miałem wiedzieć, że najgorsze dopiero przed nami.

BIEGUN DŻUNGLI

Darien to odpowiednik Himalajów. Tyle że w Himalajach idzie się najpierw długo pod górę, a z powrotem długo w dół. Natomiast w Darien idzie się 100 metrów w górę, a potem 100 metrów w dół i tak wiele, wiele razy od świtu do nocy. Gdyby zsumować wszystkie te małe górki, na które trzeba się wspiąć, to by nam się uskładał Mt. Everest.

Powietrze w Darien też przypomina himalajskie - jest tak samo rozrzedzone. W Himalajach zimną pustką, która wraz ze wzrostem wysokości zajmuje coraz więcej przestrzeni między cząsteczkami tlenu, a w Darien gorącą wilgocią. Często odnosiłem wrażenie, że w poszczególnych łykach powietrza więcej jest wody niż tlenu.

To rodziło problemy natury higienicznej: Po kilku dniach wszystko nam porosło kozuchem pleśni, której nie sposób było wyplenić. Od tropikalnego gorąca pocił się człowiek niesamowicie. Ubranie i cały bagaż przesiąkły wilgocią, która nigdy nie wysychała. Było ciepło, a w gąszczu na dnie dżungli także mroczno. W tych warunkach grzybki rosły jak na drożdżach.

Mimo że wlewaliśmy w siebie całe wiadra płynów, groziło nam odwodnienie. Picie w czasie marszu nie miało najmniejszego sensu - każdy łyk wody natychmiast wypływał przez skórę. Zamiast przynosić ochłodę, jedynie moczył ubranie.

Natomiast picie wieczorem, w czasie odpoczynku, kończyło się u mnie wymiotami. Nie chodziło o żadne brudy ani pasożyty w wodzie - była czysta - po prostu żołądek jej nie przyjmował. Chyba go przeziębilem pijąc zbyt łąpczywie z chłodnego źródła na pierwszym nocnym postoju.

Maszerowaliśmy po kilkanaście godzin dziennie, wciąż w górę i w dół, w górę i w dół po błotnistych ścieżkach. Podziwiałem Indian za ich zdolność odróżniania ścieżki wydeptanej przez zwierzęta od tras dla ludzi. Powiedzieli mi, że nie ma czego podziwiać, bo nie odróżniają. Kiedy ścieżka jest wyraźna po prostu nią idą, byle się kierunek zgadzał. A jak czasami zablądzą, to zygzakują w lewo i w prawo, aż trafią na kolejną ścieżkę.

* * *

Marsz przez Darien wspominam jako najgorszy w moim życiu. Nic go nie przebiło. Żadna inna dżungla nie dała mi się tak we znaki, jak ten niepozorny, mało znany kawałek tropikalnego lasu.

Najpierw okazało się, że ze względu na stromizny i błoto trzeba odciążyć Blondynkę. W jej plecaku i tak było niewiele: absolutne minimum odzieży, sprzęt fotograficzny, magnetofon, do tego hamak, latarka, nóż i zapas baterii - nic, co dałoby się wyrzucić. Rozłożyliśmy to na trzy kupki. Obaj przewodnicy wzięli rzeczy najcięższe, ja najcenniejsze.

Ryzykowaliśmy, że jeśli potknę się i zjadę po błocie i korzeniach, to stracimy za jednym zamachem oba aparaty fotograficzne - mój i Blondynki - ale jednocześnie mieliśmy pewność, że plecak ze sprzętem nie wyląduje gwałtownie na ziemi, kiedy Indianie rzucają się do kolejnego pościgu za jakimś zwierzęciem. Robili to kilka razy dziennie.

Wyglądało to tak: kupa bagażu przytroczona do człowieka przede mną nagle rozsypywała się na pojedyncze pindelki i z mokrym młasińciem wbijała w błoto. Zanim ostatnie pakunki docierały na ziemię żadnego z naszych przewodników już nie było w zasięgu wzroku. Jeszcze przez kilkanaście sekund słyszeliśmy, jak gnają przez zarośla. Potem przez pół godziny, czasem dłużej, czekaliśmy w ciszy, nasłuchując, czy któryś wraca.

Rozmyślałem wtedy, co by było, gdyby nie wrócili?

...?...

...??...

...???...!!!

Teoria na ten temat mówiła tak: Trzeba iść cały czas w dół, aż do jakiegoś strumienia. Potem dalej, z nurtem, bo nad strumieniami leżą wioski, a gdybyśmy żadnej nie znaleźli, to i tak w końcu woda doprowadzi nas do morza. Obojętne, czy to będzie wybrzeże karaibskie, czy Pacyfik, po plaży dojdziemy jakoś do Panamy albo Kolumbii. Niestety ta teoria nie wspominała ani słowem o posiłkach.

Ale właśnie wrócili nasi przewodnicy i przynieśli upolowane prosiątko pekari, więc ten problem został chwilowo rozwiązany.

* * *

Z dnia na dzień szło mi coraz gorzej. Ciężko znosiłem ostre podejścia podobne do wchodzenia po drabinie zrobionej z korzeni wlepionych w błotnisty stok. Miejscami wlokłem się w górę na czworakach - inaczej nie dawałem rady.

Naszego przewodnika pogryzły *veinticuatro* - „calowy” - ogromne jadowite mrówki długości dwudziestu czterech milimetrów.

Przez kilkanaście minut wył z bólu i nie mógł iść. Łydka spuchła mu wyraźnie. Już do końca drogi lekko utykał.

Blondynka radziła sobie najlepiej. Szła za moimi plecami i w najgorszych momentach podpierała mi plecak, żebym się nie zwałił na grzbiet. Czyżby jej *bastón* (przedstawiający człowieka z drugim człowiekiem na plecach) stanowił wróżbę?

Wieczorem, kiedy ja leżałem bez sił na gołej ziemi paliła przy mnie ognisko, żebym choć trochę wysechł.

W butach miałem kompletne bagno i zgniliznę. Kiedy je zdejmowałem, moje stopy były pomarszczone od wilgoci i bielusienkie, tak że aż świeciły pośród nocy. (W tamtych latach nie chodziłem jeszcze po dżungli na bosaka - tak jak Indianie - dzisiaj owszem, i nie mam już podobnych problemów ze stopami. Czasem tylko jakiś ...aał... kolec albo kiszony liść.)

* * *

Przestałem reagować na upływ czasu i ukąszenia insektów. Zaciąłem się w sobie i parłem do przodu. Krok za krokiem, każdy z nich biorąc pojedynczo, jak osobne przedsięwzięcie.

Nawet nasi przewodnicy byli wyraźnie zmęczeni. Na ostatnim postoju zostawili część swoich rzeczy - żeby mieć mniej do dźwigania.

W pewnym momencie, po kolejnym ostrym podejściu, powiało świeżym powietrzem i zaświeciło słońce. Weszliśmy na jakąś przełęcz. To było najcudowniejsze miejsce na ziemi.

Szliśmy grzbietami gór, a na lewo i prawo, przez rzadkie drzewa, można było obserwować przepiękny krajobraz. Dżungla z perspektywy ptaka jest taka... idylliczna: kolorowe stada papug, strzępiaste korony palm, wieże mahoniowców wystające ponad pospólstwo innych drzew, czasem jakaś małpa dyndająca na ogonie. Ani śladu zgnilizny, duchoty i „calówek”.

Od tej pory wędrówka stała się samą radością. Zniknęło błoto, pojawiły się szerokie leśne dukty, w dodatku trafiliśmy na kilka indiańskich domostw. To jeszcze nie były wioski, zaledwie samotne myśliwskie rancza, ale częstowały świeżymi owocami i nadzieją na szczęśliwy koniec wyprawy.

* * *

W pewnym miejscu trafiliśmy na bardzo szeroką drogę przez las. Właściwie długie karczowisko pobrużdżone starymi koleinami maszyn do wycięcia i transportu drzew. To była pierwsza po tej stronie gór zapowiedź Panamerykańskiej Drogi. Droga ta prowadziła znikąd

donikąd. Robotników i ciężki sprzęt spuszczone tu z helikoptera. Popracowali kilka miesięcy, ale bez sukcesu - całą operację pochłonął Darien.

Na przeciwległym końcu karczowiska znaleźliśmy wyraźną ścieżkę, która wiodła prosto w górę. To było ostatnie podejście w czasie tej wyprawy. Wkrótce znaleźliśmy się na szczycie góry, a przed nami otworzył się szeroki krajobraz: bezleśne doliny poprzecinane płotami, tu i ówdzie smużka dymu z jakiegoś paleniska, wszędzie stada owiec, kóz i krów, a w oddali na horyzoncie woda - zatoka Uraba. To wszystko była już Kolumbia.

A więc dotarliśmy na drugą stronę. PRZESZLIŚMY DARIEN!!!

..DO ASFALTU

Przecięcie tego pięknego krajobrazu w drodze nad zatokę miało nam zająć cały następny dzień. Noc spędziliśmy w małej osadzie Kuna, gdzie mieszkali nasi przewodnicy. Białym świtem ruszyliśmy w kierunku odległej o kilka godzin marszu przystani wojskowej. Korzystały z niej także prywatne łodzie, które zabierały okolicznych chłopów na targ do miejscowości Turbo, położonej po drugiej - „cywilizowanej” - stronie zatoki.

W Turbo mieścił się port Kolumbijskiej Marynarki Wojennej. Udaliśmy się tam zaraz po przybiciu do nabrzeża - potrzebne nam były stemple przekroczenia granicy.

Odpowiedniego urzędnika odnaleźliśmy w zapyziałym kantorku wielkości szafy na ubrania. Obejrzał nasze paszporty, spytał kilka razy, czy my rzeczywiście z Polski, a potem zagłębił się w blaszanej szufladzie w poszukiwaniu pieczętek. Wprawdzie był pracownikiem Straży Granicznej, ale na co dzień odprawiał tylko okręty marynarki wojennej i łodzie rybackie. Obywał się przy tym bez stempli, wpisując wszystko do wytłuszczonego zeszytu w kratkę. Byliśmy jego pierwszymi turystami.

Wreszcie znalazł to, czego szukał - upaprane tuszem pudełko.

- To skąd wy tutaj? - zapytał.

- Przyszliśmy z Panamy.

- ??? He!???

- Przyszliśmy z Panamy.

- Jak to przyszliście? Na jakiej łodzi?

- Na nogach. Piechotą.

- Z Panamy?! Niemożliwe! Tam są Kuna i nikogo nie puszczają. Oni najpierw strzelają, a potem sprawdzają, kogo trafili... Aha! Wiem! Mam was, kłamczuszki! Gdzie są wasze pieczętki przekroczenia granicy panamskiej? Jakaś adnotacja posterunku, cokolwiek?

He!?

- O, tutaj - pokazałem mu odpowiedni wpis w moim paszporcie - *Puesto Paya*, data i podpis: *Humberto Romero Lois*. [Przypis: Humberto Romero Lois co mój wieloletni przyjaciel z Meksyku. W dodatku mąż mojej koleżanki z podstawówki. Humberto oczywiście nigdy nie był w Paya i nic kontrolował mojego paszportu - wpis dokonałem samodzielnie, a jego nazwisko było pierwszym, które mi przyszło do głowy. Jakiś wpis uważałem za niezbędny - istniało przecież realne niebezpieczeństwo, że bez dopełnienia tej formalności nie zechcą nas wpuścić do Kolumbii i odeślą z powrotem - wolałem nie ryzykować. W podróży trzeba zawsze wozić przy sobie tupet jak taran.]

Urzędnik jeszcze długo kręcił głową i nie mógł uwierzyć, że ma przed sobą dwójkę białych ludzi, która przeszła *nieprzebyty* Darien. W końcu jednak, bogatsi o dwa niewyraźne stempelki, opuściliśmy Bazę Marynarki Wojennej.

Za szlabanem zaczynała się droga do Medellin. Stanęliśmy czubkami palców na krawędzi asfaltu - *to* był początek Panamericany i koniec wyprawy.

NA KONIEC

Co trzeba zrobić, żeby pojechać na wyprawę do tropikalnej puszczy, spotkać ostatnich wolnych Indian, zamieszkać pośród nich, zamiast majtek nosić przepaskę biodrową, a jedzenie zdobywać strzelając z dmuchawki?

Gdy ktoś mnie o to pyta, odpowiadam krótko:

- Sprzedaj lodówkę i jedź!

Różnica między ludźmi, którzy realizują swoje marzenia, a całą resztą świata nie polega na zasobności portfela. Chodzi o to, że jedni przez całe życie czytają o dalekich lądach i śnią o przygodach, a inni pewnego dnia podnoszą wzrok znad książki, wstają z fotela i ruszają na spotkanie swoich marzeń.

Bardzo wielu tak jak ja, z lodówką na plecach.

Inni niosą komputery, zestawy stereo, stare meble, obrazy, maszyny do szycia, pierścionki po babci, lampy, zegary, dywany... To dlatego, że marzenia nie mają ceny, a bilety lotnicze owszem. Ale niech Cię to nie zatrzymuje!

!!! SPRZEDAJ LODÓWKĘ I JEDŹ !!!

NOTA O TŁUMACZU

Dlaczego w tej książce pojawił się tłumacz? Podróżując po obcych ładach, przestawiam się całkowicie nie tylko na tamtejszy klimat, dietę, kulturę, muzykę i tempo życia, ale także mówię, myślę, śnię, liczę, denerwuję się, czytam oraz p i s z ę w miejscowym języku (jeśli tylko go znam). Wiele tekstów, które tu Państwo mogli przeczytać, napisałem po hiszpańsku lub angielsku - dlatego potrzebny był tłumacz. A kim on jest? Posłuchajcie...

Z Heleną Trojańską spotkałem się po raz pierwszy w redakcji pewnego poczytnego pisma dla Pań. Zaniósłem tam jedno z moich opowiadań, nie pamiętam już które, ale bez wątpienia trafiło ostatecznie do niniejszej książki.

Na korytarzu redakcyjnym lekko zaszumiało. Panie redaktorki (w zasięgu wzroku żadnego mężczyzny) były co najmniej przejęte, jeżeli nie zbulwersowane - ten Cejrowski? u nas? a co on tu robi?

Redaktor Naczelna, świeżo po lekturze mego tekstu, umówiła się ze mną na rozmowę. Chwaliła, że ciekawy, napisany z werwą i „jajem” tylko...

- Panie Wojtku, nie oszukujmy się, pańskie nazwisko jest kontrowersyjne, a my nie chcemy straszyć naszych czytelniczek.

- To jest tekst przygodowy, a nie polityczny.

- Nieistotne, jaki jest ten tekst, tylko kim jest jego autor. W Polsce wciąż obowiązują układy, a pan nie należy ani do żadnego układu, ani sam nie jest specjalnie układny, prawda? I ja, prywatnie, to bardzo podziwiam, bardzo szanuję, mieć odwagę powiedzieć własne zdanie. W pracy muszę się jednak podporządkować opinii większości. Serdecznie pana przepraszam, ale niestety... no nie pasuje nam pan do stopki redakcyjnej.

W tym momencie w gabinecie Naczelnej pojawiła się Helena Trojańska - nieznana nikomu dziennikarka - podróżniczka.

Bywała w Ameryce Południowej, mówiła płynnie w dwóch ulubionych przeze mnie językach obcych, potrafiła dowcipnie i sprawnie operować językiem polskim, a co najważniejsze zgodziła się firmować moje teksty swoim nazwiskiem.

Teraz wystarczyło, żebym pozmieniał czasowniki męskie na żeńskie i sprawa załatwiona. Łamy pisma stanęły przede mną szerokim otworem. Naczelna proponowała cykliczną kolumnę i niezłe pieniądze, tylko...

Ja, ja sam, po namyśle, się nie zdecydowałem. To byłoby z mojej strony tchórzostwo; wyparcie się własnych poglądów i poddanie presji układów, którymi gardzę.

Był jeszcze jeden powód - ambicja. Nie po to przez kilkanaście lat przedzierałem się

przez dżunglę, ryzykowałem zdrowiem i życiem, żeby teraz cały mój dorobek zgarnęła pod siebie pani Helenka, świeżo upieczona dziennikarka - podróżniczka. Ostatecznie więc nie opublikowałem tam żadnego tekstu.

Ale jakoś nie mogłem zapomnieć o Helenie... Co jakiś czas wracała w mojej pamięci, jakby pytała, czy może się na coś przydać?

Kiedy więc zacząłem przygotowywać do druku niniejszą książkę, od razu przyszło mi na myśl, że właśnie ona będzie najlepszym kandydatem na tłumacza. To przecież musiał być ktoś, kto był w dżungli, widział to, o czym piszę, dotykał, smakował, bał się tego samego. Ktoś, kto czuje temat, zna opisywane rzeczy od podszewki. W dodatku ktoś, kto mi łatwo nie ulegnie, kto będzie potrafił przeciwstawić się memu przywiązaniu do tego czy innego sformułowania i wymusić na mnie jego zamianę na lepsze.

Kimś takim mogłem być tylko ja sam - Helena Trojańska, znana szerzej jako Wojciech Cejrowski.

* * *

A teraz muszę zmienić dedykację, bo kiedy już wiecie, że tłumacz to ja, słowa: *niniejszą książkę dedykuję tłumaczowi - bez Tłumacza nie byłaby tym, czym jest*, stają się co najmniej pretensjonalne.

dedykuję tę książkę Blondynce - bez Blondynki nie byłbym tym, kim jestem

ZAKOŃCZENIE DLA CIERPLIWYCH BLONDYNKA W DŻUNGLI

Ogromna czarna mrówka z czerwonym łbem właśnie zaglądała jej w oko. Była bardzo zaciekawiona zawartością źrenicy i niespotykanym w tej okolicy niebieskim kolorem tęczówki. Wymachiwała badawczo czółka - mi i zastanawiała się, czy na coś takiego można bezpiecznie wejść. Coś w rodzaju mentalnego przełącznika w jej głowie drżało niespokojnie między alternatywą: skok - odwrót.

(Mrówki są bardzo proste - całe ich myślenie jest jak para lejców - działanie zależy od tego, który z instynktów mocniej szarpnie...)

- Fuj! A kysz! Poszła precz! - Blondynka szarpnęła się w hamaku, chcąc strącić mrówkę z - twarzy.

Przełącznik kliknął w tył - mrówka odebrała sygnał do odwrotu. Zbiegła po policzku i już miała sobie pójść [*po lince hamaka - po gałęzi - po pniu - do mrowiska*], ale gwałtowne ruchy Blondynki wytrąciły ją z równowagi. Straciła przyczepność i wpadła wprost w dekolt koszuli.

- Gdzie ona jest?! - Blondynka szamotała się we własnym ubraniu.

Próbowała jednocześnie z niego wyskoczyć i zrewidować je od środka.

W efekcie mrówka została zepchnięta między kołnierzyk a szyję i ściśnięta ...aa!... niebezpiecznie mocno. Wtedy coś w jej głowie gwałtownie szarpnęło lejcami. Bez namysłu ugryzła... z całej siły zwarrrła szczęki... a do tego strzyknęła kwassem...

Kołnierzyk nie zareagował.

Odwróciła się więc i ugrrrrzyła to, co znalazła po swojej drugiej stronie. Tym razem była to miękka skóra na szyi. Tylko kwasu zostało niewiele...

- ...AAAaaa!... - Blondynka poczuła bardzo wyraźnie, gdzie jest poszukiwana przez nią mrówka.

I to był koniec tej mrówki. Oraz początek bardzo bolesnej opuchlizny.

- Co za potwór! Widziałeś to? - mrówka została (pośmiertnie) poddana szczegółowej analizie pod światło - One tu nie mają umiaru. Nie przestają rosnać kiedy są normalnej wielkości, tylko jadą dalej. Kto to widział, żeby uczciwa mrówka miała trzy centymetry!

- Czerwone Łby nie gryzą. To znaczy, chciałem powiedzieć, że nie mają jadu, ot, pospolity kwas mrówkowy - starałem się brzmieć uspokajająco.

- Nie próbuj mnie uspokajać, bo wcale nie jestem zdenerwowana, tylko wkurzona.

Oboje dobrze wiemy, że tutaj wszystko gryzie. A do tego pluje jadem. Czerwone, nie czerwone, wszystko i tyle. I jedyna na to rada jest taka, żeby zdążyć ugryźć pierwszemu.

- Wczoraj pogryzłaś całą garść mrówek, to się nie dziwi, że ich siostry przyszły wziąć odwet. Zemsta, ot co.

- Tamte były pieczone i zostałam POCZĘSTOWANA, w dodatku nie mogłam odmówić. Indianom się nie odmawia, sam wiesz.

* * *

Blondynka miała rację - Indianom się nie odmawia. W każdym razie nie Dzikim.

Kiedy ktoś ma twarz wymalowaną na czerwono, piórko w nosie i naszyjnik z zębów jaguara, a w dodatku zamiast majtek nosi podłużną tykwę nałożoną na swojego *pinga*, kiedy ktoś taki częstuje cię garścią pieczonych mrówek, odmawiać byłoby bardzo nieroztropnie.

Odmowa mogłaby go zdenerwować.

A wtedy mógłby zdjąć tykwę... umazać *pinga* tym samym czerwonym barwnikiem, którym w czasie pokoju naciera wyłącznie twarz... i ruszyć przeciw tobie - na pojedynek.

Wówczas nie masz najmniejszych szans. Wystarczy, że raz dmuchnie strzałką umoczoną w truciźnie, wystarczy że raz (zawsze celnie) rzuci w ciebie włócznią wyciętą z bambusa i ostrą jak kawałek szkła, wystarczy że... Cokolwiek zrobi - nie masz szans.

Dlatego Dzikim się nie odmawia. NIGDY.

Oczywiście jest z tym pewien kłopot - na przykład wówczas, gdy chcą wymienić twoją Blondynkę na jedną z córek wodza.

Dla ciebie to powinien być zaszczyt, tymczasem córki wodza... no cóż, one są... są... są oczywiście po swojemu piękne, ale.

Kłopot jest także wtedy, gdy Blondynki akurat nie ma w pobliżu, a troskliwy wódz pożycza ci na noc jedną ze swoich żon:

- Żebyś nie zmarł, gringo.

I jak tu się z czegoś takiego wymówić, nie gwałcąc przy tym praw gościnności?

Uników w rodzaju: *wprawdzie spali w jednym łóżku, ale do niczego między nimi nie doszło* nie sposób zastosować, ponieważ żyjąc pośród Dzikich mieszka się z nimi we wspólnych szałasach. Najczęściej w ogromnych, wielorodzinnych *malokach*, a tam wszyscy wszystko słyszą i widzą. Czasami także komentują (głośno i ze śmiechem). Aha, no i żona wodza pakuje się z tobą do jednego hamaka, a w hamaku, jak to w hamaku - niepodobna odsunąć się na swoją stronę i udawać, że człowiek był tak zmęczony, że momentalnie zasnął. W hamaku cały czas jest się razem. CIASNOPRZYTULENI A ponadto ona znacząco -

oczekująca... No i wódz, który co chwilę głośno pyta: jak tam *pinga - pinga*, dobrze gringo?

Cóż wtedy robić?

W takich sytuacjach najczęściej wymawiam się względami szamańskimi. Hasło „Moc”, działa jak zaklęcie. Czarownicy wszystkich plemion poszczą i umartwiają się na wiele sposobów. Najczęściej po to, by zgromadzić Moc, lub żeby jej nie pozwolić „odpłynąć”. Wystarczy więc, że powiem:

- Wodzu, bardzo chętnie będę *pinga - pinga* z twoją żoną, ale dzisiaj moja Moc mi na to nie pozwala, a ja nie chcę jej obrazić, sam rozumiesz, Moc bywa zazdrosna. I mściwa.

To akurat ZAWSZE rozumieją.

* * *

- Wodzu?

- Tak, gringo?

- Skąd właściwie macie tutaj ten dziwny hamak?

- Przyniósł go jeden z myśliwych. Wtedy, kiedy ciebie śledzili po lesie.

- Czy przypadkiem nie dyndał sobie w towarzystwie dwóch innych hamaków, zawieszony pod daszkiem z palmowych liści? W opuszczonym obozowisku na brzegu rzeki?

- A skąd ty to wiesz, gringo?

- Wiem.

- Owszem, dyndał. Ale co obozowisko wcale nie było opuszczone. Siedział tam oddział wojska.

- I co?

- Nie lubimy, kiedy kręcą się po naszej ziemi. Dostali małpie strzałki. Prędko nie wrócą.

- Wodzu?

- Tak, gringo?

- Obok tych hamaków była całkiem nowa maczeta wbita w pień.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

* * *

- Gringo?

- Tak, Wodzu?

- Zjemy teraz pieczonych mrówek.

- Od tego świństwa wędnie *pinga* - próbowałem protestować.

- Chyba tylko Czarownikowi. Wszystkim innym przeciwnie: jeszcze bardziej się chce. Indianie wiszący w hamakach wkoło nas zarechotali śmiechem.

- Jedz mrówki, gringo. Napadało deszczu do rzek, jutro płyniemy na polowanie. A polowanie jest jak *pinga - pinga* - trzeba mieć dużo siły.

Tym razem nie chodziło o zwykłe polowanie. I nie zaproszono mnie na nie dla rozrywki, lecz poproszono do pomocy. Podobnie jak kilkunastu innych Obcych - najlepszych myśliwych z sąsiednich plemion. W wiosce od kilku tygodni panował głód. Najstarsi postanowili więc posłać po pomoc.

Kiedy Indianie proszą, nigdy nie odmawiam. Kiedy proszą - a robią to niezwykle rzadko - wówczas rzucam wszystko, zmieniam wcześniejsze plany, i ruszam z nimi.

* * *

Następnego ranka, kilkunastu wojowników usiadło jeden za drugim w ogromnej wąskiej łodzi, chwyciło wiosła i miarowymi ruchami, w zadziwiająco zgodnym rytmie, zaczęło rozgarniać szarą wodę. Choć pochodzili z różnych plemion, wszyscy wyglądali podobnie - wysmarowani od stóp do głów czarną maścią myśliwych. (Tylko jeden z nich różnił się od reszty: miał jasne włosy i niebieskie oczy - gringo wśród dzikich plemion.)

Wkrótce zniknęliśmy we mgle, która opadła za nami jak kurtyna na koniec przedstawienia.

PODZIĘKOWANIA

Pisząc książkę, człowiek spłaca długi (serca, nie portfela). I udało mi się spłacić sporo z nich - przede wszystkim wobec ludzi, których spotkałem na trasie moich wypraw.

Wydając książkę, człowiek zaciąga nowe zobowiązania. Bo książkę można napisać samodzielnie, ale nie sposób jej samodzielnie wydać.

Joanna Lipińska, Krzysztof Praszek i Filip Stanowski

byli jej pierwszymi czytelnikami i recenzentami. Dzięki nim poprawiłem kilka istotnych drobiazgów.

Szczęсна Milli dostała książkę po tych poprawkach, przeczytała, dzwoni...

Po naszej rozmowie do kosza trafił cały wstęp i większość części pierwszej. A potem napisałem całkiem nowy początek. Duuuużo lepszy od pierwotnego.

Miałem więc gotowy tekst. Wtedy zaczęło się szukanie wydawcy. Byłem w paru miejscach, zostawiłem oprawione wydruki, obiecywali, że oddzwonią, zaraz po niedzieli...

Oddzwonił tylko pan **Bronisław Kledzik** (Poznań!, Poznań!, solidność!) - wieloletni redaktor Arkadego Fiedlera, a obecnie Harry'ego Pottera. Powiedziały że moja książka mu się podoba i chciałby ją wydać, ale ostateczne słowo w tej sprawie ma właściciel firmy „Media Rodzina” - **Bob Gamble**. Bob to mój stary przyjaciel, ale się nie zgodził. To była to najprzyjemniejsza odmowa od lat!

Ludzie w Polsce, w podobnej sytuacji, rzadko podają szczerze powody. Amerykanie są inni, dlatego lubię, kiedy to oni mi odmawiają.

Pewnego dnia wydawca się znalazł. Jakby sam...

Moja książka leżała w „Bernardinum” (wydawca „Poznaj Świat”) chyba z pół roku. A potem, w pewien nudny sobotni wieczór, pan **Zygmunt Skibicki** zaczął ją czytać...

Zadzwoił wkrótce i we właściwy sobie sposób wydał mi gwałtowne polecenie:

- Niech Pan natychmiast idzie robić okładkę. Wydajemy to! Już ja przypilnuję! Na głowie stanę!!!

No i stanął. Potem go od tego trochę głowa bolała; ale.

Za okładkę jestem dłużny podziękowanie **Łukaszowi Cieplowskiemu**. Powinien zmienić nazwisko na Cierpliwski - jak zawsze siedziałem mu nad głową, dyszałem w kark i wtrącałem się w różne szczegóły. (Normalny grafik mówi autorowi: WON do pisania, a ja tu sobie porysuję).

Mam więc gotowy tekst, jest okładka, ale nie ma zdjęć. To znaczy ja w domu mam ich

kilkadziesiąt tysięcy, co z tego, kiedy nie bardzo potrafię je odpowiednio dobrać. I tu spotyka mnie niezасłużone szczęście: zgłasza się do mnie **Wojciech Franus** z agencji fotograficznej „Tago”, przegląda wszystkie moje zdjęcia, ze wszystkich wypraw, wybiera dobre, chwali, gani, poucza, dzieli się doświadczeniem fotoedytora, a w końcu godzi się wykonać oprawę fotograficzną „Gringo...”.

To, co zrobił z moimi zdjęciami, powaliło mnie na kolana. Was może nie powalać, ale ja widzę różnicę. Najlepsze nawet zdjęcie źle podane jest jak szampan w słoiku po ogórkach. Franus powlewał moje zdjęcia do kieliszków.

Książka prawie gotowa, tylko te błędy...

Od dziecka jestem ślepy na ortografię. Nawet kiedy komputer podkreśla mi coś wężykiem, nie potrafię wybrać poprawnej wersji. To, co napisałem, usiane było różnymi możliwymi pisowniami tych samych wyrazów: rużnymi, rórznymi, rurznymi...

Monika Lipińska siedziała nad tym jak Kopciuszek i wybierała kolejne chrzęszczące błędnie ziarenka piasku. A potem patrzyła na mnie czerwonymi z wysiłku oczami, w których kłębił się obłęd dezorientacji - po kilkunastu stronach lektury (lek - tóry???) mojego tekstu człowiek zaczyna mieć wątpliwości, a... może wontpliwości... [Przypis: Pamiętam taki telefon od pani korektorki, która poprawiała którąś z poprzednich książek: *Panie Wojtku, czy kiedy pan pisze słowo „ruże” na stronie piątej, to chodzi o hydraulikę czy ogrodnictwo, bo z kontekstu nie wynika ?*].

Książka poprawiona. Zdjęcia wsadzone. Tekst złamany. Okładka jest. Maszyny drukarskie w ruchu. Co z tego, kiedy nikt na świecie nie wie, że ona ma zostać wydana. PROMOCJA, INFORMACJA, MEDIA - oto klucz.

Nieocenioną pomocą w tej dziedzinie była i jest **Małgorzata Raducha** z Pierwszego Programu Polskiego Radia. Gdyby nie jej życzliwość, nie byłoby mnie na antenie „Lata z Radiem” - najbardziej słuchanej audycji radiowej w Polsce. I nikt by nie usłyszał o mojej książce.

* * *

Czy to wszyscy?

Jasne, że nie! Kiedy się człowiek uczciwie zastanowi, nic nie jest jego osobistym sukcesem. Mógłbym więc dziękować w nieskończoność, cofając się aż do dnia mego narodzenia. Dlatego zaprzestaję w tym miejscu, arbitralnie ograniczając listę do osób BEZPOŚREDNIO związanych z tą książką.

Nie wiem, jak się wam wszystkim wypłacę i kiedy. Na razie z całego serca dziękuję.

ADRESY AUTORA:

WWW.CEJROWSKI.COM

WOJCIECH CEJROWSKI

00 - 958 WARSZAWA - 66

SKRYTKA POCZTOWA 35

POSŁOWIE DO WYDANIA TRZECIEGO

Składając „Gringo...” do druku, nie wiedziałem, że książka ta stanie się początkiem serii, a osoby zaangażowane przy jej opracowaniu stworzą redakcję, która dostanie „do obróbki” dzieła takich autorów jak Arkady Fiedler czy Tony Halik.

Byliśmy grupą przyjaciół, nie redakcją. Każdy z nas pracował nad „Gringo...”, żeby odetchnąć od roboty na etacie, żeby móc wreszcie rozwinąć artystyczne skrzydła. I był między nami ferment twórczy. W efekcie powstała książka, która wyglądała inaczej niż inne - lepiej.

Dwa i pół roku po premierze wyniki sprzedaży mówiły same za siebie - niesłabnące zainteresowanie czytelników przez 30 miesięcy!

Zadzwoił Wydawca - Pan **Tadeusz Serocki** - i mówi: *Zrobicie mi z tego serię wydawniczą? Każdy tekst ma być literacko oszlifowany, do tego unikalna szata plastyczna, no i zdjęcia podane jak w „Gringo...”.* Pan sobie dobiera ludzi i to mają być artyści! Aha, i pan za wszystko odpowiada wprost przede mną, zgoda?

Wieczorem zwołałem naradę trzech tenorów [Przypis: Łukasz Ciepłowski, Wojciech Franus, Wojciech Cejrowski - twórcy koncepcji plastycznej „Gringo...”, a potem serii „Biblioteka Poznaj Świat”] i zapadła decyzja: robimy! Potem jeszcze kilka telefonów i mieliśmy Drużynę. Dziś, Drużyna to tuzin osób. Prawie nikt z nas nie ostał się na etacie. Ferment trwa!!!

A oto efekt:

BIBLIOTEKA

Poznań Świat

powstaje pod czułym okiem Wojciecha Cejrowskiego